

nieregularny

PULS

kwartalnik literacki

40

Jan Józef SZCZEPAŃSKI / Pałac
Jacek KACZMARSKI / Pięć sonetów o
umieraniu komunizmu
Paweł HUELLE / Z Księgi Liczb
Kazimierz ORŁOŚ / Mała śmierć na dłoni.
Rozmowa z Radkiem Sikorskim
Dawid WARSZAWSKI / *Pays politique,*
pays réel
Marek NOWICKI / Katastrofa złotówki
Aleksander ŚWIEYKOWSKI / Dolar wpuszczony
w maliny
Tomasz BUREK / Słonimski bliski nowym
pokoleniom / Wierzyński – objawienie życia
i sekret ojczyzny

ZBIORY OSIOŁKA KARTA oraz działy



OFICyna
WYDAWNICZA
„POKOŁENIE”

Pojedynki – Przegląd kulturalny i niekulturalny
– Kwartał – Recenzje – Drugi brzeg –
Archiwum emigracyjne – Muzeum ruchu rewolucyjnego – Sow show – Poczta

HODOWANIE MIKOŁAJCZYKA NA ŚCIE

Czy opozycja pod komunizmem jest możliwa? Tak. Na krótko, gdy komunizm jest słaby, a także gdy jest to opozycja konstruktywna i lojalna (ale gdy jest zbyt konstruktywna, staje się niepotrzebna i może zostać zlikwidowana). Komunizm lubi opozycję oswajać. Oswoił kiedyś i przyswoił sobie Bolesława Piaseckiego, założyciela stowarzyszenia opozycjonistów lojalnych – Pax. Pax chciał się różnić i różnił się, jak to nazywano, „światopoglądowo”, od ideologii panującej. Działal na styku dwu rzeczywistości: komunizmu i sprawy (jak się zdawało) komunizmowi wrogiej, mianowicie religii. Zadaniem Paxu było te rzeczywistości zbliżyć do siebie. Stowarzyszenie było lojalne wobec rządzących i konstruktywne w sprawie socjalizmu, zwłaszcza we wczesnych latach pięćdziesiątych, ale i później.

«Tygodnik Powszechny» na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych był swego rodzaju opozycją, ale bez ambicji politycznych, co wygląda na sprzeczność, ale się zdarza. Współcześnie taką opozycją jest produkowanie książek i pism z ominięciem cenzury. Natomiast niezależne od władz organizacje i ich programy to już coś więcej.

Współrządzić czy nie kłamać? to tytuł książki Andrzeja Micewskiego o Paxie i Znaku. Dziś, zdaje się, więcej ludzi niż poprzednio chce współrządzić. Myślą, jak chyba myślał Piasecki, że komunistów w końcu jakoś można przechytrzyć.

Można coś w komunizmie osiągnąć, działając poza nim; przykładem jest Kościół katolicki w Polsce. Organizacje, które chciałyby ten przykład naśladować, powinny mieć za sobą większość, dla której byłyby niezbędne w najważniejszych sprawach życia – i śmierci. Do tego zwykłym organizacjom daleko.

Opozycja konstruktywna jest władzy potrzebna wtedy, gdy istnieje rzeczywistość nieoswojona: silna religia (jak katolicyzm w Polsce), podziemie polityczne lub rzeczywistość zewnętrzna popierająca zróżnicowania na miejscu, której rządzący, uzależnieni od zewnętrznej aprobaty i pomocy, wolą się nie przeciwstawiać.

Opozycja konstruktywna ma rzeczywistość nieoswojoną oswoić. Ma być, jak Pax, pośrednikiem i amortyzatorem, to znaczy nie być opozycją w ścisłym sensie, ale transmisią, która działa na trochę zmniejszonych obrotach. Zgadając się na taką opozycję, władza otwiera i uznaje inną drogę do przepisane go celu, którą mogą iść inni ludzie, nie całkiem swoi, w innym szyku i nawet nieco wolniej.

Opozycja konstruktywna zwykle coś otrzymuje. Zyskuje, choćby prowizorycznie, uprawnienia nie przysługujące partii kierowniczej. Pax w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych mógł wydawać powieści Greene'a lub Mauriac'a i nie wydawać dzieł Lenina, czym różnił się od Książki i Wiedzy. Postowie katolicycy mogli w Sejmie wstrzymać się od głosu lub nawet głosować przeciw.

Opozycja konstruktywna jest rezerwatem dopuszczalnego i tymczasowego zróżnicowania, tak jak kultury narodów ZSRR (ograniczone do folkloru), jak stronnictwa w Polsce (ZSL i SD), jak „polska droga do socjalizmu” w roku 1956.

Mikołajczyk po wojnie przez dwa lata starał się być opozycją konstruktywną. Przedstawiciele jego partii zostali ministrami, kolegami komunistów w rządzie, i na ogół starali się hamować postępy komunizmu. Mimo że ustroj oficjalnie nie był jeszcze socjalistyczny, tylko demokratyczny, komuniści mieli jasne przekonanie o obcości i tymczasowości wszelkiej, a w tym konstruktywnej i lojalnej, opozycji.

Wiele się zmienia – nawet w komunizmie. Jak dotąd nie wydaje się jednak, by komunizm przestał być sobą, a więc ustrojem, który – według swych rzeczników – ma rację, jest namaszczone przez historię i nie zastanawia się nad własną abdykacją. Ustrój ten ma się ponoć rozprzestrzeniać, ale kraje Zachodu są mu obecnie potrzebne, by podtrzymać jego trwanie. Dla komunizmu, jaki znamy, opozycja zwykła (nie wciągnięta w budowanie systemu) jest skandalem i władcy będą starać się ją zniszczyć lub oswoić. Obydwa te zamiary są podobne i na jedno wychodzą. . . jk

nieregularny

PULS

kwartalnik literacki

40

Zima 1988/9

· Londyn

Redaguje Zespół



Copyright © by Puls Publications

PULS 40

Pierwsze wydanie polskie w lutym 1989

Wszystkie prawa zastrzeżone

Zezwolenie na przedruk lub tłumaczenie należy uzyskać zwracając się do Jana Chodakowskiego (*The Secretary*), Puls Publications, BCM Box 697, London WC1N 3XX, United Kingdom.

The first Polish edition published in February 1989

All rights reserved

Permission for reprints, translations and reproductions must be obtained in writing from: The Secretary, Puls Publications, BCM Box 697, London WC1N 3XX, United Kingdom.

Wszelką korespondencję prosimy kierować na ręce sekretarza redakcji. Materiałów nie zamówionych nie odsyłamy. Zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów w nadesłanych pracach.

Przedstawiciel w Skandynawii:
Miroslaw Ancypo, Independent Polish Agency,
Box 2113, S-220 02 Lund, Sweden

Przedstawiciel we Francji:
Libella Librairie, 12 rue St-Louis-en-l'Île, F-75004
Paris, France

ISSN 0143-5531

PULS

40

nieregularny kwartalnik literacki

- | | |
|----|--|
| 5 | Witold GOMBROWICZ
Odwilż... |
| 7 | Jan Józef SZCZEPAŃSKI
Pałac |
| 21 | Jacek KACZMARSKI
Pięć sonetów o umieraniu komunizmu |
| 25 | Paweł HUELLE
Z Księgi Liczb |
| 35 | Kazmierz ORŁOŚ
Mała śmierć na dłoni
(Rozmowa z Radkiem Sikorskim) |
| 51 | Dawid WARSZAWSKI
<i>Pays politique, pays réel</i> |
| 58 | Marek NOWICKI
Katastrofa zlotówki |
| 61 | Aleksander ŚWIEYKOWSKI
Dolar wpuszczony w maliny |
| 69 | POJEDYNKI
Władimir Maksimow: Wolność, którą sami wybieramy |
| 71 | Tomasz BUREK
Stonimski bliski nowym pokoleniom;
Wierzyński - objawienie życia i sekret ojczyzny |
| 79 | PRZEGLĄD KULTURALNY I NIEKULTURALNY: Wałęsa w Paryżu • Lidia CIOL KOSZOWA: O Józefie Cyrankiewiczu • |

Kazimierz ZAMORSKI: Jan Tomasz Gross,
nieustrudzony szperacz w archiwach
Hoovera • Katyn – wersja Romualda Świą-
tka • Włodzimierz SZNARBACHOWSKI:
O Falandze. Rozmowa ze Stefanem
Kisielewskim • Kłamry (VI)

99

KWARTAŁ

114

RECENZJE

Wanda ZWINOGRODZKA: Potęga zdrowe-
go rozsądku • Janina KATZ-HEWETSON:
Wyprzedaż Gombrowicza

123

DRUGI BRZEG

Karol GRABOWSKI: Pan Rowmund • Ewa
CZERWIAKOWSKA: O Marii Kureckiej

131

ARCHIWUM EMIGRACYJNE

Przemówienie Kazimierza Pappé, Amba-
sadora R.P. przy Stolicy Apostolskiej w
dniu Święta Niepodległości 1.11.1957 roku

135

MUZEUM RUCHU REWOLUCYJNEGO

„Du bist Kommunist?”

136

SOW SHOW

Ojczyzna-polszczyzna

136

POCZTA

Witold Gombrowicz

ODWILŻ...

Odwilż... Przypuśćmy, że ona doprowadzi – w Rosji i w Polsce – do pewnego surogatu wolności i prawdy. Do wolności na 45%, do prawdy na 47%. Cóż z tego?

Gdybym był więźniem tamtejszego więzienia, uczepliłbym się tego obiema rękami. Jeśli dotąd nie było wolno wychodzić z celi, nie jestże frajdą spacer po ogródku pod bacznym spojrzeniem strażników? Któż wątpi, że w praktyce mniejsze zakłamanie jest lepsze od większego zakłamania? Ale poza doraźną odrobiną wolności, istnieje przecież sprawa formy polskiej, stylu polskiego, polskiego rozwoju i polskiego stwarzania się... Ponieważ nie znoszę *ersatz*ów i zawsze, w restauracji i życiu, będę protestował gdy kota podadzą mi jako zajęcia, więc i w tym wypadku nie mogę zgodzić się na ten *ersatz*, surogat, szminkę i tandetę. Wolność za pozwoleniem, koncesja na względną swobodę – co to jest? Ni pies ni wydra (...)

Wypuszczenie im ducha na względną wolność z tym, że ma on meldować się w najbliższym urzędzie kontroli, stanowiłoby tylko zatarcie się tej ostrej a zbawczej granicy, która dotąd dzieliła prawdę uwięzioną od swobodnego kłamstwa. Wszelby w dziedzinę półprawdy, półżycia, niepełnej twórczości, upajania się pozorami – cóżby z tego wynikło? Nie przeczę, że ta sposobność do wywalenia w przyszłości drzwi na wolność, powinna być politycznie wyzyskana. Ale ja nie jestem od polityki... i wiem tylko, że styl, forma, wyraz, wszystko jedno, czy w sztuce, czy w życiu, tego nie osiąga się na drodze koncesji i tego nie można fabrykować w pewnej odmierzonej dawce. Aut Caesar...

Jan Józef Szczepański

PAŁAC

Pokusa opowiedzenia przeżyć z wiosny 1944 roku towarzyszyła mi od bardzo dawna. Opierałem się jej ze względów zasadniczych. Ludzie, wśród których i dzięki którym owoych przeżyć zaznałem, byli po wojnie ofiarami zniewag i szyderstw, ich świat osunął się w niepowrotną przeszłość, piętnowaną gorliwie jako epoka hańby i zacofania. Nie mogłem dołączać mojego głosu do chóru prześladowców, chociaż intencje moje nie miały nic wspólnego z udziałem w nagonce. Któż zwraca uwagę na intencje? Wystarczy – a zwłaszcza wystarczyło wtedy – opisać pewne dziwactwa i śmieszności, aby stać się automatycznie rzecznikiem oficjalnego punktu widzenia. Dzisiaj sprawy te zasnęła już mgła takiego oddalenia, że przywoływanie ich pobudza raczej nostalgiczny sentyment, niż jadowite emocje.

Do pałacu hrabiostwa P. przybyłem w charakterze korepetytora. Właściwą tego przyczyną nie była jednak konieczność zarobienia na życie. („Posada” i tak miała być bezpłatna). Po prostu potrzebowałem schronienia. Gestapo poszukiwało mnie od blisko roku, a „melina”, w której ukrywałem się ostatnio zaczynała wydawać się niepewna. Meliną tą był nieduży majątek ziemski w pobliżu Krakowa, należący do przyjaciół. Oprócz mnie ukrywało się tam wiele innych osób łącznie z pewną rodziną żydowską, której udało się uciec z getta. Dla gospodarzy poziom zagrożenia osiągnął zbyt wysoki stopień. Sam zaproponowałem zmianę miejsca pobytu, a zacy mój opiekun wystarał się przez znajomości o ową posadę korepetytora. Przy pożegnaniu wyciągnął z półki w swoim gabinecie stary Almanach Rolniczy i odszukał w nim artykuł o wzorowej chlewni w miejscowości M. nad Pilicą. Opis nie był już aktualny, dotyczył bowiem czasów, gdy majątek stanowił własność innej, arystokratycznej rodziny, od której hrabia nabył go, czy też uzyskał drogą spadku w latach dwudziestych, ozdobiony był jednak fotografią, przedstawiającą pałac. Na skraju wysokiej skarpy, ponad wijącą się kapryśnie wśród łąk rzeką, widać było podłużną fasadę ocienionego starymi drzewami budynku z szerokim tarasem na piętrze. Widok wydał mi się malowniczy, wyruszałem więc do M. pełen ciekawości i nadziei. Muszę tu dodać, że z pobytem w M. wiązałem dalsze, podniecające plany. Okolica, określana przez Niemców mianem „Bandengebiet”, znana była z zuchwałej działalności licznych oddziałów partyzanckich. Wstąpienie do partyzantki było moim ostatecznym celem.

Osiemnaście kilometrów dzieliło M. od stacji kolejowej w miasteczku W., na której wysiadłem wczesnym rankiem. Była połowa kwietnia. Zaspani żandarmi, snujący się po

peronie, nie zwrócili na mnie uwagi. W popękanej i wytartej skórzanej kurtce, z połatanym plecakiem na grzbiecie, nie różniłem się od tubylców, uprawiających drobny handel wymienny na trasie między Częstochową a Kielcami.

Dzień wstawał pogodny, słońce zaczęło wkrótce przypiekać, toteż z ulgą powitałem las, w który szosa wnikała niedaleko za miastem. Las był stary, wysokopienny i zdawał się nie mieć końca. Maszerowałem rażno skrajem drogi, dziwnie puste, jakby stanowiła szlak od dawna porzucony, lub biegnący przez kraj bezludny. Czasem tylko poprzez rzadzące drzewa prześwitywały podmokłe łąki i gdzieś w dali można było dostrzec gromadkę burych strzech z cienkimi snużkami dymu, wyciągniętymi ku niebu. Tak bardzo przywykłem do tej pustki i ciszy, że widok dwóch ludzi, siedzących na brzegu rowu po drugiej stronie szosy zaskoczył mnie, a nawet zaniepokoił. Nie byłbym ich zauważył, bo zasłaniał ich krzak głogu, ale jeden z nich poruszył się, wykonał ręką gest, najwyraźniej skierowany do mnie gest przyzwania. Przeszedłem przez drogę i stanąłem nad rowem. Przez chwilę przyglądaliśmy się sobie w milczeniu. Byli to dwaj młodzi chłopcy. Jeden w podobnej do mojej, skórzanej kurtce, ciasno ściągniętej rzemieniem i w czapce o wystrzępionym daszku, drugi w brudnym prochowcu i w wyblakłej furacerze na głowie. Patrzyli na mnie, zmęczonymi oczyma. Ich twarze, zarośnięte i wychudłe, miały w sobie coś groźnego i przyciągającego zarazem, jakiś trudny do określenia wyraz czujności i swobody.

– Masz papierosy, kolego? – zapytał ten w skórzanej kurtce. Wyciągnąłem z kieszeni paczkę Machorkowych. Nie wstając pochylił się ku mnie i wziął ją całą z mojej dłoni. Wydułbał trzy papierosy dla siebie i trzy dla towarzysza, resztę oddał mi bez podziękowania.

– Dokąd idziesz?

– Do M.

Wymienili spojrzenia, które wydały mi się porozumiewawcze.

– Do kogo?

– Po co wam to wiedzieć? – odparłem, trochę zirytowany indagacją.

Znów porozumieli się oczyma. Ten w kurtce uśmiechnął się.

– Daj ognia – powiedział.

Przypalili papierosy i ten w kurtce skinął mi dłonią, jakby udzielając pozwolenia na dalszą drogę.

Słońce stało już w zenicie, kiedy las rozwarł się przede mną i cofnął aż po horyzont. Krajobraz ożył. Na rozległych, bujnych już łąkach, pasły się krowy i spętane konie. Z daleka niosło się szczekanie psów, w powietrzu czajki trzepotały w pośpiechu i wywracały swoje błazeńskie koziołki, kwiląc ostrymi głosami. Wśród szeroko rozlanej zieleni i błękitu połyskiwała niespodziewanymi łukami i pętłami rzeka. Droga przekraczała ją drewnianym mostem i wpełzała na wysoką skarpe. Po jej lewej stronie, między kępami starych drzew, widniała znana mi z fotografii w Almanachu szara fasada pałacu z tarasem na piętrze. Byłem u celu.

* * *

Wieś M. rozrzuciona była bezładnie na nadrzecznym płaskowyzu. Nad jej dachami sterczała wieża kościelna, kryta czerwoną dachówką. Do pałacu skręcało się w lewo.

Wiodła do niego szeroka aleja poprzez bramę – symboliczną raczej, bo zaznaczoną tylko dwoma wysokimi, kamiernymi słupami, których wygląd przypominam sobie jedynie mgliście. Wydaje mi się, że zwieńczone były cementowymi wazami z wylewającym się z nich bluszczem. Pałac stał bokiem do drogi. Wielki, bezstylowy budynek z wysunięciem ku alei bocznymi skrzydłami ograniczającymi zwirowany dziedziniec. To był tył pałacu. Front z tarasem spoglądał ku rzece, a właściwe, paradne wejście, z szerokimi schodami i obowiązkowym, okrągłym podjazdem, znajdowało się po zewnętrznej stronie dalszego skrzydła. Naprzeciw dziedzińca stał podłużny, murowany dom piętrowy, mieszczący mieszkania oficjalistów i służby. Park, otaczający siedzibę hrabiostwa P. opadał ku rzece, rozległy i cienisty, pełen wielkich drzew – wiązów, dębów i srebrnych uśmieszek. Taras wychodził na szeroki gazon, opadający z boczem ku ciemnemu stawowi, którego lustro zawlezione było po brzegach kożuchem rzęsy.

Nie pamiętam kto mnie tutaj powitał. Prawdopodobnie stary lokaj Błażej w szarej liberii ze srebrnymi guzikami. Jego uprzejmość miała w sobie coś obraźliwego. Jakby wbrew sobie i z największą niechęcią zaszczycał nią moją sfatygowaną, skórzaną kurtkę i pokryte pyłem drogi, grube buty. Był małego wzrostu, chudy z krzywymi łopatkami i z żółtą, pomarszczoną twarzą małpki, ułożoną w nią pół służalczy na pół wzgardliwy uśmieszek. Od niego to chyba dowiedziałem się, że jaśnie państwo są chwilowo w Warszawie i że wychowaniem dzieci zajmuje się starsza pani hrabina.

Dopiero ujrawszy ową „starszą panią hrabinę” uświadomiłem sobie w pełni egzotykę miejsca i sytuacji. Czasem widzi się na scenie lub na ekranie postać tak starannie ucharakteryzowaną na jakiś styl epoki, że ogarniają człowieka wątpliwości. Owszem, istnieją wzorce i przekazy. Owszem – Grottger, Andriolli, Rodziewiczówna... ale przecie ludzie tamtych czasów nie mogli być idealnym wcieleniem typowości. Hrabina Krystyna P. była takim idealnym wcieleniem – przynajmniej zewnętrznie. Ubrana w czerni (od ponad pół wieku, jak się dowiedziałem, nosiła żalobę po mężu, wysokim urzędniku austriackiej administracji, który zginął jako ofiara politycznego zamachu), z chusteczką z czarnej krepy przykrywającą bujne siwe włosy, nosiła na szyi czarną aksamitkę z medalionem. Drobną, szczupłą, z twarzą bladą o regularnych rysach (banalne porównanie z rzeźbionymi na kamieniach profilami narzucało się samo), była damą od stóp do głów, równocześnie jednak łagodny, jakby nieśmiały uśmiech i żywy błysk ciemnych oczu czyniły ją osobą budzącą sympatię i zaufanie. Była rada mojemu przybyciu bo „Jureczek dziczeje tutaj, a nauka nie czeka. Czas mu już do pierwszej gimnazjalnej”. Przywołany przez nią Jureczek był ładnym, dobrze rozwiniętym dziesięcioletkiem z rozwichrzoną, płową czupryną i niebieskimi oczyma, patrzącymi śmiało, a nawet zuchwale. Nie był to syn hrabiostwa P. lecz dziecko jakichś ich krewnych, których wojna ogarnęła na wschodzie i po których wszelki ślad zaginął. Widziałem, że chłopiec przygląda mi się krytycznie, że zawczasu szuka słabych stron przyszłego mentora. Nie miałem żadnego pedagogicznego doświadczenia, czułem jednak, że od tej pierwszej chwili zależą nasze przyszłe stosunki. Jurek podał mi bezceremonialnie małą, szorstką dłoń, szarą od brudu. Przytrzymałem ją w rękę, obejrzałem. „Idź, umyj ręce” powiedziałem surowym tonem. Byłem dumny z tego zagrania. Okazało się, że mam jeszcze drugiego pupila. W parku mieszkała wysiedlona z Wielkopolski hrabina D. z dwójkiem dzieci – anemicznym, płacziwym Krzysiem, równolatkim Jurka i czternastoletnią dziewczynką, której imienia nie pamiętam, lecz której mizerną, wychudzoną figurkę, przyozdobioną dwoma cienkimi, długimi warkoczyczkami, mam dotąd w oczach.

Ulokowano mnie w bliższym drogi, bocznym skrzydle, na piętrze. Dzieliłem pokój z Jurkiem. Okno wychodziło na park. Zaglądała w nie wielka gałąź wiązu. Kiedyś, później, obaczyliśmy na niej cztery młode sowy; dopiero wyprowadzone z gniazda. Białe, rozkosznie puchate, siedziały grzecznie rządkiem, jak bibeloty na kominku. Wąska sionka oddzielała ten nasz pokój od mieszkania hrabiny D. Sąsiedztwo to okazało się z czasem nieco kłopotliwe. Hrabina D., wysoka, koścista kobieta o niezdrównej cerze i zimnych wargach, skrzywionych grymasem miukojonej goryczy, przeżyła młodość na dalekim Podolu. Rewolucja rosyjska i wojna dwudziestego roku naznaczyły ją na całe życie lękiem i fatalistycznym przekonaniem o nieuchronności nieszczęścia. Pod nami, na parterze, znajdowały się jakieś gospodarskie pomieszczenia, między innymi izba kredensowa, w której do późnych godzin przesiadywały, plotkując, pokojówki i kucharki. Od czasu do czasu, zachodzili nocą do pałacu partyzanci – „leśni”, jak się wtedy mówiło. Uradowane dziewczyny przyjmowały ich w owym kredensie. Popijano tam, śmiechy i piski przenikały na górę. Przy takich okazjach hrabina D. pukała do naszych drzwi i wywabiła mnie do sieni, żądając pomocy przy barykadowaniu drzwi na schody. Nie pomagały żadne, uspakajające perswazje. Musiałem taszczyć stoły i szafy. Nieszczęsna kobieta, w długiej nocnej koszuli, z rozpuszczonymi bezbarwnymi włosami, przylegała uchem do barykady, nie spuszczać ze mnie prerażonych oczu. „Panie Andrzeju – pytała – czy już gwałcą?”

Mnie – oczywiście – te nocne wizyty przerażały z zupełnie innych powodów i w inny sposób. Pamiętam, że miewałem wtedy męczące sny, w których powtarzał się motyw nie przyjęcia do oddziału. Na razie nie znałem jeszcze potrzebnego kontaktu. Baczenie rozglądałem się dokoła. Uwagę moją zwrócił młodszy lokaj, syn Błażeja. Nazywał się chyba Staszek. Nosił tę samą co ojciec liberię, ale w niczym nie był do niego podobny. Smukły, jasnowłosy, odzywał się i poruszał bez cienia uniżoności, zachowując przy tym postawę pełną dyskrekcji. Pewność, że on coś wie, że może nawet wie wszystko, co trzeba, ugruntowało we mnie pewne zdarzenie w kilka dni po moim przyjeździe. Po kolacji i dopilnowaniu wieczornych ablucji moich wychowanków wyszedłem z domu z zamiarem przespacerowania się po parku. Nie zdążyłem jeszcze skrócić w przecinającą dziedzińiec aleję, gdy od strony drogi dobiegł mych uszu szybki, wielokrotny tętent. Spojrzałem ku bramie. Ostрым klusem wjeżdżał w nią oddział kawalerii. Zaparło mi oddech z wrażenia. Polskie mundury, połowe rogatywki z białoczerwonymi proporczykami na otokach, przewieszzone przez pierś Schmeissery i Steny, konie rosłe i zadbane. Jeźdźców było może piętnastu. Przewodził im potężnie zbudowany mężczyzna z jasnym wąsem i naszyjnikiem wachmistrza na naramiennikach. Zmierzchało już. Jechali szybko, ale spokojnie, jakby dążyli do dobrze znanego celu. Trudno mi dziś opisać moje ówczesne uczucia. To było tak, jakby los pobłogosławił mnie ziszczeniem najnieprawdopodobniejszych marzeń. A zarazem jakby coś najbardziej upragnionego mijało mnie obojętnie, pozostawiając bezradnego na brzegu. Dopiero gdy oddział zniknął w mroku, tam gdzie gęste drzewa zasłaniały mur folwarcznego obejścia, spostrzegłem, że nie byłem jedynym widzem tej sceny. U wejścia do drugiego skrzydła pałacu stał Staszek. Uśmiechnął się do mnie i skinął głową. Podeszedłem do niego.

– Co to za jeden?

– Zwiad konny od Marcina – odparł spokojnie.

A po chwili dorzucił: – Ten na czele to wachmistrz Włodek.

Pałac nie posiadał kaplicy, miał jednak swojego kapelana. Ksiądz Krist (a może Kristen?) mieszkał w budynku naprzeciw dziedzińca, w małej izdebce na piętrze. Wysoki i chudy, przygarbiony, w wyświechtanej sutannie i z palcami żółtymi od nikotyny, spędzał wolny czas na napychaniu tytoniem papierosowych gilz. Wydawał się człowiekiem melancholijnego usposobienia, ale moi uczniowie odkryli, że spowodowany do śmiechu, traci wszelką kontrolę nad sobą. Zwłaszcza nieprzyzwoite słowa działały na niego jak potężny środek wykrztuśny. Małe potwory robiły ze swego odkrycia użytek przy każdej, nadarzającej się sposobności. Najdogodniejszą z nich był podwieczorek, na który podawano niezmiennie zsiadłe mleko. Jurek wybierał perfidnie odpowiedni moment by chlapać, niby to w zupełnej nieświadomości, jakąś zastyszaną od służby sprośność. Ksiądz Kristen (niech już będzie Kristen) drętwiał, odchyłał się do tyłu, przymykał oczy, a potem, wydając rodzaj skowytu, łamał się do przodu i wypuszczał nosem strugę białego płynu. Skonfundowany, rzucał się na stół, zgarniał rękami mleko, pokwikujać i bełkocząc słowa przeprosin, ku nieopisanej radości chłopców i konsternacji pozostałych stołowników.

W niedzielę, w kościele parafialnym ksiądz Kristen odprawiał mszę św. dla mieszkańców pałacu. Po nabożeństwie sąsiedzi z okolicznych dworów schodzili się na śniadanie. Przed pałac zajeżdżały landa, wasażki i bryczki. Poczęstunek był skromny. Zbożowa kawa, kanapki z serem, jakieś domowego wypieku pierniczki, ale atmosfera panowała dystygowana. Rozmawiano po francusku, najczęściej komentując w tym języku kazanie. Pamiętam pełną namaszczenia sentencję hrabiny D.: *Eh, oui l'immortalité est faite pour toutes les âmes, mais pas toutes les âmes pour l'immortalité.*

Ksiądz Kristen nie znał francuskiego i unikał takich towarzyskich okazji. W ogóle starał się ograniczać stosunki z pałacem do koniecznego minimum. Miał za to swoje inne, tajemnicze życie, o którym krążyły tylko niejasne słuchy. Odwiedzali go jacyś nieznani ludzie, przeważnie młodzi mężczyźni w ni to sportowych, ni to wojskowych przyodziewkach. Nieraz, późnym wieczorem lub nocą zajeżdżała pod oficynę chłopska furmanka i ksiądz Kristen wyruszał nią gdzieś, piastując na kolanach czarną, pękatą teczkę. Wracał nad ranem, zmęczony i milczący. Zdarzało się to zazwyczaj po jakiejś strzelaninie, wybuchającej raz po raz w okolicznych lasach.

Ja spędzałem przedpołudnia w narożnym saloniku koło jadalni, przekazując moim uczniom wiadomości, których sam, nie bez trudu, wyuczyłem się poprzedniego wieczora. Nie przestawałem dziwić się, do jakiego stopnia ta elementarna edukacja wywie trzała mi z głowy. Uczylem się więc na nowo reguły trzech, prawideł gramatyki, dat panowania Piastów. Budziło się we mnie podejrzenie, że żaden dorosły człowiek już tego wszystkiego nie umie i że prawomocność wykształcenia, na które się powołuje w dojrzałym życiu, sprowadza się do pieczętki na maturalnym świadectwie.

Po obiedzie chadzaliśmy na spacer. Albo nad rzekę, gdzie łowiliśmy ryby lub wędrując po podmokłych łąkach szukali czajczych gniazd, rozmieszczonych zawsze po cztery, tak że tworzyły obszerny kwadrat, albo do położonego za wsią dębowego lasu, zwanego Dębowcem. Dębowiec pociągał mnie szczególnie. Poprzecinany piaszczystym duktem, krył w sobie zielone polany, ciche i zatopione w podwodnym jakby blasku. Krył w sobie także ślady tego innego, tajemniczego życia, które toczyło się wokół. Trafiliśmy tu na zdeptaną, porytą koleinami wozów trawę, kupki świeżego jeszcze, końskiego nawozu i niewystygłe popioły ognisk. Łakomie wdychałem gorzki zapach dymu i rosła we mnie niecierpliwość.

Program nauki Jurka i Krzysia miałem wypisany na kartkach, dostarczonych przez kierownika szkoły w miasteczku W. Był to oczywiście, program „lewy”, nie zatwierdzony przez okupacyjne władze. Staralem się go wypełniać sumiennie, co jednak nie odbywało się bez problemów. W spisie lektur figurowały między innymi *Szyfowe prace*. Zwróciłem się do starej hrabiny D. z zapytaniem czy książka jest w domu. Zastanawiała się dłuższą chwilę. „*Szyfowe prace*, pan mówi? Tak, słyszałam ten tytuł. Czyje to?” „Zeromskiego”. „Owszem, był taki młody pisarz. Ale panie Andrzeju, lepiej ostrożnie z nim, bo on podobno bywa bardzo nieprzyzwoity”. Poradziła mi, abym sam poszukał w bibliotece.

Biblioteka mieściła się na piętrze. Była to ogromna sala, wypełniająca całą niemal długość głównego korpusu pałacu. Weneckie okna wychodziły na taras, a sięgające sufitu, oszklone szafy zakrywały szczelnie ściany. Ciężki, dębowy stół stał na środku, otoczony krzesłami o wysokich oparciach. Kurz powlekający sprzęty i okrywający ciemnym konturem sztukaterie plafonu świadczył, że pomieszczenie nie należało do często używanych. „Nikt nie wie, co tu jest w tych szafach” uprzedziła mnie stara hrabina. „Przydałby się katalog, ale kto potrafi go zrobić?” Lekkoomyślnie zaproponowałem podjęcie się tego zadania. Wkrótce okazało się ono ponad moje siły. Biblioteka zawierała głównie książki francuskie. Ale jakie! Oprawne w skórę pierwsze wydania encyklopedystów, cała klasyczna dramaturgia. Racine, Molière... pisma historyczne Micheleta, Toqueville, filozofowie – Montaigne, Descartes, Rousseau, Pascal, nie mówiąc o poezji i dziełach nowelastycznej powieści. Było też sporo niemieckich dzieł naukowych, przeważnie z zakresu prawa i medycyny. Wszystko to najwyraźniej nie ruszane nigdy – martwa część hipotecznej wartości pałacu. Tylko jedna, dolna półka, w samym rogu przy frontowej ścianie, zdradzała ślady życia. Wypełniały ją wsparte o siebie byle jak, ukosem, lub leżące na płasko tanie, broszurowe wydania powieści kryminalnych i podróżniczych. Brak ładu i składu. Conan Doyle, Marczyński, Claude Farrère, Ossendowski, Decobra...

Wzdłuż sali bibliotecznej, od strony dziedzińca, biegł długi korytarz, łączący oba boczne skrzydła budynku. Któregoś ranka zostałem wywabiony z pokoju dyskretnym pukaniem. W sionce ujrzałem żalobną postać starej damy. Przyłożywszy palec do ust, wyprowadziła mnie na korytarz. Tu stanęła bokiem przy oknie, jakby w obawie pokazania się komuś z zewnątrz i dała mi ręką znak bym patrzył nie podchodząc za blisko. Na dziedzińcu stał czarny Citroën, którego sam przypuszczony kształt budził niepokojące skojarzenia. Kilku Niemców w mundurach, w siodlatych czapach, kręciło się wokół samochodu. Dalej, w alei widać było cztery wojskowe motocykle z przyczepami. Żołnierze w ceratowych płaszczach z pelerynkami, w hełmach zsuniętych głęboko na czoła, z gotowymi do strzału automatami w dłoniach, czekali przy maszynach. „Niech pan idzie za mną” powiedziała hrabina P. stłumionym głosem. Przemierzaliśmy korytarz, zeszedliśmy na dół i przez jadalnię wyszliśmy do parku. Hrabina poprowadziła mnie do swojego, otoczonego żywopłotem rozarium. Z kieszeni ukrytej w fałdach swej obfitej spódnicy wydobyła garść sznureczków i wręczyła mi je. „Będziemy podwiązywać róże” rzekła. „W razie czego jest pan ogrodnikiem, panie Andrzeju”.

Dotychczas byłem przekonany, że moje przybrané nazwisko, moje fałszywe papiery, nie budzą niczyich wątpliwości. Ta stara kobieta okazała się bardziej przenikliwa, niż mogłem przypuszczać.

Niemcy nie zabawili długo. Po ich odjeździe dowiedzieliśmy się od Błażeja jaki był powód niespodziewanej wizyty Kreishauptmanna z Radomska, bo to on sam zjawił się w tej groźnej obstawie. Otóż rasowa spanielka Aza oszczeniła się przed tygodniem i niemiecki dygnitarz, miłośnik psów, przyjechał osobiście po szczeniaka.

* * *

Z właścicielami dóbr M. niewiele miałem do czynienia. Hrabstwo P. dość pobieżnie interesowali się nauką moich wychowanków. Byli małżeństwem bezdzietnym – kuzynami, noszącymi to samo nazwisko. Ona, postawna blondynka o energicznych ruchach i niemal męskiej urodzie, najchętniej chodziła w bryczesach i butach do konnej jazdy. Najchętniej też rozprawiała o koniach. On, duży i ociężały, miał coś jakby kobiecego w sylwetce – może dzięki nadmiernej szerokości bioder. Oczywiście „r” artykułował gardłowo, z francuska. Gdy mówił, odnosiło się wrażenie, że jakaś sprężynka resorująca między szczękami, utrudnia mu domknięcie ust. Szeptano w pałacu, że nie interesuje go płec odmienna i wymieniano pewnego młodego stajennego o smagłej, cygańskiej twarzy, jako przedmiot jego uczuciowych względów.

Widywałem ich zazwyczaj wieczorami. Po kolacji i po odprawieniu dzieci do łóżek, dorośli zbierali się w mrocznym salonie na parterze, przylegającym do sieni głównego wejścia. Rozpalono ogień w kominku. Błażej stawał na okrągłym stoliku pękatą flaszkę Benedyktynki i wąskie, wysmukłe kieliszki. Hrabia Stanisław uczestniczył zwykle w tych posiedzeniach na stojąco, zwrócony tyłem do paleniska. „Ludzie dobrze urodzeni – mawiał – podają płomieniowi tyły”.

Rozmowy dotyczyły najnowszych wydarzeń. Właśnie Alianci wylądowali we Włoszech, a z nimi razem Drugi Korpus polski. Chwalono Andersa, że z dobrej, kurlandzkiej rodziny i że świetny jeździec. Źródłem dokładniejszych informacji bieżących był lokajczyk Staszek. Hrabia kazał go wzywać. Chłopak ustawiał się między drzwiami a kominkiem, wyciągał z kieszeni kurtki ciasno złożony druczek i monotonnym głosem odczytywał komunikaty z nasłuchu B.B.C. . Potem kłaniał się i wychodził.

W tym wieczornym obrządku, jak zresztą w żadnych innych pałacowych konwentylkach, nigdy nie brał udziału administrator majątku, inżynier Syguła. Syguła był małomównym, szorstkim w obejściu grubasem. Pochodził ze Śląska. Hrabia nie tylko nie zaliczał go do „dobrego towarzystwa”, lecz darzył go żywiołową niechęcią, której powodów nie znałem. Dopiero gdy między obu panami doszło do otwartego starcia, dowiedziałem się o co chodzi. Administrator był mianowicie oficerem zaopatrzeniowym obwodu Armii Krajowej. W tym charakterze organizował regularnie dostawy furazów i żywności dla partyzanckich oddziałów, ściągając daniny z okolicznych majątków, ale i sam nie szczędząc owsa, mąki czy żywca – oczywiście z zasobów właściciela. Hrabiego doprowadzało to do wściekłości. „On mnie okrada!” użalał się. Był bezsilny, bo poskarżenie się Niemcom nie wchodziło w rachubę. Wreszcie znalazł sposób poskromienia Syguły. Okazało się, że ów stajenny o cygańskiej urodzie ma bliskie kontakty z miejscowym oddziałem A.L. Uknuła z nim intryga dała natychmiastowy rezultat. Pewnej nocy do dworku Syguły, położonego w obrębie zabudowań folwarcznych, wdarła się gromada uzbrojonych ludzi. Obezwładnili administratora i wymierzili mu chłostę. Syguła nie mógł puścić tego płazem. Szczegóły jego zemsty poznałem w jakimś czasie potem, już w

lecie, z ust wykonawcy egzekucji, porucznika Kmicica. Kmicic ze swymi ludźmi wtargnął do pałacu również nocą. Wyciągnął hrabiego Stanisława z łóżka i kazał podać kolację. Hrabia, sterroryzowany, usługiwał osobiście do stołu. Po obficie zakrapianej uczcie, Kmicic zakomenderował: „Stasiu, kładź się!” Rozciągniętemu na sofie gospodarzowi wypłacony został, jego własną szpicrutą, ekwiwalent zniewagi doznanej przez administratora.

Oba te nocne dramaty otoczone były w pałacu znową milczeniem. Przypadkowo natknąłem się na ich epilog, gdy któregoś dnia, po przejażdżce (hrabina pozwalała mi dosiadać czasem swej pięknej, angloarabskiej klaczy) odprowadzałem konia do stajni. Nie wiedziałem wówczas, że jestem świadkiem konfrontacji dwóch ofiar politycznej vendetty. Na gunnie inżynier Syguła wydawał jakieś polecenia fomalom. Od strony stajni zbliżał się jakims dziwnie rozkraczonym chodem hrabia Stanisław. Obaj panowie stanęli naprzeciw siebie i przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Potem hrabia wysyczał przez ściśnięte zęby: „Ty skurwysynu! Myślisz, że się ciebie boję? A gówno!”

* * *

Wstyd mi przyznać: jednym z głównych moich zmartwień tamtych dni było, że wojna się skończy, a ja nie zdążę sobie powojować. Na obronę przed zgorzeniem dzisiejszego pacyfisty powiedzieć mogę, że nie było wówczas wyboru między pokojem a wojną. Wojna otaczała nas zewsząd, żyliśmy w niej i tylko w niej i wobec niej mogliśmy wybierać nasze postawy. Poza tym męczyło mnie już udawanie korepetytora, udawanie kogoś innego. Walka nęciła przemożnie surową jednoznacznością. A rozgrywała się wszędzie dokoła, coraz jawniej widoczna. Kiedyś, wracając ze spaceru w Dębowcu usłyszałem z daleka ochryply, chóralny śpiew. Piaszczystą drogą wzdłuż lasu zbliżały się wozy. Cztery czy pięć, a na nich ludzie w szarych drelichach, w furazerkach i połówkach. Lufy karabinów i stenów sterczały nieporządnie na wszystkie strony. „Idą, idą partyzanci, w sercach niosą ludu gniew”. Przyspieszyłem kroku, zacząłem biec, ciągnąć moich zdumionych wychowanków za ręce. Zdyszany stanąłem na skraju drogi przed pierwszą, nadciągającą furmanką. Zatrzymała się. Śpiew umilkł. Zakurzone, wynędzniałe twarze (przypominałem sobie dwóch chłopców przy szosie w dniu przyjazdu) zwróciły się ku mnie pytająco. „Co jest?” rzucił szorstko człowiek, wyglądający na dowódcę. Nie miałem żadnej odpowiedzi. Zacząłem nerwowo trzepać się po kieszeniach w poszukiwaniu papierosów, ale zapomniałem je zabrać. Wozy ruszyły dalej i po chwili śpiew pokrył skrzypienie kół. A Jurek i Krzysł śmieli się ze mnie. „Pancio ma fioła, pancio ma fioła!” pokrzykiwali z uciechą.

W kilka dni potem, o świcie, po dachu pałacu przetoczył się głośny warkot. Charakterystyczny, rozklekotany jakby rytm siłnika zdradzał Storcha. Dopadłszy okna, zdążyłem jeszcze zobaczyć go jak oddalał się na wschód, ku lasom, sięgającym tam brzegów rzeki. Wkrótce potem wracał znów od północy, lecz tym razem towarzyszyło mu na ziemi burczenie licznych, zbliżających się motorów. Ledwo zesłiśmy na śniadanie, dziedziniec i podjazd zapelnily kryte brezentem ciężarówka, szare łaziki i motocykle. Zaroiło się od żołnierzy w mundurach Waffen S.S. Niemcy nie wchodzili do pałacu i nie zwracali żadnej uwagi na jego mieszkańców. Grupa oficerów rozstawiła na gazonie podjazdu stładany stolik z przyszpiloną doń mapą. Po obu stronach alei żołnierze wbiili wysokie tyki, połączone sznurem. W cieniu stanął ambulans ze znakiem czerwonego krzyża.

Storch krążył niezmordowanie. Za którymś razem obniżył nad aleją lot tak, że rozkraczonymi kołami muskał niemal czuby drzew i zrzucił jakiś pakuneczek na długiej, falującej w powietrzu linie. Linka zahaczyła się o sznur między tyczkami. Jeden z oficerów podbiegł, odczepił pakiecik. Był to widocznie meldunek zwiadowcy. Zaraz potem rozległy się gwizdki i wrzaski komend. Żołnierze ustawiali się drużynami, wsiadali z powrotem do samochodów, po czym ciężarówki, jedna za drugą, wytoczyły się za bramę. Wkrótce potem, z kierunku lasu, gdzie odleciał Storch, dobiegły tępe odgłosy eksplozji, a po dalszych kilkunastu minutach usłyszeliśmy jazgot broni maszynowej.

O nauce tego dnia nie było mowy. Chodząc od okna do okna, śledziliśmy rozwój wypadków. Odszukałem w kredensie Staszka. „Co się dzieje? „Andrzej obozuje na bagnach, w Silnickim lesie” odparł. „Dopadli go tam”. Widząc niepokój w moich oczach, uśmiechnął się. „Da sobie radę”.

Strzelanina to nasilała się, to słabła. Storch krążył, zrzucił meldunki, oficerowie urządzali nad mapą, gońcy na motocyklach wypadali na szosę, wracali. Oglądaliśmy pracę sztabu, kierującego z daleka bitwą.

Koło południa wróciła jedna z ciężarówek. Jechała bardzo powoli. Zaparkowała koło ambulansu, z którego wysiadł lekarz w białym kitlu narzuconym na mundur. Sanitariusze wynosili spod brezentu na noszach rannych, innym, mniej uszkodzonym (obandażowane głowy, ręce na temblakach) pomagali zgramolić się na ziemię. Niektóre nosze stawiano obok ambulansu, w cieniu drzew. Rozciągnięte na nich ciała nie zdradzały oznak życia. Lekarz pochylał się nad nimi i przecząco potrząsał głową. W pewnej chwili popłoch wśród Niemców wzbudził samotny koń, który cwałem wpadł między nich od bramy. Spieniony, z rozerwaną uzdą i przekrzywionym siodłem na grzbiecie, pedził aleją ku folwarcznemu obejściu, wymijając pojazdy i roztrącając ludzi. Był to jeden z wierzchowców z hrabskiej stajni, zarekwirowany przez partyzantów jakiś czas temu. Ten widok przeraził mnie. Powracający z pola bitwy koń wydał mi się zwiastunem klęski. Zaraz jednak nasze poruszenie wywołał otwarty łązik, którym rano, na czele kolumny wyruszał jej dowódca, młody oficer z odznaczeniem Ritterkreutz, widocznym w rozwarciu kołnierza. Wtedy stał w samochodzie, obok kierowcy, wsparty urękawiczonymi dłońmi o przednią szybę, bez hełmu, z rudawymi włosami powiewającymi na wietrze. Teraz leżał na tylnym siedzeniu, podtrzymywany za ramiona przez barczystego podoficera. Jego przechylona w tył głowa podskakiwała bezwładnie. Jeszcze parę godzin temu wyglądał jak wcielenie zwycięskiego boga wojny. Obskoczył go natychmiast tłum mundurów wśród pełnego podniecenia gwaru gardłowych głosów.

Tymczasem bitwa wyraźnie dogasała. Pukały jeszcze tylko pojedyncze strzały. Nad Silnickim lasem stał pośród czystego nieba słup burego dymu. Wracały ciężarówki. Żołnierze spoceni, zakurzeni, wyskakiwali z nich i tłoczyli się wokół wiader z wodą, które Błażej wynosił z kuchni. Szczękały niecierpliwie menażki i kubki. Storch zatoczył jeszcze jedną rundę nad pałacem i odleciał na zachód. Oficerowie na gazonie zwinęli mapę. Wtedy wjechał w aleję chłopski wóz, zaprzężony w dwa liche konie. Powoził nim żołnierz niemiecki, a kilku innych, z automatami w dłoniach, szło po bokach. Wóz zatrzymał się na podjeździe. Wypełniony był jakimisź szmatami i gratami. Części znoszonych przyodziewków, osmolony kocioł, drewniana skrzynka po amunicji, kilka worków z kaszą czy mąką. Oficerowie obstąpili furę, oglądali ten łup wojenny z marketnymi minami. Staszek stanął koło mnie przy oknie. Oczy mu się śmiały. „Ani jednego jeńca!” powiedział.

Że wojna się kończy i że skończy się klęską Niemiec, było już jasne dla każdego. Cicha dotychczas szosa ożyła. Każdego niemal dnia widywaliśmy teraz na niej zdżozone kolumny wojska, podążające ze wschodu na zachód, w coraz mniej zdyscyplinowanym odwróceniu. Z dnia na dzień oczekiwaliśmy wiadomości o lądowaniu Aliantów w Zachodniej Europie. Aż nagle szosa zamarła znowu. Pewnej nocy partyzanci wysadzili w powietrze most na Pilicy. Oglądany z tarasu widok potrzaskanych, zapadłych w wodę belek, wzbudził nieoczekiwany gniew hrabiego Stanisława. „Te chamy umieją tylko niszczyć”, sarknął.

Zanim jednak doszło do wysadzenia mostu, w M. zatrzymał się oddział Węgrów. Była to obsługa naziemna jakiegoś ewakuowanego ze wschodu lotniska. W porządnym, kawowego koloru mundurach, w furazerkach z „bączkiem” wyższych nad czołem, z końcami zrolowanymi starannie wokół tornistrów pokrytych cielecą skórą, żołnierze wyglądali schludnie i sprawiali sympatyczne wrażenie. Mieli ze sobą siedem wozów taborowych, zaprzężonych w ciężkie, dobrze utrzymane konie. Dowódca oddziału, młody porucznik z ciemnym, równo przystrzyżonym wąsikiem, przyszedł do pałacu przedstawić się właścicielom i prosić o kwatery. Ulokowano go w oficynie, naprzeciw izdebki księdza Kristena. Wojsko zajęło stodoły. Przed nimi dymiła kuchnia polowa i ciągnął się równą linią rząd ustawionych w kozły karabinów. Oglądaliśmy to obozowisko, wymieniając z Węgrami uprzejme uśmiechy. Stara hrabina wydawała się szczególnie zainteresowana. Znała trochę węgierski, wdawała się z żołnierzami w przyjazne pogawędki. Kiedy wracaliśmy z folwarku na kolację, ujęła mnie delikatnie za ramię „Tyle dobrej broni” powiedziała jakby z żalem. „Czy nie szkoda, panie Andrzeju, żeby się marnowała? Mogłaby posłużyć naszej sprawie.” Mnie też ta myśl przyszła do głowy. Po kolacji ruszyłem na poszukiwanie Staszka. Nigdzie nie mogłem go znaleźć. Błazej powiedział mi, że syn pojechał gdzieś na rowerze.

Wrócił o zmroku „Już załatwione” rzekł, kiedy zacząłem wyluszczać mu sprawę. „Zaraz będzie tu ktoś z Obwodu”. Rzeczywiście, nadjechał wkrótce konno pan K., inżynier-rolnik, zarządzający położonym za rzeką „Liegenschaftem”. Nieraz widywałem go w pałacu. Z humorem opowiadał o swoich kłopotach z Niemcami, pijąc likier przy kominku w salonie. Szczupły, zawsze starannie ubrany w samodziśły angielskiego kroju, nie wzbudzał żadnych skojarzeń z konspiracją. Teraz, oddawszy konia Staszko-wi, znikł w oficynie. Nie widziałem kiedy odjechał. Miałem trudności z zagonieniem dzieci do łóżek. Obecność Węgrów wprawiała wszystkich w podniecenie. Żołnierze rozpalili na gumnie ogniska. Poprzez drzewa parku migotały krwawe błyski i niesły się stumione odgłosy pieśni o dziwnie skandowanych rytmach. Ciepłą, majową noc przesycał zapach maciejki i dymu. Nad stawem, wypolerowanym blaskiem pełnego księżyca, spotkałem księdza Kristena. „Pan też nie może spać?” zagadnął. „Piękna noc” odparłem. „Nie ma się czego obawiać” rzekł. „Wszystko odbędzie się spokojnie.” Zwolna ruszyliśmy ku zabudowaniom folwarcznym. Węgrzy siedzieli wokół ognisk, popijali z manierek – pewnie wino. Ruchliwa tupa igrała na śniadych, przeważnie wąsatych twarzach; na pochylonych łufach ustawionych w kozły karabinów. Żaden wartownik nie krążył po majdanie. Przystanęliśmy na skraju cienia. I niemal w tej samej chwili usłyszeliśmy niegłośny okrzyk za murem, nad którym ukazały się natychmiast liczne głowy, barki, sylwetki w skoku. Partyzanci biegli ze wszystkich stron ku ognisku, pochyleni z gotową do strzału bronią w rękach. Węgrzy wstawali z ziemi bez pośpiechu, podnosili w górę

ramiona, nie wypuszczając manierek z dłoni. Napadnięci i napastnicy zmieszali się w jeden tłum, burzący nieporządnym gwarem – podnieconym, lecz pozbawionym nut paniki czy złości. Wszystko razem trwało nie dłużej niż kwadrans. Partyzanci zaprzęgali taborowe wozy, ładowali na nie karabiny. Węgrzy znikali gromadkami w otwartych wrotach stodół.

Wróciliśmy w mroczną aleję. Spotkaliśmy tu starą hrabinę. Z niepokojem zapytała, czy słyszeliśmy wystrzał w oficynie. Nie słyszeliśmy. „Boję się, czy sobie czegoś nie zrobił” powiedziała. „Taki młody, sympatyczny.” Ksiądz Kristen roześmiał się cicho. „Niech się pani uspokoi, pani hrabino. Nic mu się nie stało.” I nadsądziwanie świadom rzeczy, opowiedział nam, że porucznik węgierski, oświadczwszy panu K.. iż honor oficera nie pozwala mu poddać się bez walki, ustalił z nim, że drzwi pokoju muszą zostać wyważone siłą, a on sam musi oddać strzał. Tak się stało. Na wszelki wypadek Staszek oblużował zawczasu śruby zamku. Strzał z małego Walthera szóстки został oddany w sufit.

* * *

Wiosna była wyjątkowo piękna tamtego roku. Wzmagało to dodatkowo moją niecierpliwość. Tym bardziej, że wieści, docierające z frontów świadczyły coraz dobitniej o zbliżającym się finale. Bitwa o Monte Cassino zakończyła się zwycięstwem, i to zwycięstwem polskim. Nad ruinami klasztoru powiewała biało-czerwona flaga. Równocześnie jednak nastąpiło jakby zahamowanie. Most na Pilicy został naprawiony i strzegły go dniem i nocą niemieckie posterunki, ale fala odwrotu wyszła. szosa, jak dawniej, leżała niemal pusta. Tylko od łąk przyjeżdżały nią do wsi fury z sianem. Jurek miał wkrótce zdawać egzamin do pierwszej klasy. Powiniennem był doprowadzić go do tego programu.

Tymczasem życie w pałacu toczyło się swoim zwykłym trybem. Życie towarzyskie głównie, bo gospodarstwem hrabiostwo się nie zajmowali. Kiedyś, gdy jechaliśmy bryczką na spacer, hrabia Stanisław zadziwił mnie rozmiarami swej nieświadomości w tym względzie. Wodząc zadumany wrokiem po polach, zastanawiał się głośno: „Moje, czy nie moje?”

Od czasu do czasu składaliśmy wizyty sąsiadom. Wybór ekipażu zależał od pozycji społecznej odwiedzanej osoby. Do leśniczego w Silniczu wystarczał waszązek na wysokich kołach. Do państwa B... właścicieli dużego, wzorowo prowadzonego majątku, odległego o jakieś dwadzieścia kilometrów, wybraliśmy się głębokim landem, ze stan-gretem w liberii na koźle. Samo powożenie poddane było swoistym regułom elegancji. Żadnego gminnego „wio”!, żadnego „pr!”!. Konie ruszały na cichym głosie wydaną komendę: „daaale!”!, stawały na okrzyk: „stój!”

Dwór państwa B. urządzony był nowocześnie. Łazienki wyłożone błękitnymi kafelkami, centralne ogrzewanie, rozsuwane, oszklone drzwi między reprezentacyjnymi pokojami na parterze.

Z gospodarzy zapamiętałem tylko panią B., młodą przysadziłą kobietę o bardzo ciemnych włosach i oczach oraz energicznym, władcym sposobie bycia. Były tam jeszcze jakieś dzieci, z którymi bawił się Jurek i guwernantka i jacyś członkowie rodziny – niewyraźne cienie. Wyraźnie natomiast przetrwały w mojej pamięci postaci gości, którzy

owego dnia zasiedli z nami do stołu, bo ich szczególnie – jakkolwiek przypadkowy – dobór wydał mi się wtedy wynikiem groteskowej i symbolicznej zarazem reżyserii.

Pani B. uprzeczyla nas zawczasu, że niestety, będziemy musieli jeść obiad w towarzystwie Niemca, inspektora Landwirtschaftliche Zentralstelle, który zapowiedział swój przyjazd. Nie mogła mu odmówić, bo ma on wpływ na wymiar kontyngentów. Zresztą to nieszkodliwy Austriak. Rzeczywiście warkot silnika obwieścił wkrótce jego przybycie. Gruby, łysawy, w tyrolskiej kurtce z zielonymi wylogami, w bryczesach i żółtych sztylpach, wyglądał jak przesadnie ucharakteryzowany aktor. Dwóch rezydentów dworu zidentyfikowałem (trafnie, jak się okazało) jako oficerów NSZ. Myjąc ręce po przyjeździe, obserwowałem ich przez okno łazienki. Spacerowali wokół klombu, pograżeni w poufnej rozmowie. Obaj w błyszczących cholewach – starszy szpakowaty, barczysty, młodszy szczupły, z jasnym wąsikiem. Dotarł do mnie urywek ich konwersacji. „Tragedia Gibraltarska wyjdzie nam w końcu na korzyść.” – mówił szpakowaty – „Z tym starym masonem nie dogadalibyśmy się nigdy.”

Przed samym obiadem ogólne poruszenie wywołało pojawienie się kolejnego, niespodziewanego gościa. Na podjeździe zatrzymała się dwukonna bryczka, a z niej wysiadł biskup w czerwonej piusce na głowie. Okazały, jowialny, z wielkim, mięsistym nosem, łaskawie przyjmował ukłony i dygi, podsuwając pobożnym wargom masywny pierścien. „Prosimy, prosimy!” wykrzykiwała pani domu. „To wielki zaszczyt, że eminenca był łaskaw...” „Przejeżdżałem tędy”, rzekł eminenca dobrotliwym tonem, „więc pomyślałem sobie, że trzeba odwiedzić dobrych ludzi”.

Wniesiono zupeł. Staliśmy wokół długiego stołu, podczas gdy biskup mamrotał błogosławieństwo. Niemiec przeżegnał się szerokim, ostentacyjnym gestem. Jego włochata łapa przemknęła nad wpiętym w klapę znaczkiem ze swastyką. Konspiratorzy zerkali ku niemu nieufnie. Pełnego skrępowania nastroju nie były w stanie rozproszyć towarzyskie wysiłki pani B. Milczeliśmy, pochyleni nad talerzami, tylko biskup zachowywał całkowitą swobodę. Chwalił „znakomity barszczyk”, żartował z dziećmi, nawet Niemca zaszczylił paru przyjemnymi słowami. Złoty łańcuch z krzyżem lśnił na jego szerokiej pierści, czerwona piuska górowała nad naszymi głowami, nad naszymi lękami, niepokojami, urazami, nad wojną, która zdawała się nie dotyczyć jego wyniosłej rzeczywistości.

Wydało mi się, że ta osobliwa mieszanka jest szczytem nieprawdopodobieństwa. Myliłem się. Nim dojeśliśmy zupeł, wbiegł, dosłownie wbiegł, zaferowany lokaj w prątkowanej kamizelce i pochyliwszy się do ucha gospodarza, wyszeptał jakąś wiadomość, kłopotliwą widocznie, bo pan domu uniósł wysoko brwi i bezradnie rozłożył ręce. „Jasza przyszedł” powiedział do żony głosem, który wzywał ratunku. Twarze konspiratorów zeszytwniały, Niemiec pobladł, zaczął rozglądać się trwożnie, jakby wypatrywał drogi ucieczki. „Jasza?” zapytał biskup z dobrotliwym uśmiechem. „Ten od spadochroniarzy sowieckich? No chyba znajdzie się dla niego jeszcze miejsce przy stole?”

Nie było czasu na rozstrzygnięcie tej kwestii, bo Jasza już wkraczał do jadalni. Wysoki, z szeroką ogorzałą twarzą uśmiechniętą od ucha do ucha, w splewiałej gimnastorce i z naganem u pasa. Przystanął, rozbawionym spojrzeniem wodził po biesiadnikach, najwyraźniej uszczęśliwiony wrażeniem, jakie wywołał. „Da zdrastwujcie!” wykrzyknął. Pani B. poderwała się z miejsca. Starając się zachować spokój wydawała dyspozycję lokajowi. Posadzono przybysza między hrabiną P. a biskupem. Spozstrzegłem, że Niemiec trzęsącymi się palcami odkręca partyjną odznakę i chowa ją do kieszeni.

Obecność Jaszy zmieniła całkowicie układ towarzyskich napięć. Dotychczas przyczyną ogólnego zakłopotania był Austriak, którego należało tolerować uprzejmie lecz chłodno, dając mu do zrozumienia, że jest tutaj obcy – z czym zresztą godził się pokornie. Jasza wniósł nowy ton wesołej agresji, wobec której trudno było znaleźć właściwą postawę. Sąsiedztwo biskupa i hrabiny (prawidłna grafina!) podniecało go najwyraźniej. Próbował mówić po polsku, śmiejąc się głośno z popełnianych błędów, a może raczej z języka, który tak złośliwie stawiał mu opór. Wznosił hałaśliwe toasty „za družbę”, podejmowane przez nas z ociąganiem. Hrabina P. zmobilizowała całą swoją dystynkcję, maskowaną zazwyczaj pozorami sportowej bezpośredniości. Puszczala mimo uszu żartobliwe zaczepki, widać jednak było, że żywiołowy temperament Jaszy fascynuje ją i onieśmiela. Tylko biskup bez trudu panował nad sytuacją. Zwracał się do partyzanta per „moje dziecko” i łagodnym głosem mitygował jego wybuchy.

Przebiegu rozmów przy stole nie potrafię odtworzyć. Pozostało mi ogólne wrażenie nie tyle starcia, ile raczej spotkania – rozpoznawczego spotkania – dwóch, nie wątpiących o swej sile potęg. Ich przedstawicielami byli biskup i Jasza.

W krótki czas po tej wizycie dowiedzieliśmy się, że państwo B. zostali uprowadzeni przez oddział A.L. Słuch o nich zaginał.

* * *

Egzaminy wstępne moich uczniów odbywały się w miasteczku K. Był początek czerwca. Alianci wyładowali wreszcie w północnej Francji. Miałem już zapewnione przyjęcie do oddziału Marcina. Załatwił mi to pan K., każąc odczekać tylko tych parę dni.

Krewini moich gospodarzy mieli rozległe dobra w bliskim sąsiedztwie K. Udałymi się tam paradnym landem – hrabiostwo P., Jurek, Krzys i ja. Rezydencją owych krewnych był zamek. Prawdziwy, siedemnastowieczny zamek z obronnymi basztami, z fosą, z mostem – niegdyś zwodzonym – wiodącym do okazałej bramy. W obszernej, sklepionej sieni wisiały poczerńiałe portrety przodków, a u stóp schodów stały dwa wypchane niedźwiedzie. Podobno kiedyś dowódca oddziału A.L., który nawiedził zamek nocą, zapytał właściciela kim są osoby na obrazach. „To pradziadkowie” wyjaśnił gospodarz. Wówczas ałowiec, wskazując na niedźwiedzie, uzupełnił: „A to pewnie prababki”.

Pośród mieszkańców zamku w Ch. pamiętam tylko bardzo godnego starca, którego tytułowano ambasadorem. Był częściowo sparalizowany. Do stołu przyprowadzało go, a właściwie przynosiło (bo zwiślał bezwładnie na ich ramionach) dwóch służących. Stawiano przed nim talerz kaszki, którą spożywał z wyraźnym obrzydzeniem. Opowiadało, że ambasador ma w Rzymie przyjaciela – sadybę, przysyłającego regularnie sprawozdania z wytwornych obiadów i kolacyjek. Biedny starzec odchorowywał te gastronomiczne komunikaty. Był jednak ambasador dominującą postacią w zamku. Pisał wiersze. Odczytywał je wieczorami przy kominku wcale jeszcze donośnym głosem. Odnaczały się wielkim nasileniem uczuć religijnych i patriotycznych.

Nasz pobyt w Ch. trwał trzy, może cztery dni. Chłopcy zdali pomyślnie egzaminy, wracaliśmy więc w radosnym nastroju.

Dalej! Dalej! Żwawym kłusem okrążaliśmy podjazd pałacu w M. Turkot kół, parskanie koni wywabiały przed drzwi gromadkę domowników. Pierwszy wyskoczył z landu Jurek. Podniecony do nieprzytomności swoim sukcesem, porwał walającą się koło

sch. dów cegłę, rzucił. Trafił w głowę lokajczyka Staszka. Ten padł na ziemię, zemdlny. W ogólnym zamieszaniu nie zauważyliśmy gdzie umknął młody zamachowiec. Szukaliśmy go całe popołudnie. Nawoływaliśmy, przetrząsaliśmy park, obory i stajnie. Pod wieczór, stara hrabina przy pomocy spanielki Azy wytropiła go, zaszytego między krzaki róż. Hrabia Stanisław zażądał wydania przestępcy w jego ręce. Jurek wrócił do naszego wspólnego pokoju czerwony, wściekły, z policzkami mokrymi od łez. Po chwili zostałem wezwany do gabinetu hrabiiego. Na stoliku stała flaszka Benedyktynki i dwa kieliszki. Zasiadliśmy w fotelach, wypiliśmy. Hrabia wskazał na sofę, na której leżała złamana laseczka z kościaną gałką „Laskę na nim złamałem, panie Andrzeju” rzekł. „Sehce mi się khajało, bo bahdzo lubię tego chłopca, ale musiałem go skahcić, bo co by lud na to powiedział?”

Egzekucja Jurka była ostatnim aktem mego pobytu w M. Nazajutrz pan K. odwiózł mnie do obozu Marcina bryczuszką zaprzęzoną w ogrodowe kuce.

Pałac w M. już nie istnieje. Spłonął razem ze swoją wspaniałą biblioteką. Nie ma też zamku w Ch. Został wysadzony w powietrze. Pozostała po nim kupa szarych kamieni. Znikli też ludzie, których tutaj wspominam. Hrabiostwo P. wyemigrowali do Afryki, stara hrabina umarła, inni rozproszyli się po świecie. Przywołując czas przeżyty w tamtych miejscach, przywołując twarze, postacie i słowa, mam wrażenie, że rzeczywistość, do której należały była jedynie zapóźnionym echem innej epoki. Epoki już wtedy dawno minionej.

POLNISCHE BUCHHANDLUNG

KSIĘGARNIA POLSKA

BURGGASSE 22, A-1070 WIEN
Tel. (0222) 93 87 222

Godziny otwarcia / Öffnungszeiten:
Codziennie / Täglich 10.00–18.00
Sobota / Samstag 9.00–12.00

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA / BUCHVERSAND

Konto pocztowe / PSK 7227.556

Jacek Kaczmarski

PIĘĆ SONETÓW

O UMIERANIU KOMUNIZMU

Alinie

I

A kiedy będzie komunizm umierał,
(W końcu okrutny garbus z urodzenia)
Czy zstąpi Człowiek pełen przebaczenia,
By pot mu z czoła śmiertelny ocierał?
Może przedwcześnie mówić o tym teraz,
Skoro wciąż żyje w spoconych wspomnieniach
Czasów, gdy odniósł zwycięstwo garbate
Nad ludźmi – wierząc szczerze, że nad światem;
Świat pragnął kary, szukał rozgrzeszenia
I grzebał szczodłą łapką po kieszeniach,
Bo wszystkie grzechy mają swą opłatę...
Opłatą miał mu być pokuty kierat.
Więc, kiedy będzie komunizm umierał –
Zali oplata starczy na opłatek?

II

Czy – kiedy umrze – będą płakać po nim
Ci tylko, którzy zań za życia zmarli?
Czy w tych, co z objęć jego się wydarli
Karlem się jakimś odrodzi po zgonie?
Nawet jeżeli ten plód się poroni –
Mogą zachować go ludzie „normalni”
I przetrwa w słoju, jak człowiecze strzępy,
Którymi karmił swe eksperymenty
W laboratoriach łagrów i sypialni.

Więc – kiedy umrze – wskrzeszą go bezkarni,
 Bezmyślni – myśląc, że jest niepojęty
 I wychuchają czule w konchach dłoni
 Wierząc, że dla nich wraca, a nie – po nich
 I może znowu go ogłoszą świętym!

III

Chyba, że umrze, jak umiera krater,
 Który nie cierpi w śmierci samotności;
 Na stosie idej – płoną ludzie prości,
 Jak dowiódł faszyzm, który był mu bratem.
 Czy więc zamykać mu powieki zatem,
 Gdy – rozpalone oczy do białości?
 Chce kartezjańska Europa wierzyć,
 Że jest skazańca wolą – żyć, lub nie żyć,
 A ziemię wszędzie użyźniają kości
 Tych, co nie mieli – woli możliwości.
 Więc, jeśli śmierć ta ma się tak rozszerzyć,
 Że będzie ślepym, oszalałym katem
 Co szczodłą rzezią zegna się ze światem –
 Kto ma powitać ją i przy tym – przeżyć?

IV

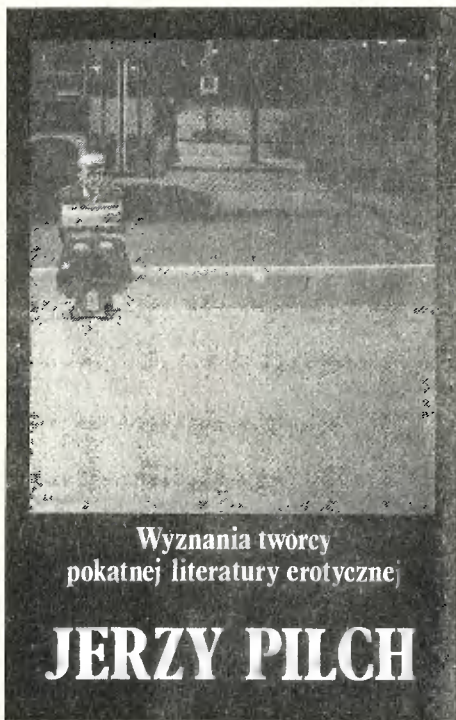
A może będzie tak, jak pisał Miłosz
 O końcu świata – (A to śmierć potwora):
 Staruszek grzebie w młodych pomidorach,
 A nam się żyje tak, jak nam się żyło.
 Na takiej stypie nieźle by się piło,
 Gdyby nie pogrom, co zajądł wczoraj
 I pod nogami grunt, jak ciało młękki:
 Trawy dotykasz, jakbyś dotknął ręki
 Co, chociaż martwa – wciąż do pieszczot skora.
 Jest w tym dotyku nieprzyjemny morał
 Apolityczne wzbudzający lęki.
 Umarł – pomyślisz – i co się zmieniło?
 – A gdzie jest Wiara, Nadzieja i Miłość?
 – Nowo-nazwane stare drwią udreki.

V

A gdy komunizm w śmierci się nie zmieści
Gryząc nas w oczy, jak brudne pazury –
Z tych, co się skarżą, czy znajdzie się który,
Co go dobije na łożu boleści?
Wiem, że myśl o tym z czułością się pieści,
Lecz gdy realne kroją się kontury,
Gdy stal się staje sekatorem skóry –
Zabić – i przy tym siebie nie zbecześcić
To niemożliwość. Kwadratna koła.
Bezbronność zasad i zaśpiew Chochola
(Chyba, że tylko jako temat pieśni...)
Szkoda nas wszystkich do tej walki zgoła;
Tam, gdzie jest człowiek, zawsze będą szczury
I krew, co wieczne spryskuje marmury.

21.1.89

NOWOŚĆ



cena £5.50 plus przesyłka

**Puls Publications
BCM Box 697, London WC1N 3XX
United Kingdom**

Paweł Huelle

Z KSIĘGI LICZB

I

Z biegiem lat schematy komplikowały się coraz bardziej. Miejsce lamp o pięknym metalicznym blasku lub brązowo-złotym odcieniu zajmowały powoli diody, tranzystory i drukowane obwody, które nigdy nie budziły zachwytu Piotra. Wyglądały jak ścieżki korników, wydrążone w mrocznych korytarzach sosnowego drewna. Tymczasem obraz ojca pochylonego nad wiśniową skrzynią „Telefunkena” albo nad szeroką skalą „Elektrit” miał dla Piotra coś z atmosfery kościoła. Ojciec wylaniał się z mroku obłany złotym światłem bocznych żarówek, a cudowne, magiczne oko reagowało na każdy ruch jego ręki, wydzielając wokół siebie zielonkawą poświatę. Piotr szedł więc dalej, w głąb, przeciw nurtowi czasu i gdzieś w połowie lat sześćdziesiątych trafił wreszcie na schemat wyłącznic lampowy, co wzbudziło jego szczególne wzruszenie. Ojciec należał w pełni do epoki odbiorników lampowych i Piotr poczuł, że dopiero teraz wkracza we właściwą atmosferę. W klimat dojrzałych lat ojca, kiedy ten zapuścił na dobre korzenie w ich mieście, kiedy ożenił się i spłodził potomka, nadając mu na chrzcie imię Piotra. Przypominał sobie, że matka pamiętała tamten wieczór w sposób szczególny. Ojciec usłyszał w wieczornym dzienniku o egzekucji Imre Nagy’ego. – Powiesili go, powiesili! – wykrzykiwał, biegnąc po mieszkaniu. – To już koniec – dodawał zapalając papierosa – niedługo przyjdą tu do nas i zrobią to samo! – Tej nocy ojciec złożył nasienie z załączkiem Piotra w łonie matki i nie mógł zasnąć do rana. To, co nie dawało mu spać, nie miało związku z fizycznym aktem zbliżenia, czy poczuciem rozkoszy. Cień Imre Nagy’ego i luna nad wyspą Csepel kołysały się nad łóżkiem rodziców Piotra, poruszane niewidzialną dłonią Ducha Dziejów.

Przeglądał więc kolejne roczniki „Radioamatora” i znajdował w nich portret swojego ojca. Było to jedyne pismo, które prenumerował i które czytał od deski do deski. Każdą stronę, którą Piotr przerzucał teraz niedbale i pospiesznie, palce ojca przesuwały wolno i uważnie. Każdy schemat, który dla Piotra stanowił płataninę linii i punktów, dla ojca był ciekawą kompozycją, godną uwagi i studiów. Nad brunatnymi okładkami unosił się dyskretny zapach kalafonii i stopionej cyny, nagrzana lutownica wykonywała w powietrzu precyzyjne ruchy, a Piotr składał na podłogę kolejne roczniki „Radioamatora i Krótkofalowca”, jak kolejne lata życia swojego ojca, których ten nigdy nie lubił wspominać ani opisywać. Może dlatego, że odczuwał lęk? A może dlatego, że musiałby pisać zbyt długo, zawile, bez nadziei na rozwikłanie poplątanych supłów? Matka nie wierzyła

w Boga i chociaż była w kościele parafialnym, jej wolnomyślny charakter przysparzał ojca niewymownego cierpienia. Matka nie wierzyła też w cudowne nawrócenie ojca, latem czterdziestego piątego roku, kiedy uciekał przed lejtnantem czerwonej armii, oficerem NK WD Michaiłem Ilijczem Markowem. Może nie wierzyła dlatego, że ścigali go Rosjanie? Matka bała się Niemców, a wobec Rosjan zachowywała powściągliwy dystans, co także denerwowało ojca. Na dźwięk mowy Johanna von Goethe reagował podobnie jak na język Fiodora Dostojewskiego – wyniosłą pogardą i obojętnością. O tym wszystkim milczały schematy odbiorników lampowych, ale Piotr, mimo ich małomówności, odnajdywał w płataninie czarnych kresek i płam czar magicznego oka. Tego samego, które wieczorami roztaczało zielonkawy blask w ich mieszkaniu i oblewało skronie ojca zielonkawym światłem. Czy dlatego cechowała go dobroć i pewien rodzaj zrezygnowanej melancholii? Tego Piotr nie wiedział nawet dzisiaj, ojciec potrafił być przecież surowy w wielu sprawach i tylko wobec matki ustępował z dnia na dzień, coraz bardziej i bardziej, aż wreszcie musiało dojść do całkowitej katastrofy. Piotr przypomniał sobie teraz tamten dzień, wczesne popołudnie, kiedy słońce wpadało do pokoju rodziców przez delikatne firanki, a on stał w progu pokoju, w rozpiętej koszuli, stał i patrzył jak jego mama przemienia się w Furie, aż wreszcie staje się jej alegorią, czystą esencją Furii. Na podłogę spadały odbiorniki lampowe ojca: „Stolica”, „Beethoven”, „Philips”, przedwojenny „Elektrit” wyprodukowany w Wilnie, potem „Eroica”, „Pionier” i wreszcie ukochany „Telefunken”, oczko w głowie ojca, „Telefunken” z wszystkim pasmami fal krótkich runął na parkiet roztrzaskując się z hukiem. – Poczekaj! Poczekaj! – ojciec usiłował coś wytłumaczyć, ale mama, która z Furii przemieniła się nagle w Walkirię niczego nie chciała słuchać. Wyrzucała z szafy kartony pełne błyszczących lamp, potencjometrów i ebonitowych gałek, tłukła szklane podziałki, darta w strzępy najnowsze, jeszcze nie oprowione egzemplarze „Radioamatora”, aż wreszcie, kończąc dzieło zniszczenia, cisnęła z pasją o ścianę krótkofalówkę SPO 218567, na której ojciec Piotra pobił kiedyś rekord krajowy, łącząc się ze stacją polarną na Antarktydzie. Ostatnie magiczne oko mrugało z podłogi w zwoju wyprutych kabli i drutów, ale jego agonię skrócił obcas mamy. Rozległ się trzask gnieczonego szkła i epoka odbiorników lampowych w domu dobiegła końca. W rocznikach, które przeglądał teraz Piotr, brakowało kilku numerów. Z lipca, sierpnia i września. To była wyrwa tamtego roku i pobudzona pamięć podsunęła Piotrowi jeszcze jeden obraz. W tym samym momencie, kiedy magiczne oko zatrzeszczało pod obcasem mamy, rozległ się dźwięk głośników i gdzieś, nie wiadomo skąd, popłynął przez pokój dziennik radiowy „Wolnej Europy”. I byłby to absolutny tryumf ojca, gdyby nie reakcja mamy. Myślała, że gdzieś w szafie ukryty jest jeszcze jeden czynny odbiornik, rzuciła się więc do półek, wyrzucając bieliznę, pościel, koszule, płaszcze i spodnie ojca, on patrzył na to spokojnie, Piotr stał dalej w progu pokoju i z policzków spływały mu ogromne, ciche łzy, a Duch Dziejów, o którym głośno rozwodził się spiker zagranicznej rozgłośni, Duch Dziejów jak zawsze poważny i namaszczonej, prowadził kolumny rosyjskich, polskich i niemieckich czołgów prosto przez Hradec Kralove do Pragi, popychając stalowe pojazdy swoim serdecznym palcem. Kiedy szafa była już pusta i pokój wyglądał jak po tajfunie, matka zrozumiała swój błąd. To sąsiad słuchał radia na cały regulator. Ale było już za późno. – Nigdy mnie nie zrozumiesz, nigdy – powiedziała do ojca i zabierając płaszcz, torebkę i parasolkę

wyszła z domu i nigdy już do niego nie wróciła. Tak właśnie było – płaszcz, parasolka, torebka i żadnych sentymentalnych wypominek, żadnych „chciałam”, „próbowałam”, „musisz zrozumieć moje potrzeby”, nic z tych słów i gestów nie pojawiło się między nimi – po tajfunie miała nastąpić cisza i cisza wypełniła rzeczywiście mieszkanie przy ulicy św. Bernarda, w którym pozostali ojciec i Piotr. I nawet teraz, kiedy pochyłał się nad schematami odbiorników lampowych, w których ukrywał się być może sekret jego ojca, przyznawał matce dużą klasę. Po wyjściu z mieszkania nigdy nie wracała po zapomnianą rzecz, nawet jeśli był to bilet do kina, czy bilet lotniczy w jedną stronę. Otdąd żyli z ojcem sami, a blask magicznego oka, podobnie jak Duch.Dziejów nie towarzyszył im jak dawniej. Ojciec nie kupował już i nie przerabiał starych radioodbiorników. zapach kalafonii i cyny ulotnił się z ich mieszkania na zawsze, a kiedy raz na pół roku w okolicach urodzin i imienin Piotra przychodziła barwna widokówka z zagranicznym znaczkiem, ojciec wchodził do pokoju Piotra, kładł ją na stole i wypowiadał sakramentalne „Do ciebie”. I to było właściwie wszystko, co pozostało po matce. Rok, a może dwa lata później, jak przypominał sobie teraz, ojciec odkrył inną zupełnie rzeczywistość i pasję. Piwnica, szopa w ogródku, cały przedpokój, łazienka i wreszcie jego pokój, ten sam, w którym przesiadywał długie godziny nad krótkofalówką, powoli wypełniały się częściami samochodu. Wał rozrzędu, wielkie okrągłe reflektory Bosch’a, drążek i kierownica z trójkątnym znaczkiem, bufiaste błotniki – wszystko to ojciec zdobywał mozolnie na targowiskach, składnicach złoma, sklepach żelaznych, wszystko to konserwował, czyścił i odkładał, zapisując w swoim notesie coraz nowe rzędy cyfr i wyliczeń. – Już niedługo – mówił do Piotra znad zębatego koła przekładni, które w jego dłoniach lśniło nowym, oliwkowym blaskiem – już niedługo, poczekaj jeszcze dwa lata. – W takich chwilach Piotr martwił się o niego bardzo. Blask magicznego oka odbiorników lampowych nie dał się bowiem z niczym porównać, a nowe roczniki „Radioamatora i Krótkofalowca”, które przychodziły na ich adres dalej, mimo że nikt nie płacił już prenumery, leżały nierozcięte na komódce jak wyrzut sumienia. Wtedy właśnie wiara Piotra w powodzenie Ojca wygasła zupełnie. Kiedy więc teraz wszystko zmierzało do finału, kiedy robotnicy wynieśli z mieszkania ostatnie kufrы i skrzynie i kiedy Piotr rozcinał ostatnie egzemplarze „Radioamatora i Krótkofalowca”, gdzie wszystkie schematy były już tranzystorowe, niepostrzeżenie nadpłynęła melancholia. Miał trzydzieści trzy lata i nadal prześladowały go zasadnicze wątpliwości.

II

A przecież po tamtej stronie czekało na niego nowe życie. Nowe zajęcia. nowe koszule, nowa szczoteczka do zębów, nowy smak wody, nowy zapach miast i nowy niewątpliwie uśmiech, który ćwiczył długo, przed lustrem, pamiętając zalecenia Racheli: miał być w sam raz, niezbyt naturalny, ale i nie nazbyt sztuczny, uśmiech wzbudzający zaufanie, sugerujący otwartość i prostotę, uśmiech bez cienia zadumy i jakiegokolwiek dwuznaczności. Szefer tragarzy podpisał kwit, Piotr wytłumaczył mu, którą bramą mają wjechać do portu, aż wreszcie, kiedy został sam w pustym pokoju, gdzie oprócz łóżka znajdowało się tylko pęknięte lustro i stopy pism ojca, właśnie w tym momencie kiedy spod domu ruszyła ciężarówka, Piotr zrozumiał przyczynę niepowodzenia swoich ćwiczeń.

Zurleiny brak koordynacji. Gdy jego oczy zwięzały się do odpowiednich rozmiarów, napinając policzki i unosząc zmarszczki o kilka milimetrów, usta pozostawały nadal niewzruszone. Albo na odwrót: kiedy wargi wyginały się w łuk pod odpowiednim kątem, oczy pozostawały martwe jak zimne kamyki. Dawało to efekt okropny. Twarz w lustrze nie była nawet twarzą błazna ani trefnisia. Była twarzą idioty. Śmieszyło go to nawet, ale tylko przez chwilę. Dlaczego nie potrafi się uśmiechnąć? Dlaczego zamiast pożądanego uśmiechu wywołuje jakiś grymas niepodobny do niczego? Wszystko to mogło być naturalnie bez znaczenia i takim w istocie było, gdyby nie wyjazd: postanowiony już i zdecydowany. Ów próg Nowego Świata stawał swoje wymagania, a Piotr, mimo najlepszych chęci nie mógł wyzbyć się podejrzania, że wszystko co ze sobą zabiera, to właśnie ten beznadziejny grymas. Niedojrzały, śmieszny, grymas człowieka z Europy Wschodniej – Polaka, Żyda, Czecha, Węgra, grymas kompromitujący od pierwszego wejrzenia, jak puste kieszenie, jak źle skrojona marynarka, grymas ukrywający nieudolnie wstydlive chwile biografii, owe mgnienia, o których zawsze chciałoby się zapomnieć, chwile, które stanowią o nas jako istotach pozbawionych wyrazistej i zdecydowanej formy egzystencji. Na wszelki wypadek nie podchodził więcej do lustra. Czekał na telefon, układając teraz roczniki „Radioamatora i Krótkofalowca” w równą piramidę. Wszystkie były rozcięte, a na podłodze, nie zamiatanej od kilku miesięcy pojawiła się biała warstwa maleńkich drobin papieru, zupełnie tak, jakby ktoś nieuważny pokruszył przed chwilą opłatek. I wtedy, po raz pierwszy pożałował, że nie ma z nim ojca. O czym mógł teraz myśleć? O dziadku Karolu? O miłości? O przeznaczeniu? A może tylko o kobietach i grzechu pierworodnym, niczym domorosły filozof starając się rozwikłać to, co i tak jest nie do rozwikłania? Po raz pierwszy żałował, że ojca nie ma pod ręką, bo jednak – co przyznawał w duchu – potrzeba mu było rady i wskazania, a może nawet pociechy. Potrzebny mu był ktoś, kto jak Bóg Abrahamowi wskaże odpowiedni kierunek i powie: Idź do tej ziemi, a napełnij duszę twoją spokojem i błogością, a dom twój we wszelki dostatek zaopatrzę. Albo – co także mogło się zdarzyć – pogrozi palcem i wykrzyknie: Nie idź tam, bo ziemia, do której dążysz, skażona jest grzechem i występkiem, na zatracenie pošlę obywateli jej, kiedy wypełni się miara nieprawości, deszcz ognia spuszcze na nich i smrodliwej siarki. Ale w pustym pokoju panowała zupełna cisza, nie tykał nawet zegar, Piotr nie słyszał żadnych głosów. a jego ojciec wędrował gdzieś po drogach południowej Polski, trawiony chorobą, o której profesor B. mówił szeptem i z blyskiem w oku, że jest „nadzwyczajna”, „niebywała” i „jedyna w swoim rodzaju”, choroba, na którą nie ma lekarstwa nigdzie – na Wschodzie ani na Zachodzie. Piotr pomyślał też, że czterdzieści lat temu ojciec był w znacznie lepszej sytuacji. Ścigał go wprawdzie oddział NKWD i nie miał gdzie się schronić, ale otrzymał znak i potrafił go odczytać. Dlatego dotarł nad zatokę i w spalonym mieście, z którego wychodzili właśnie Niemcy, rozpoczął nowe życie. Ojciec – Abraham – pomyślał z rozbawieniem, kończąc układanie pism, lecz zaraz to porównanie, które przyszło nie wiedzieć skąd, wydało się Piotrowi niestosowne i w jakimś sensie groźne. Któż bowiem może sądzić, że ma przymierze z Panem Bogiem? Ach, gdyby mógł uciec od tego wszystkiego już teraz, nie czekając na telefon Racheli, byłby zupełnie spokojny i szczęśliwy. Przeciąłby swoje życie na pół, rozdarł jak kawałek starego płótna i to, co było za nim, rzucił za siebie, nie oglądając się ani razu. Ale statek odchodził dopiero za cztery dni, telefon milczał, a Piotr, który rozciął już i uporządkował wszystkie roczniki „Krótkofalowca i Radioamatora”, Piotr,

który z takim poruszeniem wspominał magiczne oko odbiorników lampowych, pełen był niepokoju i niejasnych przeczuc. Podeszedł do okna i wsparty o zakurzoną framugę bębnił palcami o parapet. Jego wzrok obejmował ulicę świętego Bernarda, szarą i bezbarwną o tej porze roku, nagie sylwetki kasztanów, rozwalony śmietnik i fruwające wokół niego płachty gazet. Słońce, które wypłynęło nagle zza ołowianej chmury, rozświetliło pusty pokój i Piotr ujrzał w jego wnętrzu złoty słupek kurzu. Tysiące połyskujących drobin wznosiło się i opadało, wirując w rytmie nieznaney muzyki, a on, nie mogąc się zdecydować, stał między oknem a telefonem, myśląc o swoim ojcu. Wreszcie zadzwonił telefon, ale nie była to Rachela. Szef tragarzy miał kłopoty i pytał, czy wszystkie płótna, zwinięte i opisane, mają oddzielną listę, którą trzeba zostawić w urzędzie celnym. Kiedy doszli do porozumienia i kiedy odłożył zrezygnowany słuchawkę, słońce schowało się znów za chmury i wirujący słupek kurzu zniknął. Pokój był szary i pusty jak przed chwilą. Piotr założył płaszcz, wetknął w kieszeń butelkę brandy i nie przekręcając klucza w zamku, wyszedł na ulicę.

III

Gdyby przypuszczał, że spotka pułkownika w podmiejskim lasku, gdyby podejrzewał, że ujrzy go tak nagle i bez zapowiedzi, może miałby w zanadru gotowy wykręt, jakąś ogólną teorię, coś, co mógłby przeciwstawić potokowi jego zdań, który falował i wybierał niczym deszczowa struga. Ale pułkownik pojawił się tak prędko i niespodziewanie, z laską w dłoni, z płócienną torbą przewieszoną przez ramię, wypłynął tak nagle zza krzaka jałowca pobrzękując zebranyrm szkłem, że jedyne, co mógł zrobić, to zapewnić jak bardzo cieszy się z tego przypadkowego spotkania i słuchać natychmiast, niemal od samego początku, słuchać o tamtej chwili, kiedy dom pani Grety von Hoffmann spłonął jak drzazga, a oni ocalili swoje życie, wynieśli je stamtąd właściwie przez przypadek, bo gdyby odkryto ogień pięć, powiedzmy, sześć minut później, nie byłoby o czym gadać, nie byłoby tego wszystkiego i oni dwaj, to znaczy pułkownik i Piotr nie przeżyliby tych następnych dziesięciu lat, bo tyle chyba upłynęło od tamtego czasu, nie przeżyliby więc następnych dziesięciu lat i nie mogliby rozmawiać ze sobą teraz, w podmiejskim lasku, gdzie zetknął ich los albo ręka opatrności, bo to oczywiście nie mógł być przypadek, zdaniem pułkownika, żeby tak ot zwyczajnie nagle natknęli się na siebie na tej polanie. I – ciągnął niezmiernie pułkownik, przeskakując brunatne kałuże, rozchylając gałęzie, z których spadały krople deszczu, i wymachując rękami – to jest najlepsza okazja, żeby rozważyć wszystko raz jeszcze, dzień po dniu, minuta po minucie, żeby przypomnieć sobie dokładnie wszystkie szczegóły, bo przecież to nie mogła być żadna instalacja elektryczna, żadna tam iskra w przewodach, w takie rzeczy mógł wierzyć prokurator, komunistyczny prokurator, którego nie obchodziła ta sprawa więcej niż zeszlorzoczny śnieg, ale przecież nie on, pułkownik, który znał Gretę von Hoffmann najlepiej ze wszystkich mieszkańców tego domu, a może nawet mieszkańców tego miasta, nie, on nigdy nie uwierzy, że ten wypadek „wydarzył się z przyczyn technicznych” – czyjaś ręka była w tym nazbyt widoczna – ściszył głos prawie do szeptu, mimo iż na leśnej ścieżce byli zupełnie sami – czyjaś ręka pomogła w tym bardzo – a ja – dodał po chwili – miałem dosyć czasu, żeby o tym wszystkim pomyśleć. – Piotr nie zdążył jeszcze ochłonąć, gdy

pułkownik pochylił się nad krzakiem żarnowca i odchylając łaską grube łodygi, wyciągnął stamtąd pustą butelkę. Oczyszczył ją z błota i sklejonnych liści, po czym włożył do płóciennej torby, gdzie brzęczały już inne: po winie, piwie, wódce, puste butelki rzucane przez kłoszardów w podmiejskim lasku. – Ja tylko tak – powiedział do Piotra – dla zabicia czasu. Nie myślisz chyba, że to moje stałe zajęcie? – Ale zanim Piotr zdążył cokolwiek pomyśleć, pułkownik mówił dalej, że dzień dzisiaj nienajlepszy, bo wszyscy, nawet miejscowi pijaczkowie idą na cmentarz porządkować groby. I dopiero za trzy dni pojawią się tutaj, nieliczni zresztą, w rzadszej kompanii, bo opuszczają już bunkry – kończył frazę pułkownik – opuszczają poniemieckie bunkry i na zimę przenoszą się w cieplejsze miejsca.

Piotr nie był zachwycony. Najchętniej pożegnałby pułkownika po pierwszych minutach, kiedy fala słów spłynęła gdzieś daleko od niego i kiedy nie musiał jeszcze niczego komentować, ani wyjaśniać. Gokolwiek proponował bowiem pułkownik, dotyczyło to czasu przeszłego. Tymczasem on sam, idąc na spacer do podmiejskiego lasku pewien był jednej przynajmniej rzeczy: nie należy uchylać zatrzaśniętych drzwi. Tych, za którymi rozciąga się nader niepewna przestrzeń. Był też powód inny, bardziej konkretny – butelka w kieszeni, ledwie że napęczta czekała swojej chwili, ale nie towarzystwa. Chciał być sam ze swoimi myślami, właśnie tu, a nie w czterech ścianach domu, ale pułkownik po chwili przerwy, w której słychać było chlupot błota pod butami i szum spadających kropel, pułkownik rozpoczął zaraz swój taniec, w którym przeskakując z koleiny w koleinę, chwytając raz po raz ramię Piotra i żywo gestykułując (mimo laski i płóciennej torby), zadawał jedno po drugim zasadnicze pytanie: Co robił przez tyle czasu? Czy wtedy, po pożarze wrócił do ojca? Czy pogodził się z nim? Czy spotkał może Ewę? Czy słyszał coś o osobliwej i niezwyklej karierze jaką zrobił pan Skiwski? Tak, a co stało się z Walkirią? Bo kiedy któryś ze strażaków kopnął Bogu ducha winne stworzenie w pysk, suka ze skowytym pobiegła do lasu i nikt nie widział jej więcej. A jeszcze – czy nie sądzi – bo przecież coś musi sądzić na ten temat – że prokurator, który prowadził całe to dochodzenie miał z góry wyznaczoną rolę, posiadał szczegółowe instrukcje i zachowywał się wyzywająco obojętnie wobec faktów? Piotr odpowiadał krótko i rzeczowo, tak, aby zadowolić pułkownika, ale kiedy okazało się, że Ewy nie widział od sześciu albo i siedmiu lat, kiedy przyznał, że prokurator zrobił na nim wrażenie człowieka rzeczowego, który trzyma się ustalonych faktów i kiedy wyznał wreszcie, że losy posesji i tego co zostało po pani von Hoffmann niewiele go obchodziły, pułkownik nie potrafił ukryć irytacji.

– Czy wiesz ile za to zapłaciłem?! – krzyczał prawie – czy wiesz czego nie mogli mi wybaczyć? Że pisałem memoriały w obronie starej Niemry! A oni, oni – tu pułkownik zaciął się, nie mogąc znaleźć odpowiedniego określenia – oni takich rzeczy nie wybacza! przecież nigdy! A ba! Gdybyż to była jakaś Wanda Wasilewska! Ale Niemka! Niemka – rozumiesz?! Mnie szło o prawdę. Całą prawdę i tylko prawdę.

Ostatnie zdanie pułkownika zabrzmiało patetycznie, ale Piotr nie zdobył się na ironię. Pomyślał, że są już przecież innymi ludźmi. Nie tymi, którzy na tarasie rzucali niefrasobliwe żarciki pod adresem pani von Hoffmann, gemüthlich Frau, jak ją między sobą nazywali. Tak, pułkownik nie chadzał już na wyciągi konne, nie miał białej, codziennie czystej koszuli ani cudnego kapelusza „borsalino”, nie ścinał też naręczy kwiatów i nie urządzał świąt ostatniego pułku, a Piotr, który siedział teraz obok niego i słuchał opowieści

pułkownika o odysei mieszkaniowej, już po wszystkich szykanach, krótkich zatrzymaniach, niespodziewanych aresztach i przesłuchaniach. Piotr, który słuchał tej historii z rosnącym zdumieniem, nie był tym samym Piotrem, który w katedrze, pelen zachwytu widywał, jak łyzy Ewy przemieniają się w łyzy Weroniki. Wszystko było już za nim, tak przynajmniej uważał i to dawało wystarczającą pewność, że pułkownik, mimo swoich usiłowań nie wciągnie go w orbitę tamtych spraw. Byłaby to ostatnia rzecz, jakiej mógł pragnąć na kilkadziesiąt godzin przed wyjazdem. – Tak – powiedział, kiedy pułkownik skończył wreszcie epopeję mieszkaniową – oczywiście że prawda jest najważniejsza. Ale co pan przez to rozumie? I zaraz pożałował swoich słów. bo w prędkiej i gwałtownej tyradzie pułkownika, w jego namiętnym wybuchu ujrzał to, czego wcale nie pragnął zobaczyć. Jeszcze raz Ewa biegła przez trawnik boso, w nocnej koszuli, pod którą zobaczył kształt jej piersi. Jeszcze raz Artur – pijany i przerażony – wyskakiwał przez okno, a pani Helena jeszcze raz krzyczała rozzdzierającym falsetem – Tam nie ma nikogo! Tam nie ma nikogo!! Widziałam ją w ogrodzie! – Jeszcze raz strażacy rozwijali długi, płócienny wąż i wrzucali go do stawu, w chwilę potem zagrała motopompa i jeszcze raz, tak samo jak wtedy, pan Skiwski nie zważając na okrzyki żony wbiegał do płonącego domu, a oni, stojąc na trawniku nieopodal stawu, za plecami strażaków jeszcze raz wspinali się na palce, żeby zobaczyć ile sylwetek wyłoni się z płomieni: jedna czy dwie. Zabili go, zabili mi męża – jeszcze raz krzyczała pani Helena, kiedy Skiwski poparzony i otepiaty z bólu wybiegał spod walących się krokwi, jeszcze raz strażacy zawijali go w koc i wrzucali do stawu i jeszcze raz, w parę sekund po tym, z hukiem walił się dach i stropy, a w niebo strzelała nowa raca iskier i płomieni roztaczając nad parkiem i ogrodem pomarańczową tęgę.

– Nie można było jej uratować – usłyszał głos pułkownika – było za późno. Ona zamykała się zawsze na noc. od czasu jak sowieci weszli do miasta. – Czy wiesz – wybuchnął nagle głośno – że Skiwski zrobił to wyjącznie na pokaz? On i bohaterstwo! Uważasz?! Pokazał, że może się poświęcić. Proszę bardzo – nawet dla starej i nikomu już niepotrzebnej Niemry poprawiacz świata może się poświęcić!!

Piotr nie lubił takiego tonu. Zwłaszcza, że w ustach pułkownika słyszał go po raz pierwszy. Dziesięć lat temu mimo nienawiści do pana Skiwskiego (uczucie to było zdaniem Piotra atawistyczne i niewiele miało wspólnego z polityczną sytuacją) pułkownik nie przekraczał nigdy granicy dżentelmena. I już miał na końcu języka jakąś złośliwą uwagę, coś w rodzaju „to dlaczego nie spróbował pan sam?“, kiedy pułkownik, jakby wyczuł jego intencje albo jakby chciał zatrzeć to, co powiedział przed chwilą, wyznał głosem cichym i zrezygnowanym: – Czy wiesz, o czym ja wtedy myślałem? O Heraklicie! Stałem obok was, tam, na tym trawniku i myślałem o Heraklicie.

Przez jakiś czas szli w milczeniu. Pułkownik dusił w sobie żal, a może nienawiść, a Piotr, który czuł, że wszystko to zmierza w jak najgorszym kierunku, czekał tylko na odpowiedni moment, aby uwolnić się od towarzystwa i pójść swoją drogą. Deszcz przestał już padać, w powietrzu unosił się gęsty zapach butwiejących liści, wilgotnej kory i rozmokłej ziemi. a oni, milcząc nadal, jakby dzieliła ich niewidzialna granica, doszli wreszcie do skraju moreny. Pod ich stopami, kilkadziesiąt metrów niżej ciągnęła się ulica, a nieco dalej, w objęciach rozległej doliny mieli przed sobą największy w mieście cmentarz. – Dokąd oni się spieszą, dokąd? – powiedział pułkownik. – Popatrz tylko jaki ruch! Rzeczywiście widok był niecodzienny. Rzeka ludzi i samochodów płynęła

nieprzerwanie w obie strony, a niewielkie figurki, czarne i ruchliwe, tłoczyły się wokół bramy cmentarza przy wystawionych budach, by niknąć po chwili dalej, w półkolistych alejkach i mgłę.

– Jutro będzie ich jeszcze więcej – mówił dalej pułkownik – a cała dolina zamieni się w morze światła. Ile zapalą świec? Dwieście tysięcy? Trzysta? Trzysta kilkadziesiąt tysięcy zapalonych świec, co roku o tej samej porze! A czy wiesz, że wtedy temperatura powietrza, tam, w dolinie, podnosi się o kilka stopni? Szli dalej, skrajem wzgórza, bardzo wolno, bo ścieżka była rozmokła. Pułkownik opierał się na lasce, a Piotr kilkakrotnie rozkładał ramiona, jak do lotu, żeby nie stracić równowagi i nie runąć w dół urwiska. – To wszystko mój drogi chłopcze, jest niezwykle ciekawe – mówił pułkownik nie oglądając się za siebie. – Czy wyobrazasz sobie, jak to będzie wyglądało? – Tak – odpowiedział Piotr – co roku wygląda tak samo. Pułkownik zaśmiał się niespodziewanie i po ruchu jego ramion i pleców Piotr wnosił, że musi być rozbawiony. Nie wiedział tylko czym.

– Ja myślę o tym – usłyszał jego głos – jak będzie to wyglądało, kiedy wszyscy ci w ziemi zaczną wstawać. Czy to można sobie w ogóle wyobrazić? Taki tłum! Czy będą rozmawiać głośno? Śmiać się? Lamentować? Krzyczeć? A może to będzie odbywało się w wielkiej ciszy? Jak myślisz? – Piotr nie wiedział co odpowiedzieć. Kiedyś, w dzieciństwie, widział wprawdzie obraz przedstawiający scenę zmartwychpowstania ciał i sądu, ale zapamiętał jedynie prawą część tryptyku – widok nagich i poskręcanych ciał spadających w piekielną czeluść. Ale tu? Nie, nie wyobrażał sobie tego wcale. I wcale nie miał ochoty rozmawiać na ten temat. Tymczasem pułkownik zatrzymał się niespodzianie (ścieżka była w tym miejscu nieco szersza i mogli stanąć obok siebie), zatoczył łaską szeroki łuk w powietrzu, jakby chciał objąć cały cmentarz i mówił o tym, że w takiej chwili nie zabraknie tych, którzy będą chcieli być obsłużeni poza kolejnością. – Takich facetów – tłumaczył – którzy zawsze i wszędzie powołują się na jakies znajomości. Uważasz? Nawet w takiej sytuacji! Ale nic z tego – dodał z zadowoleniem – protekcje i układy są tylko po tej stronie. Po tamtej jest tylko sprawiedliwość, doskonała, czysta, nieskażona sprawiedliwość.

– Czy jest pan tego pewien – zapytał Piotr – czy jest pan tego absolutnie pewien?

Pułkownik spojrział na niego z niechęcią. – Tak, jestem pewny, inaczej wszystko straciłoby sens albo, mówiąc wprost – nic nie miałoby sensu. Szli znów jeden za drugim, skrajem skarpy, a w słowa pułkownika wkradał się ruch ożywionej ulicy. – Inaczej wszyscy bylibyśmy nihilistami – ciągnął – ty i ja i każdy człowiek. Gdyby nie to właśnie. To będzie jak cięcie nożem: po jednej stronie cały brud i szlam, po drugiej krystaliczna czystość. – To tylko nadzieja – zauważył Piotr, ale pułkownik zatopiony w swoich wizjach nie usłyszał (a może nie chciał słyszeć) tego zdania i dopiero kiedy zatrzymali się znów, tym razem w miejscu gdzie ze skarpy prowadziła stroma i kręta ścieżka w dół, do ulicy, dopiero kiedy stanęli tam patrząc na budki i stragany, gdzie sprzedawano kwiaty, znicze, blaszane wieńce, czarne chorągiewki i wstążki, dopiero wówczas pułkownik powiedział:

– To może przyjść w każdej chwili. Nad miastem od strony zatoki pojawi się Jeździec i nawet się nie obejrzy. Uważasz? Ani się obejrzy. Ludzie nie zdążą napisać listów, nie zdążą obejrzeć do końca telewizji. Albo rano nie zdążą zagrzeć mleka, wysłać dzieci do szkoły. dojechać do pracy. Kto wie? „Zgromadzę też wszystkie narody i sprowadzę

je na dolinę i będę się tam z nimi sądził” – czy wiesz, że rozmawiałem z nią o tym kilka dni przed pożarem?

– I ona powiedziała te słowa? Tak zwyczajnie?

– To Biblia, mój drogi, Biblia – pułkownik opuścił laskę i spojrział na Piotra z wyrzutem. – Rozmawialiśmy – ciągnął po chwili – o klęskach, jakie nawiedzą ziemię.

– Ale ona – Piotr zawahał się na moment – ona była katoliczką. A katolicy rzadko czytają Biblię. I rzadko znają porządnie choćby jedną księgę.

– Tak – odpowiedział pułkownik – była katoliczką, ale z protestanckiej rodziny. Nie zapominaj też, że do końca pozostała Niemką. Do szpiku kości.

– Ja nigdy nie mogłem jej do końca zrozumieć – Piotr postawił kolnierz płaszcza i namacał w kieszeni napoczętą butelkę. – Dlaczego nie wyjechała? Może pan powie, że kochała Polaków? Albo Ruskich? Albo jednych i drugich i na dodatek komunizm?

Pułkownik nie dał się jednak wyprowadzić z równowagi. Patrzył na ulicę, na cmentarz, na wzgórze porośnięte lasem i ważył swoje myśli, podczas gdy Piotr pragnął już tylko jednego: żeby pożegnać się z pułkownikiem, kiedy zejdą ze wzgórza na ulicę.

– To wszystko jest nieważne – usłyszał jego głos. – Czy ty wiesz, że zamierzałem się z nią ożenić?

I właśnie wtedy, po raz pierwszy Piotr doznał tego dziwnego uczucia: poczuł jak tama, którą budował cierpliwie tyle lat drgnęła u samych fundamentów, i w poprzek solidnej konstrukcji przesuwają się niewidzialne rysy. Coraz szybciej i coraz dalej. Postanowił pożegnać się z pułkownikiem już teraz, zanim ruszą w dół ścieżką do ulicy, jakby wiedział, że w chwilę potem będzie to zupełnie niemożliwe. I jeśli Piotr wspominał ten moment wielokrotnie, jeżeli wracał do tej chwili z jakimś dziwnym upodobaniem mówiąc o „trzech najcięższych dniach w życiu”, musiał podejrzewać, że właśnie wtedy cień jego ojca szedł za nim krok w krok, nieustępliwie, czuwając nad rozwojem wypadków. Czy było tak w istocie? Tego nigdy nie stwierdził, przynajmniej nie wprost, ale kiedy słuchołem jego zdań, monotonnych, długich, kołujących zdań, w których słyszałem melodię pani von Hoffmann, odniosłem wrażenie, że wszystko, co wydarzyło się latem 1977 roku w domu przy Polankach, było dla Piotra nieudaną próbą ucieczki. Patrząc na pułkownika schodzącego w dół, z laską i płócienną torbą przewieszoną przez ramię, musiał to wreszcie zrozumieć. Podobnie jak ja zapisując tę historię rozumiałem, że nie chodziło w niej przecież wyłącznie o panią Gretę von Hoffmann i magiczny blask odborników lampowych, od których niewątpliwie opowieść ta może brać swój początek. Co zatem wydarzyło się na skarpie?

(fragment powieści „Piękna Gretchen”)

NOWOŚĆ

5 tom serii „Świadectwa”



Głos z Gulagu

Rozmowa z Ewą Berberysz

**OLGIERD
WOŁYŃSKI**

cena £5.50 plus przesyłka

**Puls Publications
BCM Box 697, London WC1N 3XX
United Kingdom**

Kazimierz Orłoś

MAŁA ŚMIERĆ NA DŁONI

(Rozmowa z Radkiem Sikorskim)

Radosław (Radek) Sikorski urodził się w 1963 roku w Bydgoszczy. Maturę zdał na wiosnę 1981 roku. W czasie wydarzeń bydgoskich był przewodniczącym Szkolnego Komitetu Strajkowego. W tym okresie współpracował z Międzyzakładowym Komitetem Strajkowym i biuletynem „Solidarność” bydgoskiej „Wolne Związki”. Po maturze wyjechał do Anglii – tu zastał go stan wojenny. W pierwszym roku pobytu pracował i uczył się doskonaląc język. W roku 1982 otrzymał azyl polityczny, a w 1983 rozpoczął studia w Oxfordzie, na wydziale Nauk Politycznych i Filozoficznych (PPE). Po ukończeniu studiów wyjechał do Pakistanu jako korespondent «Sunday Telegraph» i «Spectatora». Wziął udział w dwóch wyprawach Mudżahedinów do Afganistanu. W roku 1987 po raz trzeci był w Afganistanie – tym razem podróżował z konwojem ciężarówek do oazy Saugin i dalej z oddziałem znanego dowódcy partyzantów Ismaila Chana do Heratu przy granicy z Iranem. Pobyt trwał trzy miesiące. Przed wyprawą Radek Sikorski nauczył się perskiego, aby móc porozumiewać się z partyzantami – Tadżykami. Po powrocie do Anglii opublikował szereg artykułów i reportaży, polemizował z opiniami prosowieckich dziennikarzy. Jest autorem zdjęć publikowanych w prasie zachodniej – jedno z tych zdjęć wyróżnione zostało główną nagrodą World Press Photo Foundation w kategorii zdjęć reporterskich. Napisał książkę pt. *Dust of the saints – a journey to Herat at a time of war (Prochy świętych – o podróży do Heratu w czas wojny)*, która niedługo ukaże się w Anglii. Korespondent zagraniczny nowojorskiego magazynu «National Review». Mieszka w Londynie.

KAZIMIERZ ORŁOŚ: *Kiedy i dlaczego zainteresował się pan Afganistanem? Co zwróciło pana uwagę na ten kraj i na wojnę Afgańczyków z Armią Czerwoną?*

RADEK SIKORSKI: Z początku, po inwazji w 1979 roku, wydawało mi się, jak wielu ludziom tu na Zachodzie, że ta wojna nie potrwa długo. Przywykliśmy do stereotypu „niezwycięzonej Armii Czerwonej”. To znów miał być walec, który „przejedzie i wszystko wyrówna”. Otóż po 2-3 latach – już w Anglii – zorientowałem się, że chyba przeliczyli się. Zaimponował mi niezłomny opór Afgańczyków. Walczyli zdobyczną bronią i ciągle czytaliśmy doniesienia o walkach. Ludzie, którzy potrafili tak bronić krąju zasługiwali na najwyższy szacunek. Oni pierwsi od końca drugiej wojny światowej potrafili skutecznie bić się z „niezwycięzoną armią”.

Kiedy pojechał pan po raz pierwszy do Pakistanu? Jaki przebieg miała pierwsza wyprawa do Afganistanu?



Mahomet kawalerzysta z oddziału Ismaila Chana

W lecie 1986 roku. Pojechaliśmy we dwóch, z kolegą Anglikiem. W Londynie jest organizacja popierająca walkę Afgańczyków – Afghanistan Support Committee – przez nich nawiązaliśmy pierwsze kontakty w Pakistanie. W Peszawarze spotkaliśmy kamerzystę brytyjskiego polskiego pochodzenia, Andrzeja Skrzypkowiaka, który rok później zginął w Afganistanie. On nam bardzo pomógł – dzięki niemu nawiązaliśmy nowe kontakty, dotarliśmy do partyzantów. Przyjęli nas jako godnych zaufania przyjaciół i po rozmowach w Peszawarze, zgodzili na nasz udział w wyprawie do Afganistanu. Przez granicę pakistańsko-afgańską przeszliśmy w lipcu 1986 roku. Partyzanci wzięli nas na krótką, ale bardzo trudną wyprawę – prawdopodobnie poddano nas próbie. Afganistan jest krajem wielkich gór, przy których Tatry wydają się małe, toczą się walki, występują ogromne różnice temperatur, odczuwa się brak wody i jedzenia, trafiają się pola minowe – wszystko to musieliśmy brać pod uwagę. Sami chcieliśmy poznać siebie. Oddział, z którym poszliśmy, szedł w kierunku Kabulu, do Jekolalek – mieli zaatakować posterunek na drodze Kabul – Dżalalabad, dokładnie w tym samym miejscu, w którym Afganowie zaatakowali i zniszczyli brytyjski korpus ekspedycyjny w 1842 roku. Po 26 godzinach marszu, w górach, na wysokości 3.5 do 4 tys. metrów, dotarliśmy do głębokiego kanionu, na dnie którego płynęła rzeka Kabuli i wita się droga. Niezwykłe miejsce. Pionowe ściany – ok. 1000 metrów w dół – na dnie było ciemno. Trochę wyżej, na półkach skalnych, posterunki sowieckie. My byliśmy nad nimi. Atak miał nastąpić dokładnie na pół godziny przed zapadnięciem zmierzchu, aby później, pod osłoną nocy, wycofać się. Ten plan nie został dokładnie wykonany – niespodziewanie nadleciały helikoptery sowieckie. To było jeszcze przed dostawami stingerów – byliśmy bezbroni: one mogły zmieść nas z półek skalnych. Na szczęście nie zostaliśmy zauważeni – po zatoczeniu koła helikoptery odleciały, ale chyba przyspieszyło to atak. Wpłynęło także na pewną nerwowość i chaotyczność działania. Ku memu zdumieniu helikoptery nie wróciły – a więc brak dobrej łączności, to był prosty wniosek. Partyzanci strzelali z bezodrzutowych haubic produkcji chińskiej (jak „bazooki”) i raketnic egipskich, przypominających panczerfausty. Z dołu strzelano do nas z moździerzy, starając się o to, aby pociski wybuchły nad nami. Ale rozrzut odłamków był poziomy – tłukły o skały. Strzelanina trwała około godziny. Po naszej stronie nie było strat. Tam zginęło kilku żołnierzy radzieckich z konwoju, który jechał drogą. Zapaliły się dwa transportery opancerzone i dwie ciężarówki. Partyzanci trafili także w posterunek – widać było wybuchy na bunkrach. Potem wycofaliśmy się. Znowu było pięć godzin marszu – pamiętam, że bardzo chciało mi się pić, ale wody nie było. To charakterystyczne pragnienie zawsze towarzyszyło mi później po walce i przeżytym strachu. Po drodze partyzanci zabili kozła – po raz pierwszy mieliśmy dużo jedzenia. Baza w Jekolalek położona była w górach. To były chatki, tunele drążone w skałach i pieczary. Spało się na hamakach i siennikach na zewnątrz. Trzeba było chować się w tunelach.

Jakie było uzbrojenie Rosjan, a jakie partyzantów?

Trudno sobie wyobrazić sowieckie helikoptery MI-24 w akcji – to są całe fortece latające. Każdy helikopter ma 120 rakiet, działko szybkostrzelne, karabiny maszynowe i bomby. Idealna maszyna do zabijania. Pancierz jest tak gruby, że zestrzelenie – przed dostawami stingerów – było bardzo trudne. Ale obok tych supernowoczesnych maszyn widziałem czołgi T-34 z 44 roku. Partyzanci mieli zdobyczne pepesze z czasów drugiej wojny. W taką broń, ze starych magazynów, Rosjanie uzbroili oddziały komunistycznej armii rządowej. Podobnie miny: małe kostki plastikowe, trudne do zauważenia i wielkie

miny w pudłach drewnianych z kolcami i drutem, o który trzeba było potknąć się, aby spowodować wybuch.

Słyszałem opinie, że bez pomocy Zachodu, bez dostaw broni amerykańskiej, partyzanci nie wytrzymają kilku miesięcy.

To nonsens. Typowa opinia zachodnich lewicujących dziennikarzy, którzy Afgańczyków uważają za islamską „dzicz”, a Rosjan – mimo wszystko – za przedstawicieli narodu o wyższej kulturze i cywilizacji. Dlatego przewaga komunistów musiała być oczywista i bezdyskusyjna. W pierwszym okresie wojny oni rzeczywiście mieli ogromną przewagę – czołgi, rakiety, lotnictwo – nowoczesna armia walczyła z ludźmi uzbrojonymi w koktajle Molotowa i flinty. I co z tego?

Jacy są Afgańczycy? Co może pan powiedzieć o Mudżahedinach?

Bardzo odważni, serdeczni dla przyjaciół, gościnni. Trzeba jednak dostrzegać różnice. W czasie pierwszej wyprawy byliśmy wśród Pusztunów. Podczas trzeciej – spotkałem Tadżyków. Są inni – opanowani, spokojni. Pusztuni mają błysk w oku. Są impulsywni.

Jak wyglądał powrót do Pakistanu?

Na granicy jest 9 posterunków! Formalnie każde przejście przez granicę jest nielegalne, ale Pakistańczycy przymykają oczy. My musimy przebrać się za Afganów – nałożyć afgańskie stroje. Trzeba było ciągle chować się – wtedy dziennikarzy w ogóle nie wypuszczano do Afganistanu.

Przejdźmy do drugiej wyprawy. Kiedy nastąpiła?

Po krótkim pobycie w Peszawarze, w sierpniu 86 roku. Była znacznie dłuższa – trwała miesiąc. Poszedłem z innym oddziałem partyzantów do prowincji Nangrahar na południe od Dżalalabadu. Dowódca bazy, do której trafilem, nazywał się Hadżi Kadir. To był bardzo dobry dowódca. Stanowiska partyzantów były położone w górach, na wysokości 3 tys. metrów. Dolinę zajmowały wojska sowieckie i rządowe. Widzieliśmy ich – oni nas. Wzajemne ostrzeliwanie się trwało całymi dniami. Brałem także udział w oblężeniu posterunku wojsk rządowych, położonego w tej dolinie. Oblężenie trwało tydzień. Bardzo trudna, ostra walka. Rosjanie skierowali na odsiecz kolumnę czołgów i wtedy, dzięki naszym Rosjanom, udało się tę kolumnę zatrzymać.

Jakim „naszym” Rosjanom?

W obozie Hadżi Kadira poznałem trzech Rosjan, którzy uciekli z Armii Czerwonej. Walczyli po stronie partyzantów. Zdobyli sobie pełne zaufanie, ponieważ przeszli na islam. W walce byli nieocenieni. Np. posługując się radiostacją podsłuchiwali rozmowy pilotów sowieckich z lotniskiem – wiedzieli kiedy i dokąd lecą. Ostrzegali partyzantów. To oni zmontowali wyrzutnię chińskiej BM-12 i nauczyli partyzantów jak ją używać. Dzięki mafej „katiuszy” – sześciolufowej, o przekroju luf 105 mm i zasięgu 6 km – udało się powstrzymać kolumnę czołgów.

Jakie były motywy ich przejścia na stronę partyzantów?

Każdy zrobił to z innego powodu. Władim, moskwiczanie, chciał wydostać się ze Związku Sowieckiego za wszelką cenę. Miał krewnych w Bostonie, chciał do nich jechać. Jeszcze w Moskwie celowo spowodował sprzeczkę z oficerem, który powiedział mu: „za to pojedziesz do Afganistanu”. I rzeczywiście Władim znalazł się w Afganistanie. Już po tygodniu uciekł do partyzantów. Siergiej z Permu na Urału – prosty chłopak, kierowca, był w oddziale, w którym szczególnie okrutni wobec młodych żołnierzy byli starsi, z dłuższym stażem, tzw. „stariki”. Opowiadał przerażające historie o znęcaniu się.

gwałtach homoseksualnych, zabijaniu z byle powodu, itd. Kiedy ukradziono części z jego ciężarówki – uciekł, ponieważ „starik”, dowódca drużyny, zagroził, że go zabije, jeśli Siergiej nie ukradnie takich samych części z innej ciężarówki. Władysław z Wołgogradu pomagał Mudżahedińom wcześniej – kiedy służył w Armii Czerwonej. Przyłapano go na wynoszeniu broni i wsadzono do więzienia. KGB chciało koniecznie dowiedzieć się, komu dawał broń. Był torturowany. Mówił, że do celi wlewano wodę z chlorem. Sięgała do kostek. Przez miesiąc siedział w tej celi. Dostał zapalenia oczu, gardła i nosa. Zapamiętałem nazwisko człowieka, który go przesłuchiwał: Major Makarow. Władysław powiedział, że wskaże ludzi, którym dawał broń w wiosce niedaleko bazy, ale tylko w nocy, ponieważ oni przychodzą nocą. Zdołał przekonać majora Makarowa. Poszli. I wtedy, korzystając z okazji uciekł. Mówił, że KGB-iści, którzy szli z nim i majorem Makarowem, strzelali w górę, nad jego głową. Nie chcieli zabić.

Wszyscy trzej mieli ogromne szczęście. Bazy sowieckie w Afganistanie są opasane polami minowymi nie tylko w obawie przed partyzantami, ale także po to, aby uniemożliwić ucieczki żołnierzom. Poza tym Afgańczycy potrafią już dziś rozróżnić dobrych Rosjan od złych. Wielu Mudżahedińom mówiło mi o tym. Widzą ludzi, a nie tylko wrogów – komunistów. Na początku wojny wszystkich zabijali.

A Rosjanie – żołnierze Czerwonej Armii – czy wiedzą jaka to wojna?

Ci trzej nie mieli złudzeń. Władysław mówił mi, że nie mógł znieść świadomości, że współuczestniczy w okrucieństwach wyrządzanych Afgańczykom. Od partyzantów słyszałem o wypadkach podrzucania broni, wyrzucania pełnych magazynków, itd. O różnych ludzkich reakcjach na nieludzką wojnę.

Wspomniał pan, że trzej Rosjanie z bazy Hadzi Kadira przeszli na islam. Czy przypadkiem nie zmuszono ich do tego?

Nie. Władysław, który był jakby przywódcą Rosjan, zaproponował: „chłopaki, przechodzimy na islam”. Mówił mi, że przekonał kolegów. Rozumiał, że tylko dzięki temu zdobędą pełne zaufanie partyzantów, ale nie traktowali tego serio. Zresztą Afgańczycy nie są fanatykami religijnymi.

Przejdźmy do trzeciej wyprawy. Rok 1987. Podróż do Heratu.

Tak. Herat interesował mnie, jako jedno ze świętych miast islamskich. Są tam bezcenne zabytki kultury islamskiej – meczety, grobowce. Wiedziałem, że od początku wojny dotarło tam tylko dwóch lub trzech dziennikarzy, ponieważ trzeba było przejść przez cały Afganistan od granicy z Pakistanem aż po granicę perską. 600 mil przez góry i pustynię. Bardzo trudna i daleka wyprawa. Poza tym wiedziałem, że Herat jest systematycznie niszczone podczas walk, że bez przerwy trwają naloty na okoliczne wsie, w mieście niszczone są bezcenne zabytki. Udało mi się zabrać z konwojem, który wiozł broń, m. in. stinger. Herat i cały rejon na południu Afganistanu, jest w rękach tej samej partii Dżamiat, której oddział zabrał mnie na wyprawę do Jekolalek w 1986 roku. Oni znali moje reportaże, dlatego byłem bardzo życzliwie przyjęty przez Mudżahedińów. Konwój wyruszył w czerwcu 1987 roku. Podczas sześciotygodniowej drogi do Heratu przeżyłem ciężkie chwile. Pamiętam np. atak helikopterów sowieckich na bezludną wioskę, w której zatrzymaliśmy się przy źródleku. O świcie, nagle, zaatakowały nas 4 helikoptery. Leciły bardzo nisko, na wysokości 50 metrów – nie ma wtedy żadnej możliwości ucieczki ani obrony. Osiem lub dziewięć razy atakowały nas zataczając koła, a my, wtuleni w kąty chaty, mieliśmy nadzieję, że przeżyjemy. Trudno opisać, co się w



Ismail Chan (w środku) w towarzystwie innych dowódców afgańskich. Z prawej stronie Nakihulla, dowódca Kandabaru.



takich momentach czuje – człowiek chciałby zniknąć. Do dziś pamiętam dygot nóg, to jak helikoptery ciągle nadlatywały, strzelając z raket tak gęsto i szybko, jak z karabinów maszynowych. Ale każda rakietka może zniszczyć ciężarówkę. Czulem na plecach drżenie ścian lepianki, huk wybuchających pocisków i ryk silników. Jedna z raket uderzyła w nasz domek – na szczęście 20 cm za ścianą wewnętrzną, wybuchła w sąsiednim pokoju i tylko ta ściana działowa uratowała nas. Cały impet, podmuch, odłamki, wzięta na siebie. Zawaliła się, ale myśmy ocalali. Uciekliśmy spod łopaty.

Oglądamy odłamek wyjęty ze ściany pokoju, w którym wybuchła rakietka. Jest płaski, o poszarpanych brzegach, srebrzysty. Mała śmierć leży na mojej dłoni.

Co było, kiedy helikoptery odleciały?

Partyzanci zapytali: czy teraz chcesz Kałasznikowa? Po tym nalocie zacząłem nosić broń. Straciliśmy dwie ciężarówki. To paradoksalne: na ciężarówkach wieźliśmy stingery.

Dlaczego Mudżahedini dali się zaskoczyć? Dlaczego nie użyli raket?

Muła, który dowodził tym oddziałem był wyjątkowo nieudolnym dowódcą. Czekaaliśmy na odpowiedni moment dla przejścia przez drogę pilnowaną przez oddziały rządowe, ale chyba zbyt długo. Był wśród Mudżahedinów człowiek, który potrafił złożyć i użyć stingera. Niestety, nie wykorzystano go. Tak jak w każdej wojnie – jedni ludzie sprawdzają się, inni zawodzą. Po miesiącu dotarliśmy do Sargeh w górach – u podnóża Hindukuszu – do oddziałów Ismaila Chana. To wspaniały dowódca i wspaniały człowiek. Z jego oddziałem na koniach pojechałem dalej w stronę Heratu. Ten oddział był doskonale zorganizowany i uzbrojony. Mieli w pogotowiu stale dwa stingery i posługiwali się radiostacją. Jechali na koniach szybko zmieniając miejsca. Docierali tam, gdzie pojazdy sowieckie nigdy nie mogłyby dojechać. Byli nieuchwytni. Tu, na Zachodzie, Mudżahedinów uważa się często za prymitywnych fanatyków – lekkomyślnych i źle uzbrojonych. Powtarza się podobny, nieprawdziwy stereotyp, jak o Polakach: „z szablami na czołgi”. W rzeczywistości, z militarne go punktu widzenia, taktyka tego oddziału była doskonała. To wtedy poznałem Tadżyków. Ismail Chan był Tadżykiem – bardzo spokojny, bardzo zrównoważony, mądry człowiek. Obok Masuda z doliny Panziszir, Ismail Chan jest drugim, tak samo znanym, cieszącym się ogromnym autorytetem, przywódcą Mudżahedinów. Przez trzy tygodnie mogłem go obserwować z bliska, widziałem jak pracuje i dowodzi. On nie tylko jest wojownikiem, ale i cywilnym przywódcą. Cały południowy i zachodni Afganistan jest kontrolowany przez jego oddziały. Na postojach, tam gdzie kwaterowaliśmy, codziennie przychodzili ludzie z różnych wiosek, często z bardzo odległych. Zgłaszali się do oddziałów, mówili gdzie są posterunki sowieckie, prosili o radę, o rozstrzygnięcie sporu. Słyszałem jak Ismail Chan powtarzał: „Budujcie szkoły. Ja dam pieniądze i nauczycieli”. To był stały motyw – on myślał już o następnym pokoleniu, które będzie prowadzić walkę. Chciał mieć ludzi wykształconych. Spodziewał się dwudziestoletniej wojny.

Może panięta pan jakieś szczególne wydarzenie?

Dowódca garnizonu w Heracie, sowiecki generał Andriuszkin, napisał do Ismaila Chana list. Ten list dotarł przez posłańca – takie wypadki zdarzały się czasem. W liście generał napisał mniej więcej tak: „Po cóż ty, Ismail, walczysz z nami? Ot, był taki bandyta Ibrachim Bej, Uzbek. W latach dwudziestych też wojował ze Związkiem Radzieckim, ale pobiliśmy go i umarł w zapomnieniu. Tak samo ty zginiesz i zapomną o tobie”.



Mahomet – wieśniak afgański, torturowany przez komunistów; obecnie dowódca oddziału; trzyma książeczkę wojskową radzieckiego żołnierza – zabitego w czasie walk koło Heratu.



**Ofiary bombardowania sowieckiego z wioski Kuzk-i-Serwan koło Heratu – kobieta i dwóch
chłopców. Zdjęcie zrobione kilka godzin po nalocie bombowców 11 sierpnia 1987 r. W roku 1988
otrzymało główną nagrodę World Press Photo Foundation w kategorii zdjęć reporterskich.**



„Nie chciałem odpisywać Andriuszkinowi – mówił do mnie Ismail Chan – ale posłańcowi powiedziałem: twój Andriuszkin jest kłamcą. Powtórz mu to i powiedz, że Ibrahim Bej walczył z wami 70 lat temu, a jeszcze go pamiętacie. Ja chcę, żebyście mnie zapamiętali na 200 lat”.

Jak teraz żyją Afgańczycy? Czy można mówić o społeczeństwie afgańskim? Jak funkcjonuje autentyczny system rządzenia krajem – ten, który ludność akceptuje?

Jeszcze raz powtórzę: wielu polityków i lewicowych dziennikarzy na Zachodzie przejęło od komunistów pogląd, że jest to społeczeństwo typu feudalnego, prymitywna „dzicz” itd. Sądzą oni, że z drugiej strony Armia Radziecka reprezentuje „siły postępowe”, które chcą ten prymitywny naród ucywilizować – niosą postęp, budują szkoły, drogi, itd. Cała ta frazeologia ma źródła w marksizmie i nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Przez wiele tygodni w czasie drogi do Heratu i później, podczas powrotu, obserwowałem życie Afgańczyków z bliska, widziałem jak Ismail Chan przyjeżdżał do różnych wiosek, jak zbierała się rada wioski, decyzje zapadały po wysłuchaniu wielu opinii. On nie wydawał rozkazów, on miał autorytet i potrafił przekonać ludzi. Było to w najwyższym stopniu demokratyczne. Owszem, wezwania do oporu i walki mają podłoże religijne – przywódcy i mułtowie powołują się na Koran i na tradycje muzułmańskie, ale jednocześnie głoszone są hasła modernizacji kraju. 90% ludności to analfabeci – tych ludzi trzeba przekonać, a nie zmuszać. Otóż druga strona, komuniści, posługują się terrorem. Tak wygląda w praktyce walka ideologii.

Kiedy doszliśmy do Heratu? Jakie wrażenie wywarło na panu miasto i okolice?

W pierwszych dniach sierpnia stanęliśmy pod murami tego starożytnego miasta. Na wschód od Heratu rozciągała się dolina jeszcze zamieszkała i tam codziennie ginęli ludzie od sowieckich bomb. Ale na zachód, w promieniu stu mil kwadratowych, nie było nikogo. Kilkadziesiąt wiosek zniszczono, pola i sady spalono napalmem, ludzie uciekli do Iranu. Ziemia, dawniej żyzna, przypominała pustynię, ponieważ zniszczono także starożytne systemy nawadniania pól. Po tej stronie zamieszkaliśmy w ziemiankach i zburzonych chatach. Rosjanie bombardowali nas codziennie, ale z niewielkim skutkiem.

Czy był pan świadkiem bombardowania ludności cywilnej?

Tak. Jestem przekonany, że Rosjanie zrobili to z premedytacją. Właśnie po tamtej wschodniej stronie Heratu, bombardowano codziennie zamieszkałe wioski. Ci ludzie nie mogli uciec, ponieważ odcięci byli od granicy drogą kontrolowaną przez Rosjan. 11 sierpnia 87 roku byłem świadkiem bombardowania wioski Kusk-i-Serwan. Zginęło 70 osób: 4 mężczyźni, reszta same kobiety i dzieci. To tam zrobiłem zdjęcie, które później było publikowane w prasie zachodniej.

Napisał pan książkę pt. Dust of the saints – co można by przetłumaczyć Prochy świętych. Co może pan powiedzieć o Heracie? Dlaczego Prochy świętych?

Tak nazywają miasto jego mieszkańcy. Tam są setki świętych miejsc: meczetów, grobowców. Pył z tych miejsc unosił się w powietrzu – dlatego „święte” było całe miasto. Widziałem zburzone meczety, inne na wpół zburzone – stare mozaiki na popękanych ścianach. W samym Heracie był wtedy garnizon wojsk rządowych i Rosjanie. Walki toczyły się na przedmieściach, wśród zburzonych domów – podobnie jak w powstańczej Warszawie. Często ziemia i gruzy przechodziły z rąk do rąk. Byłem świadkiem tych walk, później zdecydowałem się na powrót. Wracalem sam.

W ubiegłym roku miał pan 24 lata. Wyobrażam sobie, że samotną podróż do granicy pakistańskiej, przez cały Afganistan, można by przyrównać do próby samobójstwa. Nie mógł pan zaczekać na któryś z oddziałów? Czy dostał pan broń?

Nie mogłem czekać bez końca. Trudno powiedzieć, kiedy zapadnie decyzja powrotu lub zmiany rejonu walk. Miałem zdjęcia i reportaże – chciałem wracać do Europy. Broni nie miałem. Dostałem coś w rodzaju gleju – listu polecającego od Ismaila Chana. Wprawdzie mieszkańcy wiosek, przez które miałem iść, byli na ogół analfabetami, ale to imię budziło szacunek. Poza tym trzymałem się trasy, którą jechałem z konwojem, a potem z powrotem z oddziałem Ismaila. W wielu wioskach pamiętano mnie. Mimo to przed wejściem do każdej przeżywałem lęk: poznają – nie poznają? Najczęściej prosilem o żywność i pożyczenie osła, aby przenieść do następnej wioski mój sprzęt fotograficzny i torbę. W tamtej, następnej wiosce, pożyczalem nowego osła i tak posuwałem się naprzód. Przyjmowano mnie na ogół gościnnie, często serdecznie, a przecież za wydanie mnie w ręce sowieckie każdy z tych biedaków dostałby fortunę. Czasem tylko kłótnia o to, kto ma pożyczyć osła, trwała dłużej niż przejazd z wioski do wioski. Po dwóch tygodniach dotarłem do Sanginu u podnóża gór i stamtąd, znów z konwojem ciężarówek, do Pakistanu. Ciężarówkami podróżowałem dłużej niż piechotą.

Powiedział pan, że za wydanie pana w ręce sowieckie każdy z tych wieśniaków dostałby za pana fortunę. Jak wygląda sprawa kolaboracji? Mimo wszystko tysiące Afgańczyków walczy w oddziałach rządowych.

Afgańczycy są niezwykle solidarni. Jedna trzecia ludności „głosowała nogami” – to są uchodźcy. Ci co zostali żyją w takich miastach jak Kabul, gdzie po prostu trwa okupacja, są obce wojska. Inni Afgańczycy walczą. Wiele razy słyszałem jak wygląda pobór do wojska rządowego: w zapadłej wiosce lądują pięć helikopterów, wywlekają wszystkich mężczyzn z domów i zabierają. Spotkałem ludzi, którzy po pięć razy uciekali z armii rządowej do partyzantów. Oczywiście są komuniści afgańscy związani z reżimem, są szpiegdy i donosiciele – w każdej społeczności znajdują się tacy, ale bałbym się porównać np. między społeczeństwem afgańskim a polskim.

Jaki jest pejzaż? Jakie kolory?

Pustynia i wielkie góry. Kraj kontrastów: bardzo gorąco w dzień i zimno w nocy. Nie pamiętam deszczu. Pierwsza muzułmańska modlitwa jest przed świtem – dlatego w Afganistanie wstaje się bardzo wcześnie. Wiele razy oglądałem o świcie różowe światło jutrzeńki. Pustynie mają kolor żółtawo brunatny. Góry bywają czerwone – pewno tam, gdzie dużo miedzi w skałach. Czasem wydają się niebieskie. Pamiętam ogromny masyw Hindukuszu, który sięga Himalajów. Niebo w czasie upałów jest blade.

Czy podziela pan optymizm tych, którzy sądzą, że wojna w Afganistanie zakończy się niedługo zwycięstwem Mudżahedinów?

Jestem optymistą. Oczywiście wojna może jeszcze potrwać rok, dwa, nawet trzy lata, ale uważam, że z czysto wojskowego punktu widzenia Rosjanie stoją na straconej pozycji. Pomijam koszty tej wojny trwającej 9 lat, pomijam polityczne przyczyny ich klęski – powszechny opór, świadomość Afgańczyków, że komuniści są śmiertelnym wrogiem w dosłownym znaczeniu tych słów. Ale przecież już obecnie partyzanci kontrolują około 90% powierzchni kraju. W rękach komunistycznych jest Kabul i kilka dużych miast. Takie jak Dżalalabad i Kandahar są od miesięcy obleżone. Rosjanie musieliby potroić wydatki na wojnę i rzucić 300-tysięczny korpus – czy to możliwe?

Będą zapewne uporczywie bronić Kabulu i strefy buforowej na północy, przy granicy afgańsko-sowieckiej. Już teraz budują tam umocnienia. Ale Kabul jest połączony z granicą tylko jedną drogą i długim tunelem pod masywem górskim. Jeśli partyzanci tę drogę skutecznie przetrzą – powstaną ogromne trudności z utrzymaniem miasta.

Był pan w Afganistanie trzykrotnie. Zobaczył pan spustoszony kraj, martwe wioski i miasta, trupy dzieci i kobiet, widział pan obozy uchodźców w Pakistanie i myślę, że doskonale rozumie pan, jakie znaczenie dla przyszłości świata ma ta wojna. I jakim kosztem Afgańczycy ją prowadzą. Istotnie oni pierwsi, od końca II wojny światowej, potrafili skutecznie powstrzymać pochód komunizmu. Dla nas, dla mieszkańców wschodniej Europy, ma to szczególne znaczenie – uzasadnia nadzieje, że w przyszłości Rosjanie 10 raz zastanowią się nim zdecydować na kolejną interwencję. Ale jednocześnie tu, na Zachodzie, nie dostrzega się jakby wagi problemu. Odnoszę wrażenie, że Zachód nie poczuwa się do solidarności z Afgańczykami. Przeciwnie – banki zachodnie zaczęły ostatnio udzielać dużych kredytów Związkowi Radzieckiemu, co może pośrednio tylko przedłużyć tę wojnę. Jeśli porównamy zainteresowanie i potępienie z jakim spotkała się wojna wietnamska z potępieniem i zainteresowaniem wojną w Afganistanie – zorientujemy się, że jest to stosunek zapewne jak 1:100. A przecież z żadnego kraju w XX wieku nie uciekło 5 milionów ludzi. Ponad milion Afgańczyków zostało zabitych. Broń jakiej Rosjanie używają jest groźniejsza i skuteczniejsza od tej, jakiej używali Niemcy podczas drugiej wojny. Czy wszystkie te fakty nie są w stanie poruszyć Zachodu?

W czasie wojny wietnamskiej, o ile pamiętam liczby, w Sajgonie można był spotkać ok. 2000 korespondentów zachodnich. Amerykanie wozili ich helikopterami, pokazując wszystko, co można było obejrzeć. Do roku 87 Rosjanie w ogóle nie wpuszczali do Afganistanu korespondentów poza kilkoma o wyraźnych prosowieckich poglądach. Dotarcie na teren Afganistanu z partyzantami połączone jest z trudnościami, o których mówię. To wszystko na pewno ograniczało dopływ informacji. Ale jednocześnie część dziennikarzy zachodnich, a także intelektualistów o poglądach lewicowych, traktuje Afganistan jako wojnę prawicowych elementów popieraną przez Amerykanów z „postępowymi” siłami rządowymi i „postępowym” Związkiem Radzieckim. Mówiliśmy już o tym. Osiągnięto szczyty hipokryzji. Kiedy w latach siedemdziesiątych oburzano się i pisano o nalotach amerykańskich na wioski wietnamskie – dziś o nalotach sowieckich nie pisze się wcale lub mówi, że mimo wszystko są konieczne, aby kiedyś Afganistan stał się cywilizowanym krajem. Myślę, że korzenie takich poglądów i opinii sięgają jeszcze wojny domowej w Hiszpanii. W umysłach lewicującej inteligencji Zachodu zostało zakodowane, że zawsze racja będzie po stronie komunizmu i zawsze komunizm będzie synonimem postępu. Tymczasem było i jest odwrotnie; dziś komunizm reprezentuje archaiczną dziewiętnastowieczną doktrynę, zniewala narody, rujnuje gospodarkę, itd. Tych historycznych faktów zmienić się nie da. Być może lewicująca inteligencja Zachodu rozumiała to, ale trudno jej się pogodzić z faktami. Afganistan jest jednym z tych faktów, dlatego ta wojna nie poruszyła wyobraźni i nie obudziła entuzjazmu zachodnich intelektualistów. Wydaje mi się, że uznali ją za nudną. Afgańczycy walczą tylko o to, aby być gospodarzami we własnym kraju. Oczywiście ci, którzy mają złudzenia i popierają ZSRR, niewiele wiedzą o komunizmie. Nie znają realnego socjalizmu. Takich jak ja, którzy jadą do Afganistanu i opisują, co tam widzieli, uważają za antyradzieckich



Partyzant z oddziału Ismaila Chana ze „Stingerem”

fanatyków. Wie pan – szkoda po prostu słów. Jestem przekonany, że Afgańczycy zwyciężą i to będzie jedyny argument, który przemówi do wyobraźni Zachodu. Wzbudzi szacunek i uznanie zarówno tych, a jest ich przecież niemało, którzy sprzyjają Afgańczykom i doceniają znaczenie ich oporu – jak i tych, którzy sprzyjają komunistom. Tak zawsze chyba było: tylko ci, którzy zwyciężają, mają rację.

Londyn, 19 listopada 1988 r.

Od Redakcji: Kiedy oddawaliśmy niniejszy numer do druku – wojska sowieckie ostatecznie wycofały się z Afganistanu (patrz komentarz na wewnętrznej stronie okładki).

NOWOŚĆ

10 tom serii „Puls Politicus”



Mały jawniak
MACIEJ
POLESKI

cena £5.00 plus przesyłka

Puls Publications
BCM Box 697, London WC1N 3XX
United Kingdom

Dawid Warszawski

PAYS POLITIQUE, PAYS RÉEL

Na Placu Defilad ktoś wymiotuje.
Podchodzi doń przypadkowy przechodzień i mówi:
– Drogi panie, jakże dobrze pana rozumiem...

Doskonale pamiętam pełne niedowierzania, radosne napięcie z sierpnia '80, kiedy to w Gdańsku rozpoczynały się negocjacje z komisją rządową; pamiętam też duszącą grozę i rozpacz października '84, gdy przed naszymi oczami rozgrywała się tragedia porwania i śmierci księdza Popiełuszki. Pamiętam jednak zwłaszcza to, że te same emocje przeżywała wówczas cała Polska: z twarzy ludzi w autobusach i kolejkach i z twarzy przyjaciół wyczytać mogłem to samo skrajne natężenie emocji, tę samą nadzieję i ten sam lęk. Nie było ważniejszych spraw; od tego jak potoczą się wypadki zależał jak najdosłowniej nasz wspólny los.

Były to chwile szczególne. Zarówno podczas kryzysu bydgoskiego, jak i podczas grudniowej nocy '81 – by wymienić tylko dwa inne, politycznie niemniej ważne przełomy – byliśmy zbyt zajęci działaniem, przygotowaniem się na to, co może nadejść, czy próbami sprostania temu, co w końcu nadeszło, by zwracać szczególną uwagę na twarze ludzi i zbiorowe emocje. Oparcie, którego szukaliśmy wówczas u innych, było odmiennej, bardziej konkretnej natury. Ale w roku '80 i '84 można było robić tylko jedno – czekać. Tak, jak czekała cała Polska, spojrzemiami, słowami wymienianymi między nieznanymi sobie ludźmi zdobywając potwierdzenie, że czeka na to samo, z tą samą nadzieją i lękiem.

Wydawać by się mogło, że dziś, w pierwszych dniach lutego roku 1989, owo zbiorowe doświadczenie powinno się powtórzyć, i to w formie spotęgowanej. Rozpoczęcie okrągłego stołu i tajemnicza śmierć dwóch księży związanych z "Solidarnością" wprost przywołują wydarzenia sprzed lat. Społeczne natężenie emocji, nadziei i lęku, winno sięgać zenitu. Przeciwnie, nawet patrząc na to chłodno, nie sposób nie widzieć, że znów waży się nasz zbiorowy los.

Szukam w twarzach ludzi tego, czego nie znajduję w sobie. Szukam potwierdzenia, że to ja zobojeźniałem, uległem niwelującej uczucia presji dziennikarskiej rutyny, że w swym braku emocji i napięcia jestem odosobniony. Nie znajduję niczego, ani nadziei, ani rozpacy. Stłoczeni w autobusie pasażerowie patrzą w przestrzeń, unikają nawzajem swojego wzroku. Kolejka do białego sera taple nogami błoto w ponurym milczeniu.

Zbiorowy los? Pan raczy żartować.

Tak nie wyglądają ludzie, którzy stoją u progu od lat wyczekiwanego zwycięstwa. ani ludzie, którym wyszarpięto z szeregow ich dachowych rzeźników. Tak wyglądają ludzie, którzy, by nie czuć więcej lęku, z zawziętą determinacją odmawiają sobie nadziei. Kto nie ma, temu nie można zabrać. Zbiorowy los omija tych, którzy omijają zbiorowość.

Publicyści przez wszystkie dziejowe przypadki odmieniają słynne prawo Toqueville'a, że rewolucje wybuchają wtedy, gdy niewielka poprawa budzi oczekiwania, których już spełnić nie może. Co się jednak dzieje wówczas, gdy wielki, systemowy regres rozbija wszelkie oczekiwania? Zgodnie z prawami logiki odpowiedź jest tylko jedna: wybucha wtedy kontrrewolucja. Podobnie jak rewolucja, zaczyna się ona w ludzkich sercach i umysłach. I rewolucjoniści, i kontrrewolucjoniści głusi są na racjonalną perswazję; serca i umysły mówią tym pierwszym, by nie lękać się gróźb, tym drugim zaś – by nie dać się uwieść nadziejom. I choć językowy usus nadaje słowu "kontrrewolucjonista" znaczenie zgoła odmienne od tego, które stworzyłem trawestując Toqueville'a, to nie mam wątpliwości, że Polska jest dziś krajem tryumfującej kontrrewolucji, sztandarem zwycięskiej beznadziei.

Twierdzenie to musi się wydać przesadne. Nawet jeśli odczytanie ludzkich twarzy nie jest tylko projekcją mego jednostkowego zwątpienia, nawet jeśli autobus i kolejka czują – a raczej: nie czują – to samo, co ja, to przecież na autobusie i kolejce Polska się nie kończy. W końcu to nie dobrotliwa władza posadziła Wałęsę właśnie za okrągłym stołem, a nie tam, gdzie – zdaniem wielu ludzi z jej kręgu – posadzić go należało. Wałęsę wyniósł, jak w '80, społeczny bunt, a ci którzy strajkują, zakładają jawną "Solidarność", wychodzą na ulice pod pały policji, to nie kontrrewolucjoniści beznadziei, lecz przeciwnie, nadziei szermierze i obrońcy.

To prawda – lecz jakże ich niewiele! Podczas sierpniowych strajków w niejednym zakładzie ci, którzy przychodzili podpisać listę obecności w dyrekcji i wracali spokojnie do domu, liczniejsi byli od swych kolegów za obwieszoną transparentami bramą. Półmilionowy tłum z pogrzebu księdza Popieluszki stopniał do dziesięciu tysięcy, które szły za trumną księdza Niedzielaka. Okrągły stół zaczyna się jutro: nikt z moich znajomych, którzy przed laty wyrwali mi nieledwie z ręki «Biuletyn Informacyjny», potem godzinami cierpliwie wystawiali pod kioskami po «Tygodnik Solidarność», by wreszcie upychać po szafach paczki z nowym numerem «Kosa», nikt z nich nie zapytał mnie o informacje o obradach, czy o serwis prasowy. Wczoraj w Wolnej Europie – rzecz bez precedensu – redakcja «Tygodnika Mazowsze» odczytała udzieloną gazecie wypowiedź Tadeusza Mazowieckiego, choć numer z tym tekstem będzie w kolportażu już jutro, w poniedziałek. Mazowiecki precyzował stanowisko negocjacyjne związku, i sumienna redaktorka uznała zapewne, że tak "gorący" materiał nie może czekać. Znajomy, z którym razem słuchaliśmy audycji, wrzucił tylko ramionami. "Co za pomysł – powiedział – robić dodatkową reklamę Mazowieckiemu..."

No dobrze – zauważy ktoś przytomnie – ale jeśli aktywnej opozycji jest tak mało, to czemu władza tak się jej boi? Przyczyna, jak sądzę, jest prosta: aktywnej opozycji jest mało, ale ona jest – i decyduje o obrazie całości. Po stronie władz nie ma żadnej siły, którą można by jej przeciwstawić. Pomysł, by członkowie partii w zakładzie sprzeciwili się czynnej próbie wywołania strajku przez "Solidarność", lub by wyszli w kontrmani-

festacji na ulicę, jest po prostu absurdalny. Mało tego – „Solidarność” jest nie tylko w stanie wywołać strajk, ale także mu zapobiec, jeśli do strajku, jak to ostatnio miało kilkakrotnie miejsce na Śląsku, demagogicznie wzywa OPZZ. Słowem, partia jako siła społeczna jest nie tylko pozbawiona autorytetu: ona po prostu nie istnieje. Gdy reżim nie może awangardzie ruchu robotniczego przeciwstawić własnej społecznej reprezentacji, to znak, że pora już o nim mówić jako o *ancien régime*.

Ale jeśli partia pozbawiona jest sił społecznych, które by ją poparły, to jeszcze nie znaczy, że brak jej sił w ogóle. Przeciwnie – w ostatnich tajemniczych zgonach księży dopatrujemy się działania tej samej zbrodniczej ręki, co cztery i pół roku temu, gdy porwano i zamordowano księdza Popiełuszkę. Jego zabójca, kapitan Piotrowski, mówił o sobie potem na procesie toruńskim, że jest komunistą. Z wypowiedzi Piotrowskiego wynikało jasno, że to samookreślenie daje mu, w jego oczach, prawo mordowania tych, których dla dobra komunizmu mordować należy. Od chwili wprowadzenia stanu wojennego – zaprowadzonego, przypomnijmy, by uniknąć rozlewu krwi – było około stu wypadków śmierci z rąk „nieznanych sprawców” osób, którym dobro komunizmu niewątpliwie nie leżało na sercu. Trudno uwierzyć, by tę falę mordów przypisać było można jedynie, niewątpliwemu skądinąd, ogólnemu nasileniu bestialstwa wśród przestępców, i nie tylko ich.

A więc partia ma jeszcze w rezerwie tę siłę, używaną dotąd sporadycznie i niechętnie, lecz zdeterminowaną, ideową, fanatyczną, z której mógłby być dumny Dzierżyński. Tyle tylko, że budzi ona strach nie tylko wśród tych, których partia określa jako wrogów – ale i w partii samej. Kapitan Piotrowski nie miał wahań, że szkodliwego dla interesów komunizmu księdza należy zlikwidować. A jeśli jutro któryś z jego komilitonów uzna, że równie szkodliwy dla interesów tej wzniosłej idei – a może nawet jeszcze bardziej, bo rozkładający partię od wewnątrz – jest rozprawiający o pluralizmie socjalistycznym, kompromisie i dialogu tow. C? Albo przedstawiciel przeżartych ideologicznym zwątpieniem środowisk pseudointelektualnych, tow. prof. K.? Albo zmiesławiający heroiczną przeszłość budowniczych władzy ludowej tow. R., w dodatku piastujący z poręczenia partii tak odpowiedzialne stanowisko? Albo – *horribile dictu* – sam tow. ...?

Nie są to jałowe spekulacje. Partia rzeczywiście, w rozpaczliwej próbie odbudowania jakiegokolwiek społecznego poparcia, dokonuje gwałtownej i drastycznej rewizji podstawowych ideologicznych aksjomatów. Wątpić można, czy wiele w ten sposób zyska, stracić natomiast może lojalność swych janczarów, i tak wystawioną od lat na ciężką próbę. Mieli moment glorii tuż po wprowadzeniu stanu wojennego, kiedy to przez moment zdawało im się, że zajeżdżona na śmierć kobyła historii wraca na wiodący ku promiennej przyszłości szlak sprzed lat. Ich tryumf nad oportunizmem i kapitulancstwem okazał się jednak krótkotrwały: po okresie heroicznego zrywu wszystko wróciło w stare koleiny, a potem, jedna po drugiej, następowały kapitulacje przed ideologicznym wrogiem, przebrany na domiar złego za marksowskiego proletariusza. (Ale kto widział kiedy proletariusza z krzyżem? Ten detal go zdradził.) I oto dziś następuje, na oczach janczarów, kapitulacja ostateczna: w świetle telewizyjnych jupiterów wróg wkracza na salony Pałacu Namiestnikowskiego, by negocjować jak równy z równym. A przecież nie wygrał naprawdę żadnej bitwy: to zdrada dała mu klucze do zwycięstwa.

Nie chcę ciągnąć tego wątku, balansującego na krawędzi między polityczną interpretacją i literacką fikcją. Nie jest jednak prawdą, że mord polityczny całkiem jest obcy

polskiej tradycji politycznej; niektórzy pogrobowcy endecji do dziś czczą pamięć Eligiusza Niewiadomskiego, a kroniki dwudziestolecia odnotowały więcej przypadków rozstrzygnięcia politycznych sporów za pomocą argumentu przemocy. W tradycji komunistycznej jest on natomiast obecny stale; stąd też, na przykład, utrzymująca się nadal, po pół wieku, polityczna wybuchowość sprawy Mołojców. I wreszcie tłucze mi się po głowie ten cytat z Marksa: "lepszy straszliwy koniec niżli strach bez końca – oto polityczny testament umierającej klasy".

Pozostawmy jednak komunistów ich lękom i upiorom. Nie wiem, kto zabił księży, i czy rzeczywiście był to podwójny mord (choć w sprawie ks. Niedzielaka nie ma niestety, jak się wydaje, wątpliwości). Wiem natomiast że wszyscy, z którymi o tym rozmawiałem, mają nadzieję, że był to jedynie nieszczęśliwy zbieg okoliczności, a sprawcami – jeśli są takowi – okazał się zwykli bandyci, jak w przypadku mordu na Strzeleckim (ale dlaczego w tej, tak zdawałoby się oczywistej sprawie, dotąd nie zakończono śledztwa?). W nastawieniu tym jest nie tylko zdrowa nadzieja, że istnieje różnica między policjantem a bandytą, że pewnych elementarnych norm można być względnie pewnym. Chodzi tu o coś więcej – o pragnienie uniknięcia konieczności opowiedzenia się, publicznego wyrażenia swej postawy: słowem, obecnością, czynem, gdyby potwierdziło się najgorsze.

To nie tchórzostwo. To raz jeszcze – odmowa włączenia się w bieg spraw publicznych, podjęcia na nowo walki, którą kiedyś uznano się za beznadziejną. Od dziewięciu lat Polacy żyją w stanie nieustannego napięcia i konfliktu. To tyle, ile minęło od wybuchu drugiej wojny światowej do ostatecznego zwycięstwa komunizmu w Polsce. Dzieci, urodzone "za Solidarności" chodzą już do drugiej klasy. Czas, na którym upłynęło im dotąd całe życie, dla pokolenia ich rodziców i dziadków był czasem rozpaczliwej walki, walki z policją i majstrem w fabryce, z kolejką w sklepie i urzędnikiem w biurze. Walki, w której jedynym zwycięstwem było nie dać się pokonać: ocalić nakład gazety czy zdobyć parę butów na zimę, a jedyna perspektywa – to samo, przez lata, w nieskończoność. Znieść można tylko tyle i dość, i potem walczyć się przestaje. A skoro nie można przestać walczyć o buty, trzeba przestać walczyć o gazetę. Skoro nie można przestać bronić siebie, trzeba przestać bronić innych.

Niczego tu nie zmienia skądinąd słuszna myśl, że walcząc o innych walczy się też o siebie. Tego trzeba po prostu doświadczyć, a na luksus zaangażowania się bez reszty w działalność podziemną, niezależną, opozycyjną czy jak ją tam jeszcze zowią, mogli sobie pozwolić tylko względnie nieliczni. Reszta powoli wykruszała się, opadała, pod presją nie tyle policyjnej przemocy co przemocy dnia codziennego, wysysającego siły, stępiającego wrażliwość i ogłuszającego myśli.

Tym ludziom, nam wszystkim, dziś chce się pokazać nowe horyzonty i nadzieje. Wilczek namawia do przedsiębiorczości, kumpel pisze z RFN, że w obozie też można się urządzać, a pożyczona od sąsiada podziemna gazeta wzywa do walki o słuszną sprawę. A na to wszystko nakłada się monotony łomot prasy i telewizora, gdzie rewelacje o zbrodniach Stalina sąsiadują z zapowiedziami nowych podwyżek, a przyklejane rozmaitym publicznym osobistościom etykiety zmieniają się szybciej, niż cyferki na banknocie o najwyższym nominale. I miele się tak, miele kolejny już rok, a z perspektywy autobusu i kolejki po biały ser nie zmienia się nic, lub prawie.

Oczywiście, różnym miele się różnie. Ci, co „za Solidarności” kończyli podstawówkę, dziś czynią rozpaczliwe wysiłki, by przynajmniej ich życie nie zostało wessane w tryby

maszyny do mielenia łomotu. Im nie zdążyło się jeszcze zrobić wszystko jedno, oni gdzieś muszą mieszkać, kochać się, mieć dzieci. To oni wypchnęli "dziadków" z powrotem na scenę, i teraz patrzą im nieufnie na ręce, bo wiedzą, że to, co dla "dziadków" może być tylko kolejną porażką czy taktycznym kompromisem, dla nich będzie zastawieniem się wszystkich perspektyw i nadziei. "Dziadkowie" zaś, w imię obrony własnych, już skromniejszych nadziei, z lękiem spoglądają na bezkompromisową determinację młodych.

Nie wiem, czy i w jakim stopniu uczestnicy rozpoczynających się negocjacji zdają sobie sprawę z tego, jak bardzo różnią się dziś od siebie w Polsce *pays politique* i *pays réel*. Po stronie rządowej zdaje się przeważać przekonanie, wyrażone przez Rakowskiego w zgrabnym powiedzonku, że Polakom bardziej zależy na stole obficie zastawionym, niż okrągłym stole. Jest ono oczywiście prawdziwe, ale w tym sensie jedynie, że zawsze i wszędzie, w czasach normalnych, większość społeczeństwa bardziej troszczy się o swój bezpośredni interes, niż o meandry wielkiej polityki. Rakowski zapomina, że w Polsce dawno już nie było normalnych czasów. Dziś w Polsce mało kto wierzy i w okrągły, i w obficie, czy choćby tylko zwyczajnie zastawiony stół. Przekonanie, że wystarczy obiecać, że rząd stół zastawi, by zyskać minimum poparcia, jest idiotyzmem. Zastawi, ale w lombardzie – jak mawia pewien mój znajomy.

Niewiara społeczeństwa w okrągły stół klóci się natomiast z empirycznym, obserwowalnym faktem, że przełom polityczny jaki się w Polsce dokonał, jest rzeczywisty i znaczący. Przy okrągłym stole naprawdę istnieje szansa na wynegocjowanie, czy wymuszenie na władzy legalizacji rzeczywistości, bez czego nie jest możliwa jakakolwiek próba sensownej jej naprawy. Ale decydującego kroku od legalizacji do działania – nie sposób przecież przy okrągłym stole dokonać. To musi stać się w kraju, i musi być dziełem tych wszystkich, którzy dziś uporczywie odmawiają ponownego zainwestowania nadziei.

Władza boi się – i słusznie – zdeterminowanej mniejszości, która ją do rozmów zmusiła. A ja boję się tej większości, stojącej nieruchomo z boku, z rękami opuszczonymi ze zmęczenia, bez której nic się w Polsce nie ruszy. Nie wiem, czym można ją przekonać, by zaryzykowała raz jeszcze.

Nie wystarczy, widać to już teraz, sama relegalizacja "Solidarności", która w oczach władz jawi się jako ich ustępstwo zgoła epokowe, i jest nim zresztą w rzeczywistości. Za mało to jednak, i za późno, by przełamać społeczną apatię, i wzbudzić przekonanie, że powstał fundament, na którym można budować. W świadomości społecznej pozostało niezatarte wspomnienie zniszczenia niezależnego związku jedną decyzją władz. Na zdobywcy tak niepewnej tylko najbardziej zdeterminowani będą chcieli opierać swe nadzieje, a oni nie czekali zresztą na zgodę rządu, by działać i walczyć. Dla wszystkich innych fundamentem takim musi być coś więcej. Musi istnieć wiarygodna gwarancja, że grudeń się nie powtórzy, a przynajmniej – że nie tak łatwo.

Gwarancją taką mógłby się stać jedynie, jak sądzę, wyłoniony w wolnych wyborach Sejm. Mimo komunistycznej parodii parlamentarizmu, Sejm cieszy się nadal, jak wynika z wszystkich socjologicznych sondaży, znacznym autorytetem. Wolno przypuszczać, że autorytet ten związany jest w rzeczywistości nie z Sejmem PRL, lecz z ideą przedstawicielską w ogólności. Idea ta, mimo wszystkich krytyk, jakie pod jej adresem z różnych stron od dawna są kierowane, ma to do siebie, że umożliwia zwykłym obywatelom udział w sprawach państwowych, sprawia że państwo staje się ich państwem.

Wolne wybory są jednak dziś w PRL polityczną niemożliwością. Tym, co możliwe, jest natomiast taka modyfikacja procedury wyborczej, by część mandatów wymknęła się spod partyjnej kontroli i była obsadzona przez kandydatów wyłonionych przez środowiska niezależne, a raczej – jak głosi oferta władz – przez “konstruktywną opozycję”. Co więcej, władzy zdaje się na rozwiązaniu takim bardzo zależeć. Ten ostatni czynnik z kolei sprawia, że część opozycji, zwłaszcza ta, która nie może liczyć na nadanie jej przez KC patentu “konstruktywności”, występuje przeciwko samemu pomysłowi jakichkolwiek elektoralnych konszachtów z reżimem. Twierdzi ona, że firmowanie przez “Solidarność” wyborów w końcu, jakie by te wynegocjowane zmiany nie były, niedemokratycznych, musi skompromitować związek w oczach opinii publicznej, nie mówiąc już o naruszeniu pryncypiów.

Argumenty te, jak sądzę, należy odrzucić w całości. Nie tylko bowiem nie ma szans na to, by pryncypia wyszły bez szwanku z jakichkolwiek negocjacji z władzą, którą – jeśli by się pryncypiów trzymać – należałoby po prostu starać się obalić, ale i ryzyka kompromitacji w oczach opinii nie da się na dłuższą metę uniknąć. Rzecz bowiem w tym, że zakres odpowiedzialności, jaki związek w efekcie negocjacji będzie musiał na siebie przyjąć, okaże się z konieczności większy, niż uzyskany przezeń efektywny wpływ na sprawy publiczne. Chyba, że PRL nagle przekształci się w demokrację bezprzymiotnikową, na co się chwilowo nie zanosi.

Dlaczego jednak właśnie wybory? Ano dlatego, że autentyczny udział obywateli w wyborach, nawet ograniczony niezadowolającym prawem, lecz w jego ramach uczciwy, jest jedynym, jak mi się wydaje, sposobem na przełamanie apatii milczącej większości. Sposobem na danie jej uzasadnionego poczucia sprawstwa, a co za tym idzie – doprowadzenie jej na powrót do udziału w sprawach publicznych. Nie jest przy tym jasne, czy na pewno uda się to w ten sposób osiągnąć, jest natomiast jasne, że bez tego cały proces naprawy musi stanąć w miejscu. Pluralizm związkowy czy stowarzyszeń jest, mimo wszystko, ofertą aktywności dla mniejszości. Większość decyduje uczestnicząc w wyborach.

Udział w nich jednak, jak się rzekło, musi być autentyczny, to znaczy oparty na rzeczywistym wyborze między alternatywnymi programami. Nie może natomiast polegać na plebiscytowym głosowaniu na osoby, choćby i cieszące się największym społecznym autorytetem, którym mandaty zostały uprzednio przyznane drogą zakulisowych negocjacji. Jest się bowiem zawsze mandatariszem tych, którzy mandat udzieliłi, a nie tych, którzy, choćby i z czystym sumieniem, ratyfikowali tę decyzję.

Dlatego też nie do przyjęcia jest oferta władz, które proponują, by pewien, nawet znaczny, procent miejsc w przyszłym Sejmie (nieoficjalnie mówi się o 40%), obsadzić kandydatami “konstruktywnej opozycji”, uprzednio zatwierdzonymi przez Radę Porozumienia Narodowego, konwenty obywatelskie, czy inne ciała fasadowe. Nie chodzi o to kto, lecz z czyjej woli zasiadać będzie w Sejmie. Dopuszczalne jest jedynie, by opozycja – nawet za cenę ustępstw – wynegocjowała ordynację przewidującą, że znaczny (aciz zapewne nadal mniejszościowy) procent miejsc w przyszłym Sejmie obsadzany będzie w sposób gwarantujący korzystanie z biernego prawa wyborczego przez wszystkich obywateli, przy technicznych jedynie, a nie merytorycznych ograniczeniach.

Zapewne nie wszystkie siły polityczne pragnące stanąć w wyborczych szrankach, będą tym razem jeszcze chciały, czy mogły to uczynić. Wątpić na przykład należy, by KPN

zechciała, by móc stanąć do wyborów, dopasować swój program do niedawno wyrażonych życzeń rzecznika rządu w tej materii. Kandydować jednak mógłby na przykład Leszek Moczulski, po zgłoszeniu go przez przewidzianą ordynacją liczbę obywateli. Wybory, w których nie byłoby to możliwe, byłyby już czystą fikcją.

Nie wiem, co Lech Wałęsa rozumie przez „wybory niekonfrontacyjne”. Formuła ta, którą powtórzył za rzecznikiem rządu, nosi wszelkie znamiona pokrewieństwa z pluralizmem socjalistycznym, jednym związkim w jednym zakładzie, i innymi żaglowymi łodziami podwodnymi, uparcie wodowanymi w stoczniach imienia Diamatu. Wybory muszą być konfrontacyjne – albo nie są wyborami, lecz głosowaniem. A wtedy najlepiej głosować, jak dotąd, nogami. Oczywiście, nawet w powyższy sposób przeprowadzone wybory nie zlikwidowałyby komunistycznej kontroli nad Izbą, zaś wyłoniona w ich wolnej części reprezentacja społeczeństwa byłaby niewątpliwie dość przypadkowa i rozbita. Ale byłaby to przecież jego autentyczna reprezentacja, przyczółek demokracji o ogromnym potencjale pobudzania społecznej aktywności. Fundament dla nadziei. O to warto się bić.

Być może jest już za późno. Być może żadne półśrodki już nie wystarczą, i trzeba tylko z rozpaczą czekać, aż kolejny wybuch zmiecie skorumpowane struktury i oczyści pole pod budowę czegoś nowego. Być może wreszcie – i to jest to ryzyko największe – rezultaty nie sprostają rozbudzonym raz jeszcze społecznym oczekiwaniom, i gniew zwróci się wtedy przeciwko niezależnym działaczom, którzy wyprowadzili społeczeństwo z apatii, a potem okazali się niezdolni do podtrzymania nadziei. Wszystko to być może.

Nie może tylko być dalej tak, jak jest teraz.

LIBELLA

12 rue St-Louis-en-l'Île, F-75004 Paris

Metro: Pont Marie

Tél.: 43-26-51-09

Książki polskie
Książki francuskie dotyczące Polski
i Europy Wschodniej
Przekłady z j. polskiego na francuski

Katalogi bezpłatne wysyłamy na żądanie
Książki wysyłamy na cały świat

Marek Nowicki

KATASTROFA ZŁOTÓWKI

W nowomowie oszczędności nazywa się „nawisem inflacyjnym”. Władze zdecydowanie wolałyby rządzić ludźmi, którzy wydają przed pierwszym wszystkim rezerwy finansowe i z niecierpliwością oczekują wypłaty. Łatwiej byłoby o stabilizację rynku – zniknąłby popyt na droższe towary, i łatwiej o „dyscyplinę społeczną”. Pozbawieni oszczędności ludzie byłiby bardziej zależni od państwowego pracodawcy.

Przyjmijmy więc, że celem komunistów jest pozbawienie społeczeństwa jego mizerynych oszczędności, czyli „nawisu inflacyjnego” i zastanówmy się, jak władze mogłyby ten cel osiągnąć. W zasadzie widać dwie drogi – wymianę pieniędzy lub inflację.

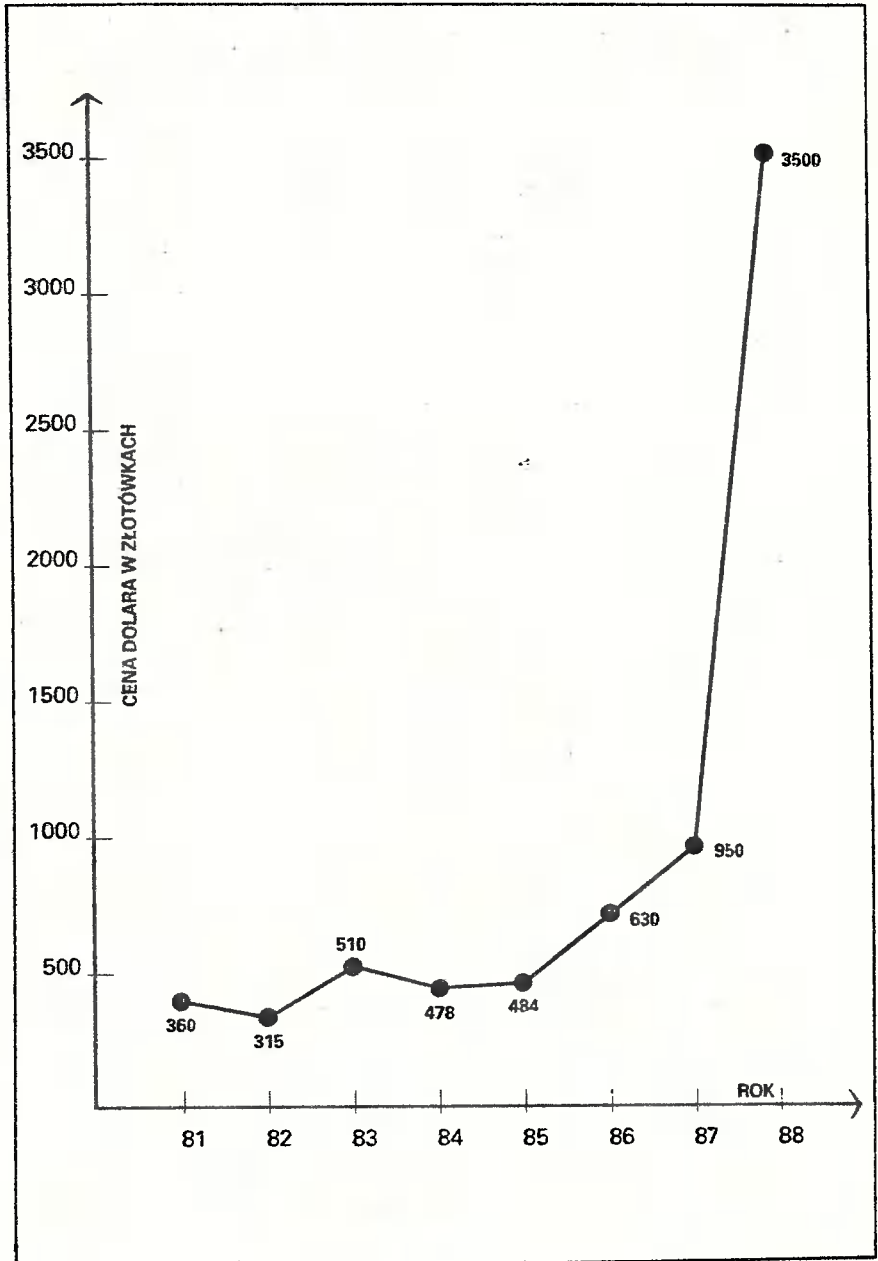
WYMIANA PIENIĘDZY: Niedawno stwierdzono w Sejmie, iż 60% przechowywanych w bankach przez ludność oszczędności stanowią waluty wymienne, a jedynie 40% złotych. Tych 40% to około 2 bln. złotych i można przyjąć, iż przechowywane w domach oszczędności złotówkowe (a więc pieniądze nie przeznaczone na bieżące wydatki), są mniejsze od trzymany w banku. Można założyć, iż łączne złotówkowe oszczędności nie przekraczają 3 bln. złotych.

Inaczej wygląda to w przypadku oszczędności walutowych. Tylko niewielka ich część zdeponowana jest w bankach, większość znajduje się w bieliźniarkach, żyrandolach czy pod podłogą. Ocenia się («Gazeta Bankowa» nr 4/88), że w rękach prywatnych pozostaje w Polsce 5 mld. dolarów, co w/g przyjętego przez NBP kursu skupu i sprzedaży odpowiada ponad 15 bln. złotych.

Tak więc oszczędności, jakimi dysponuje obecnie społeczeństwo wynoszą około 3 bln. złotych w złotówkach i ponad 15 bln. złotych w walutach wymienialnych.

Wymiana pieniędzy tyczałaby tylko niecałych 20% oszczędności zdeponowanych w złotówkach i mogłaby zmniejszyć zasoby finansowe ludności najwyżej o kilkanaście procent. Zysk ekonomiczny z takiej operacji byłby mizerny, zaś jej koszt polityczny – olbrzymi. Receptą mogłaby być wymiana dolarów, ale to, ku głębokiej rozpaczy komunistów nie leży w ich możliwościach.

INFLACJA: Inflacja jest mniej kosztownym politycznie środkiem zubożenia społeczeństwa przez pozbawienie go oszczędności. Przy stosunkowo szybkim wzroście płac, od 1-go do 1-go starcza, co zmniejsza ryzyko społecznego wybuchu, a wartość oszczędności złotówkowych gwałtownie maleje i ci, którzy oszczędzili już na pół małego Fiata lub 2 metry kwadratowe mieszkania orientują się nagle, iż stać ich tylko na jedno koło lub na 20 dcm² salonu.



Wydaje się, że władze wybrały tę właśnie drogę, likwidacji „nawisu” poprzez świadomie i konsekwentnie nakręcaną inflację. Szybka inflacja wywiera jednak bardzo negatywny wpływ na gospodarkę, choćby poprzez uniemożliwienie zawierania innych, niż bardzo krótkoterminowe umów lub też skłonność do niepłacenia przez przedsiębiorstwa długów i traktowania ich jako źródła taniego kredytu.

Precyzyjnym wskaźnikiem spadku wartości oszczędności złotówkowych jest zmiana relacji złotówki do dolara – podstawowego, jak wykazałem, przedmiotu oszczędzania. Relacja ta nieże też opisuje spadek wartości złotówki do wartości przedmiotów trwałego użytku, jak mieszkania, samochody czy video, dużo gorzej natomiast w stosunku do wartości towarów codziennej konsumpcji.

Przez wiele lat wolnorynkową ceną dolara sterował w Polsce rząd poprzez określanie pewexowskich cen wódki, samochodów i elektroniki oraz za pośrednictwem armii koncesjonowanych przez organa MSW cinkciarzy, ostatnio zaś, dodatkowo, przez ustalanie bankowej ceny sprzedaży i kupna bonów.

Na rysunku przedstawiłem zmiany wolnorynkowej ceny dolara w latach osiemdziesiątych (dane na grudzień każdego roku). Widoczny jest na nim gwałtowny wzrost ceny dolara rozpoczynający się w 1987 roku i lawinowy, drastyczny jej przyrost w 1988. Wydaje się, że w 1988 roku władze utraciły kontrolę nad rynkiem walut – taki wzrost ceny dolara raczej nie jest wynikiem świadomie planowanej inflacji, choć i tego wykluczać nie sposób. Nie jest oczywiste, co się stało. Przyczyną mógłby być wzrost dokonywanych od lat przez państwo za pośrednictwem cinkciarzy zakupów walut na wolnym rynku. W grę wchodzić mogą poważne kwoty, skoro każdego roku do rąk prywatnych Polaków wpływa z Zachodu w postaci darowizn, spadków i transferu zarobionych za granicą pieniędzy 1.5 mld. dolarów (4.4 bln. złotych) czyli dokładnie tyle, ile w/g GUS wyniosły w ubiegłym roku wypłacone w całej polskiej gospodarce wynagrodzenia.

Innym istotnym czynnikiem może być upowszechnienie praktyki kupowania przez pozbawione środków dewizowych przedsiębiorstwa państwowe potrzebnych im elementów i urządzeń w spółkach pośrednictwa handlowego, którym płacą ceny złotówkowe przekraczające często 10 000 zł/dol. Spółki te skupują waluty na wolnym rynku podbijając poważnie ich cenę.

W ostatnich latach poszerzyło się wreszcie gwałtownie grono ludzi zamożnych i bardzo zamożnych, którzy wobec inflacji natychmiast zamieniają swe oszczędności na waluty i złoto.

Jaka nie byłaby przyczyna galopującej inflacji, która pojawiła się w swej pełnej formie w drugiej połowie bieżącego roku, ofiarą jej padają głównie osoby mniej zaradne, ludzie starsi, niezdolni do geszeftów z cinkciarzami, ludzie, którzy nie potrafią z różnych przyczyn uciec w porę od złotówki. To oni głównie obdzierani są z oszczędzanych przez lata „prawnych środków płatniczych w PRL”.

A na marginesie, może odwołać by się do sprawdzonych metod gospodarczych. Dwieście lat temu Amerykanie ustalili, iż ich pieniądzem będzie dolar – i jak dobrze na tym wyszli!

Aleksander Świeykowski

DOLAR WPUSZCZONY W MALINY

Nie przypuszczali zapewne Amerykanie, że podjęta przez nich decyzja popierająca starania władz PRL w Banku Światowym o przyznanie kredytu dla przedsiębiorstwa Hortex, wywoła burzę w kraju i na emigracji. Ostatecznie suma przecież niewielka, 17 mln. 900 tysięcy dolarów. Każdy kto wie, że bieżące zadłużenie PRL na Zachodzie sięga już 40 miliardów dolarów zdaje sobie sprawę, że kredyt w wysokości około osiemnastu milionów dolarów zrujnowanej gospodarce kraju nie uratuje. Taka pożyczka nie da też żadnych szans na pokonanie bieżących kłopotów finansowych ekipy Rakowskiego. Można było przypuszczać, że cała sprawa przez opinię społeczną nie będzie nawet zauważona, a sam Rakowski z nową ekipą odczyta to jako gest dobrej woli ze strony amerykańskiego Departamentu Stanu. I można powiedzieć, że to drugie przypuszczenie się sprawdziło. «Życie Warszawy» w wydaniu z 12 listopada zamieściło obszerny tytuł *Pierwszy kredyt Banku Światowego dla polskiej firmy – 17 milionów dolarów na ogrodnictwo*. Dalej warszawski dziennik informował polskiego czytelnika: „Czwartkowy «New York Times» doniósł o pożyczce Banku Światowego dla polskiego przedsiębiorstwa. Poświęcił tej informacji sporo miejsca uważając, iż pierwszy kredyt tej instytucji dla Polski jest ważnym wydarzeniem w polityce gospodarczej. „Z kolei «Trybuna Ludu» kilka dni później zamieściła publikację *Marki dla Hortexu*: „17 bm. w siedzibie Narodowego Banku Polskiego w Warszawie odbyło się podpisanie umowy o przyznanie przez Międzynarodową Korporację Finansową długoterminowego kredytu dla Przedsiębiorstwa Handlu Zagranicznego Hortex”. Obydwa artykuły informują następnie, że pieniądze te przeznaczone będą na rozbudowę i modernizację Zakładów Przemysłu Owocowo-Warzywnego Hortex w Górze Kałwarii. Podobne artykuły zamieszczono również i w innych gazetach. Ogólny ich ton był taki, by sprawić na czytelnikach wrażenie, że wreszcie i w zakresie możliwości zdobycia przez władze PRL kre łytow zachodnich coś drgnęło i zaczyna się zmieniać na lepsze. Są więc szanse na odbudowywanie gospodarki i malowanie przed społeczeństwem świetlanej przyszłości. Co bardziej inteligentni mieli zapewne dodatkowo w tych informacjach odczytać wyraz udzielonego przez zachód poparcia Rakowskiemu.

Wydaje się, że wszystko potoczyłoby się bez echa, gdyby nie zaskakująca, przede wszystkim notabli w Warszawie, informacja, że przeciwko takiej decyzji zaprotestował Kongres Polonii Amerykańskiej. Odpowiedni tekst postanowiono złożyć w Departamencie

mencie Stanu. Natychmiast zareagowała «Trybuna Ludu». 16 listopada ukazał się artykuł pod tytułem *Beton w cieście*. Partyjny organ próbował ośmieszyć w oczach czytelnika decyzję KPA wybierając do tego celu pojedyncze słowa, z których wynikało, że obiekty naszych rodaków w Stanach Zjednoczonych sprzedają się do obaw, iż kredyt dla Hortexu nie będzie służył "polskiemu światu pracy, lecz betonowi partyjnemu". «Trybuna Ludu» naturalnie kpi z takiej argumentacji nie podejmując żadnej rozsądnej polemiki. Ba, nie publikując pełnego tekstu protestu.

Osobiście również dokładnie nie wiem, jak dokument KPA wyglądał i co zawierał. Mogę się jedynie domyślać, ale nie ma to w tej chwili większego znaczenia, bowiem sprawa ostatecznie została przez Johna Whitheada załatwiona i kontrakt podpisano. Warto się jednak tej aferze – tak to trzeba nazwać – przyjrzeć, gdyż ujawnia ona pewne mechanizmy, które z jednej strony odsłaniają naiwność zachodnich ekonomistów i polityków w kontaktach z członkami rządów komunistycznych, a z drugiej pokazują, jak łatwo komunistom przychodzi przekonać zachodnich biznesmenów używając w bezpośrednich rozmowach słów, które w rzeczywistości komunistycznej niewiele znaczą, albo tę rzeczywistość zniekształcają. Przykładem takim jest właśnie Centralny Związek Spółdzielczości Ogrodniczej. Niezorientowany w rzeczywistości polskiej człowiek po usłyszeniu takiej nazwy przekonany jest, że jest to typowa spółdzielnia. Jeżeli zaś spółdzielnia, to na pewno własność nie państwa i nie jednego człowieka, ale typowa spółka powstała na dogadania się i wkładów większej ilości ludzi. W rozmowach z obcokrajowcem wystarczy umieszczone w nazwie przedsiębiorstwa słowo *spółdzielnia* przetrzymać wprost i powtarzać w kółko *cooperative, company, owned cooperatively*, by zrozumieli, że faktycznie mowa jest o czymś, co odpowiada popularnym w krajach zachodnich związkom czy spółdzielniom zakładanym przez farmerów czy bauerów. Jak łatwo w praktyce wyprowadzić zachodnich rozmówców w pole, niechaj świadczą komentarze, jakie ukazały się na temat tej pożyczki w prasie zachodniej. Nawet tak renomowana agencja prasowa jak Reuter już 9 listopada podała w świat następującą wiadomość: "Hortex, największe w Polsce przedsiębiorstwo chłodnicze, zamierza w przyszłym tygodniu podpisać umowę o kredyt wartości 17 milionów dolarów z Międzynarodowym Funduszem Walutowym. SPÓŁDZIELNIA posiadająca zakłady na terenie całego kraju..." itd. Z kolei dziennik «The New York Times» 11 listopada obszerny artykuł na temat tej pożyczki zakończył następująco: "Pożyczka Banku Światowego przeznaczona jest dla Hortexu – spółdzielni rolniczej – wiodącego w Polsce przedsiębiorstwa, które udowodniło swoje możliwości eksportowe – powiedział przedstawiciel banku prosząc o zachowanie anonimowości. Pieniądze będą przeznaczone na rozbudowę 6 spośród 9 chłodni. Jako SPÓŁDZIELNIA, Hortex jest własnością 300 000 chłopów. Rolnictwo w Polsce od dawna jest w prywatnych rękach." Zdanie mówiące o tym, że Hortex jest własnością 300 tysięcy chłopów polskich powtarza się w kilku innych relacjach prasy zachodniej. Ten argument powtarzano uparcie podczas debaty w Departamencie Stanu. Był on niezbędny, ponieważ instytucja, która udzieliła tego kredytu, International Finance Corporation, sekcja Banku Światowego, może udzielać pożyczek tylko z przeznaczeniem na rozwój sektora prywatnego w danym państwie. Nie wymieniony z nazwiska przedstawiciel IFC oświadczył dziennikarzom zachodnim, że „jest wiele powodów dla których pożyczkę tę ostatecznie dla Polski zatwierdzono, jednym z najistotniejszych był jednak fakt, że Hortex jest własnością chłopów i że chłopci przerabiają w zakładzie swoje zbiory, które

potem sprzedają na Zachód." Z kolei także nie wymieniany z nazwiska przedstawiciel Departamentu Skarbu w Waszyngtonie oświadczył: "USA głosowały za przyznaniem tego kredytu dla Hortexu, ponieważ dopomoże to w rozwoju sektora prywatnego".

Niektórzy dziennikarze zachodni zwrócili uwagę, że Stany Zjednoczone, które cały czas były przeciwnie jakimkolwiek kredytom dla Polski, nagle teraz, kiedy na stole Rady Dyrektorów IFC pojawił się wniosek o pożyczkę dla Hortexu głosowały za. Z nieoficjalnych źródeł wiem, że stało się to właśnie za sprawą zastępcy sekretarza stanu Johna Whitheada. Podobno tak bardzo spieszył się z zatwierdzeniem tego kredytu, że uczestniczący w posiedzeniu eksperci nie mieli czasu na zadanie dodatkowych pytań. Złośliwi powiadają, że John Whithead spieszył się, bo wiedział, że po odbywających się za kilka dni wyborach, może być już za późno.

Tyle istotnych w tej sprawie faktów. Zapewne niektórzy z czytelników zadają sobie w tej chwili pytanie, jak to może być możliwe, by eksperci IFC nie wiedzieli, czym naprawdę jest Hortex? Czy możliwe jest, by także eksperci Departamentu Stanu nie wiedzieli jak sprawy mają się naprawdę? Myślę, że trzeba tu oddzielić pierwsze pytanie od drugiego. Zarząd czy też Rada Dyrektorów IFC jest zobowiązana czuwać nad realizacją polityki kredytowej zgodnie z założeniami i celami banku. Jeżeli jest to instytucja jednoznacznie podkreślająca, iż udziela kredytów tylko wówczas, kiedy służą one rozwojowi gospodarstw prywatnych, to obowiązkiem Rady było zebrać dokumentację potwierdzającą słuszność ostatecznej decyzji. Fachowcy ze strony polskiej nie są w ciemnie bici. Doskonale znają zasady funkcjonowania instytucji i zapewne czynili wszystko, by przekonać szczególnie Amerykanów, do nich to przecież należy głos ostateczny, że Hortex to kooperatywa należąca do chłopów i chłopom służąca. Jeżeli oficjalne dokumenty Hortexu powiadają, że jest to przedsiębiorstwo podległe Centrali Spółdzielni Ogrodniczych, a CSO jest spółdzielnią zrzeszającą 300 tysięcy producentów warzyw i owoców to znaczy, że i wchodzące w jej skład zakłady Hortexu również w jakiś sposób są własnością tych członków. O tym, iż jest to wielka fikcja, o tym, że tak jak spółdzielczość mleczarska nie jest żadną chłopską spółdzielnią tylko monopolistą państwowym, o tym, że tak jak Gminne Spółdzielnie Samopomocy Chłopskiej nie są żadnymi spółdzielniami reprezentującymi interesy chłopów i przez samych chłopów powołanymi do życia, lecz są przez komunistyczną władzę zorganizowanymi przedsiębiorstwami państwowymi do wyzyskiwania chłopów, eksperci z IFC nie wiedzą. Żeby się o tym dowiedzieć, trzeba pojechać do chłopów. Trzeba z nimi porozmawiać i zebrać opinie. Na to sobie nikt z zachodnich ekspertów tak renomowanych instytucji nie pozwoli. Zresztą po co? Przecież jest przetłumaczony przez polski MHZ na język angielski statut, są zapewnienia dyrektorów Hortexu w Warszawie i w poszczególnych zakładach, jest wreszcie Centrala Spółdzielni Ogrodniczych. Poza tym, jeżeli już, to dla świętego spokoju urzędnik IFC jedzie do przetwórci w Górze Kalwarii, bo to najbliższej Warszawy, a tam dyrektor obwozi go po okolicznych wsiach i opowiada jak to właśnie dzięki wybudowaniu zakładów, dzięki zainstalowaniu nowoczesnych linii technologicznych i przy pomocy własnej służby kontraktowej pola dawniej obsiewane żytem zamieniono na plantacje truskawek, porzeczek czy groszku. Dalej dyrektor opowiada przybytemu ze Stanów Zjednoczonych urzędnikowi, że to właśnie dzięki współpracy chłopów z przetwórcnią dachy dawniej kryte słomą kryje teraz dachówka, a w każdym domu jest łazienka i samochód. Amerykanin chodzi, kiwa głową, podziwia. Dyrektor zaprowadzi go jeszcze do zaprzyjaźnionego

plantatora, który okaże się akurat prezesem związku plantatorów i który zgodnie z obowiązującym zwyczajem, nieprzymuszany, z własnej naturalnie woli upewni gościa z zagranicy, że Hortex to wielkie zbawienie dla okolicznych chłopów, to źródło ich dobrobytu. Tutaj właśnie dowie się on, że w ogóle związek plantatorów istnieje, że zakład zaopatruje samopów w nasiona i środki ochrony roślin, że organizuje wycieczki chłopom, że wreszcie współpraca obu stron jest samym miodem wymaszczona. A wszystko co dzisiaj posiadają, właśnie Hortexowi zawdzięczają. Hortex jeszcze dodatkowo, by plantatorów bardziej z zakładem związać, tu wybudował przedszkole, a w innej wsi świetlicę. Sielanka.

Znam to z autopsji. Bywałem i w Górze Kalwarii i w budowanych przez Hortex chłodniach. Taki obraz próbowano mi przedstawić przed obiektywem telewizyjnej kamery filmowej. Dziwnie jakoś z tymi opowieściami kontrastowały narzekania samych chłopów na to, że płacone przez Hortex ceny są zbyt niskie w porównaniu do zysków czerpanych przez Hortex, na to, że wskutek wyjątkowego urodzaju pomidorów czy groszku nie było co z towarem zrobić, że wreszcie sami chłopci czują się jak w szponach wielkiego latyfandy, który dyktuje im warunki wedle swego widzimisię. O tym wszystkim ekspert z Ameryki nigdy się nie dowie. Dbają o to ci, którzy ekspertowi wyznaczają trasę i organizują rozmówców. Jednak w przypadku kredytu dla Hortexu było nieco inaczej. Eksperci Banku Światowego, którzy sporządzali opinie o przedsiębiorstwie otrzymali do ręki bardzo ważny dokument, który ostatecznie powinien dziennikarzom zachodnim entuzjazm nieco ostudzić.

W Stanach Zjednoczonych przebywała przewodnicząca zakładowej komisji "Solidarności" w Przedsiębiorstwie Handlu Zagranicznego "Hortex-Polcoop" Jadwiga Kubalska oraz wiceprzewodniczący tej komisji i ekspert Ogólnokrajowej Sekcji Spółdzielczości Rolniczej Zdzisław Czuba. Oboje, po ukazaniu się w prasie wiadomości o przyznaniu kredytu, wydali odpowiednie oświadczenie, w którym czytamy: "Przed wprowadzeniem stanu wojennego w Polsce Zakładowa Komisja „Solidarności” w PHZ „Hortex-Polcoop” opracowała projekt przekształcenia tego przedsiębiorstwa w spółdzielnię usługową w zakresie eksportu i importu dla rolników, ogrodników, spółdzielni i przedsiębiorstw prywatnych. Projekt spotkał się z uznaniem spółdzielców, pracowników, jak również i części kierownictwa Centralnego Związku Spółdzielni Rolniczych Samopomoc Chłopska, które skłonne było pójść na uspołdzielczenie „spółdzielczości”.

Dalej z oświadczenia tego dowiadujemy się, że zdecydowanie przeciwni temu projektowi byli przede wszystkim ludzie kierownictwa PHZ "Hortex-Polcoop". Obawiali się oni utraty stanowisk, a ponadto całkowicie obce im były idee spółdzielczości. Dla nich Hortex był tylko i wyłącznie państwowym przedsiębiorstwem handlu zagranicznego. Podczas stanu wojennego w zakładzie przeprowadzono reorganizację, w wyniku której utworzono dwa odrębne przedsiębiorstwa "HORTEX" i "POLCOOP". Była to naturalnie operacja czysto administracyjna i pozorna. Dało to szerokie możliwości do usunięcia z pracy wszystkich ludzi niewygodnych. O działalności „Solidarności” nie było oczywiście mowy. Owcześnie dyrektor przedsiębiorstwa Mirosław Trzeciak za opanowanie wszczętych przez chłopów i „Solidarności” akcji rewindykacyjnych w zakładzie został przez władze nagrodzony. Mianowano go dyrektorem Spółki Drzewnej w Londynie.

Jadwiga Kubalska i Zdzisław Czuba w innym miejscu swego oświadczenia napisali: "Przedsiębiorstwo Hortex nie zrzessa żadnego rolnika. Jest to typowe przedsiębiorstwo

handlu zagranicznego, które jest zaprzeczeniem wszelkiej idei spółdzielczej. Dyrektorzy są z nomenklatury partyjnej, a kierownicy działów są zatwierdzani przez organizacje partyjne". Wedle autorów oświadczenia dotacje dolarowe ratują jedynie przedsiębiorstwo przed bankrutem i wzmacniają relikty komunistyczne na wsi. Hortex posiadając kapitał dolarowy będzie stosował politykę niszczenia inicjatywy prywatnej i wszelkich podejmowanych z inicjatywy chłopów załączków spółek i niezależnych od władz spółdzielni. Autorzy są naturalnie przeciwko udzielaniu jakichkolwiek kredytów "rzekomym przedsiębiorstwom spółdzielczym" dopóki ruch spółdzielczy nie stanie się naprawdę samorządnym i spółdzielczym.

Przyпускаjąc, że ten właśnie dokument w jakimś stopniu zdecydował o działaniach podjętych przez Kongres Polonii Amerykańskiej. Sama interwencja niewiele zmieniła. Być może jednak wyostriży uwagę odpowiednich kół finansowych przy rozpatrywaniu kolejnych wniosków PRL o kredyty.

Władze w Warszawie coraz bardziej zdają sobie sprawę z tego, że bez kapitałów zachodnich z gospodarczego bagna nie wyjdą. Zdają sobie z tego również sprawę i finansiersi wielkich banków. Jednak przykład pożyczki dla Hortexu pokazuje, że łatwo znaleźć drogi okrężne, które ostatecznie mogą prowadzić do oczekiwanego celu. Opisany przykład jest właśnie jednym ze sposobów. Najłatwiej powiedzieć, że to nieuczciwie. Ale, kiedy komuniści w walce o władzę postępowali uczciwie? Tym razem zagrano *va banque*. Na szalę postawiono 300 tysięcy chłopów. Trzeba pamiętać, że podobnych do Spółdzielni ogrodniczej, której formalnie podlega Hortex, jest jeszcze wiele. Nietrudno sobie wyobrazić, jak łatwo byłoby przekonać zachodnich bankowców o tym, że np. Rolnicze Spółdzielnie Produkcyjne to własność dobrowolnie zrzeszających się chłopów. Zresztą podejrzewam, że tego typu argumentów władze używają w pertraktacjach o kredyty dla kombinatu w Dębicy. Tutaj nie można żonglować słowami o spółdzielczości, bo oficjalnie mówi się, że jest to kombinat państwowy. Jednak za jednym zamachem przekonuje się, że ten kombinat zmienia oblicze mieszkających w Bieszczadach chłopów i wsi, że to on swoją działalnością wnosi cywilizację na wieś. Jakoś mało kto chce się jednak zastanowić skąd liczący w latach siedemdziesiątych kilkaset hektarów kombinat rolny wziął ziemię, by powiększyć obszar swego działania do trzydziestu tysięcy hektarów. Z Nieba? Nie, to są hektary, które przez wieki uprawiali chłopci. A kiedy im już sił nie starczyło, albo też pod przymusem ekonomicznym, ziemię oddali państwu, a państwo założyło na niej kombinat. By jednak kombinat mógł funkcjonować potrzebuje kapitału. Ten kapitał dzisiaj zapewniają kredyty zachodnie, głównie z RFN.

Historia Hortexu jest już dość długa. W 1988 roku uroczyście obchodzone 30-lecie firmy. Najpierw było to tylko przedsiębiorstwo, które miało skupowane od chłopów przez spółdzielczość ogrodniczą warzywa i owoce sprzedawać za granicę. Po kilku latach zorientowano się, że pozyskiwany od chłopów towar jest tani i dobrze sprzedaje się za dewizy. Przystąpiono więc do budowy chłodni i tworzenia wokół nich plantacji truskawek, porzeczek, pomidorów, ogórków, malin itd. Siła robocza na wsi jest tania. Profity zbijane na tanim towarze za pośrednictwem Hortexu, ale już nie w złotówkach lecz w dolarach trafiały do budżetu narodowego. Budżet narodowy roztrwoniono na kolejne plany industrializacyjne. Co z tego ma wieś?

Hortex jest dzisiaj największym monopolistą sprzedającym za dewizy 60 procent wszystkich eksportowanych przez PRL warzyw i owoców. Jeżeli do tego dodamy jeszcze eksport realizowany przez Dębicę i zakłady typu Łowicz, Pudliszki czy Rzeszów to

widzimy, że na samodzielne inicjatywy chłopskie nie ma już miejsca. Zresztą do tej pory było to prawnie niemożliwe. Teraz istnieją już takie możliwości. Chłopi mogą zawiązywać własne spółki i nawet starać się o licencje eksportowe. W przypadku znalezienia rynku zbytu i odprowadzeniu do skarbu państwa ustawowego podatku reszta wpływów dewizowych może pozostać w rękach chłopów. Teoretycznie więc pojawiają się na horyzoncie możliwości tworzenia firm konkurencyjnych dla monopolistów typu Hortex czy Dębica. Są przykłady tworzenia się takich inicjatyw. Pamiętajmy jednak, że wymaga to olbrzymich kapitałów. Wiś generalnie, po 40 latach komunistycznych rządów, jest biedna, podobnie zresztą jak i biedne jest państwo. Tyle tylko że państwo na chłopskich grzbietach wybudowało sobie bazę typu właśnie Hortex, Dębica, czy Pudliszki. Państwo ma olbrzymią armię urzędników penetrujących od lat rynki. Teraz państwo otrzymuje tak trudno dostępne w świecie kredyty po to, by budowany, powtarzam świadomie, na chłopskich grzbietach, monopol jeszcze bardziej umocnić.

A przecież można by było inaczej. Zachód, w tym Stany Zjednoczone przede wszystkim, wielokrotnie deklarował pomoc społeczeństwu polskiemu. Teraz, kiedy na władzy wymuszono określone decyzje ustawodawcze i gdy powstaje coraz szersza możliwość przebudowywania zastałych struktur gospodarczych, kiedy można zakładać spółki z kapitałem mieszanym albo i nawet wyłącznie z kapitałem zachodnim zaistniały możliwości przyspieszenia tych procesów. Przecież wyobraźmy sobie, że przyznane Hortexowi prawie 18 milionów dolarów, podzielono by na osiemnaście równych części. Byłoby ich osiemnaście. Można by było zawiązać osiemnaście spółek lub spółdzielni zrzeszających chłopów z kapitałem wyjściowym po milion dolarów. Gdyby taka możliwość zaistniała w rzeczywistości – to gwarantuję, że chętnych z inicjatywą w ciągu kilku dni byłoby tylu, że trzeba by ogłaszać konkurs i w drodze konkursu wybierać najlepszych. Zresztą już dzisiaj w Polsce łatwo znaleźć tyle właśnie autentycznych spółdzielni i spółek chłopskich, które wsparte takim milionowym zastrzykiem w krótkim czasie dokonałyby cudów. Kapitał zostałby zapewne wykorzystany zgodnie z wolą kredytodawców. Rynek szybko wzbogaciłby się w poszukiwane produkty. Chłopi polscy poczuliby się gospodarzami w swoich, autentycznych spółdzielniach i nie byłoby zbędnego przecież niezadowolenia i swądu. A on jest nie tylko w Chicago, ale także i w Polsce.

4 grudnia w Stalowej Woli odbyło się posiedzenie Rady Solidarności Wiejskiej województwa tarnobrzezkiego. Uczestniczyło w nim około 70 osób. W wydanym po tym spotkaniu oświadczeniu czytamy, że chłopci dyskutowali o najważniejszych sprawach wsi, rolnictwa i kraju. W kilku sprawach podjęto „wiązące działania”. W tym także: „W sprawie Hortexu i tzw. spółdzielczości ogrodniczej, bezpodstawnie protegowanych przez firmy polonijne i wspieranych nieuzasadnionymi kredytami przez koła finansowe Zachodu.”

Nie wiem na czym to wiążące działanie w tej konkretnej sprawie ma polegać. Wiem natomiast, że chłopci ze Stalowej Woli wiedzą lepiej od amerykańskich ekspertów i dziennikarzy, czy Hortex jest spółdzielnią należącą do chłopów czy nie. Poza tym, jeżeli już zaproponowałem konkretny podział i wykorzystanie 18 milionów dolarów, to dodam jeszcze, że taka propozycja powinna wyjść właśnie od rządu PRL. To rola rządu kraju szukać kapitałów i możliwości rozwojowych dla środowisk i ludzi z inicjatywą, a nie tworzenie konkurencji blokującej te inicjatywy. W takiej przepychance nic pozytywnego się nie działo. Przybywa tylko dodatkowy argument pokazujący, że władzy idzie o

umocnienie swego stanu posiadania i zabezpieczenie wszelkich możliwych jeszcze do uratowania pozycji bez względu na ogólne koszty. To też zachodnia finansjera powinna zrozumieć.

P.S. 22 grudnia w wychodzącym w Nowym Jorku w języku polskim «Nowym Dzienniku» wydrukowano fragmenty listu zastępcy Sekretarza Stanu Johna Whiteheada skierowanego do prezesa Kongresu Polonii Amerykańskiej Edwarda Moskala, w którym stara się on przekonać działaczy polonijnych, że podjęta decyzja o udzieleniu kredytu Hortexowi jest słuszna, bo „przyniesie ona korzyści dla 300 tys. prywatnych rolników polskich, którzy są członkami spółdzielni HORTEX”. List ten więc niczego nowego do przedstawionej przeze mnie sprawy nie wnosi, a raczej potwierdza tylko zaprezentowane wnioski.

ORBIS BOOKS (LONDON) LTD

Księgarnia Polska, 66 Kenway Rd., London SW5 ORD ☎ 01-370 2210

**Książki polskie — wydawnictwa emigracyjne i krajowe —
Książki w języku angielskim dotyczące spraw polskich
i Europy Wschodniej.**

Wydawnictwa zachodnie w języku czeskim, rosyjskim i ukraińskim.
Prowadzimy dział antykwaryczny książek polskich —
wydania przedwojenne i emigracyjne.

**Słowniki — książki dla dzieci — płyty, kasety i video kasety.
Wykonujemy zamówienia pocztowe.**

Przyjmujemy CZEKI (z wyjątkiem kanadyjskich), BOOK TOKENS
i karty kredytowe: ACCESS, VISA, AMERICAN EXPRESS, EUROCARD,
MASTERCARD. Konto GIRO Nr 5771455.

**Wydajemy biuletyn informacyjny: NOWE KSIĄŻKI (3 razy do roku)
Na żądanie wysyłamy tematyczne wykazy książek.**

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 443 —

WITOLD DOWOYNA SYLWESTROWICZ

LISTY NIEWYSLANE

Dziennik z okresu wojny: wrzesień 1939 - kwiecień 1945, napisany przez oficera lotnictwa, który brał udział w kampanii wrześniowej oraz w działaniach bojowych na terenie Francji i Anglii. Od wybuchu wojny do jej zakończenia prowadził Dziennik w formie nigdy nie wysłanych listów do żony.

Str. 160.

Cena F. 70,00.

TOM 444 — MAREK NOWAKOWSKI

KARNAWAŁ I POST

Nowy zbiór utworów Marka Nowakowskiego zawiera opowiadania: Karnawał i post; Elegia o umarłym świecie; Pan Julian Wołoszynowski; Polwark zwierzęcy Gogoła; O „Wyroku na Franciszka Kłosa”; Pod gwiazdami; Żydowski hrabia; Historia pewnej przyjaźni; Imperatyw; Przestroga; „Jubileuszowa”; „Kamieniolomy”; Sierota Europy; Śmierć; Fabuła.

Str. 192.

Cena F. 85,00.

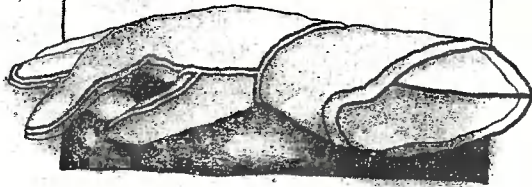
TOM 445 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT OSIEMDZIESIĄTY SZÓSTY

zawiera opracowania: Jan Ciechanowski: *Plk Janusz Bokszczanin o Armii Krajowej i Powstaniu Warszawskim*; Aleksandra Ziółkowska: *Proces Melchiora Wańkowicza w 1964 roku*; Gen. Sir Adrian Carton de Wiart: *Wspomnienia*; Mieczysław Rybczyński: *Wypadki majowe 1926 roku*; Anstol Wertheim: *Żydowska partyzantka na Białorusi*; Jerzy Stepien: *Sprawa biskupa Czesława Kaczmarska*; Jan Ciechanowski: *Brytyjska pomoc dla Warszawy*; Lucjan Kruciec; Tadeusz Wyrwa: *Nowa inicjatywa wydawnicza Instytutu Polskiego i Muzeum im. Generała Sikorskiego w Londynie*; Piotr Wandycz: *Nowe książki*; Gerhard von Jordan: *Powstanie i kapitulacja Warszawy*; Marek Zieliński: *Bez kompromisu*; Alina Kowalczykowa: *Na marginesie „Listów z Rosji” Custine’a*; Tadeusz Wyrwa: *Najnowsze dzieje Polski w komunistycznym wydaniu*; Piotr Wandycz: *ZSSR a Polacy*; Henryk Kozłowski: *„Zaraz po wojnie”*; Jacques Maritain *o Polsce 1945 roku* oraz działy RECENZJE i LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 80,00.



WOLNOŚĆ, KTÓRĄ SAMI WYBIERAMY

Władimir Maksimow

Znany i bardzo przeze mnie szanowany pisarz Gustaw Herling-Grudziński opowiedział mi swego czasu historię, która mogłaby posłużyć za najbardziej wymowną ilustrację do dyskusji nad wolnością we współczesnym świecie.

Pewnego razu uczestniczył jako korespondent dużego włoskiego dziennika w konferencji prasowej znanego działacza brytyjskiej partii pracy, który niedawno powrócił z podróży do Polski. Parlamentarzysta angielski z zachwytem opowiadał zebrany dziennikarzom o panującej w tym kraju atmosferze i porządkach.

– No dobrze – zwrócił się do niego mój polski przyjaciel, ale czy Pan sam miałby ochotę w tej Polsce zamieszkać?

– Ja nie – odparł spokojnie mówca. – Ale jak dla Polaków to jest tam świetnie.

Odnoszę wrażenie, że ta odpowiedź doskonale unaocznia sedno owego podwójnego standardu, tych podwójnych kryteriów z jakimi zachodni intelektualiści – a także niektórzy wschodnioeuropejcy, wśród nich Andrzej Drawicz, którego cenię i poważam – traktują kwestię wolności w otaczającym świecie.

To, co jest nie do przyjęcia w Korei Południowej, frankistowskiej Hiszpanii, Grecji „czarnych pułkowników” lub Chile pod rządami Pinocheta, nie tylko zasługuje ich zdaniem na akceptację przez narody sowieckie, ludność Polski czy Węgier, ale też w określonych okolicznościach jest dla nich rozwiązaniem najkorzystniejszym.

Proszę mnie dobrze zrozumieć. Nie jestem bynajmniej zwolennikiem chilijskiego dyktatora, od lat wiąże mnie bliska współpraca z chrześcijańsko-demokratyczną opozycją w tym kraju. Proponuję natomiast, byśmy trzeźwo spojrzeli na rzeczywistość: w Chile funkcjonuje bez przeszkód ponad trzydzieści opozycyjnych partii i organizacji, swobodnie działają alternatywne środki masowego przekazu z telewizją włącznie, całkiem niedawno zniesiono ostatnie ograniczenia w swobodzie podróżowania (do Santiago wróciła nawet wdowa po obalonym prezydencie Allende), wreszcie przeprowadzono demokratyczne referendum, które – przynajmniej formalnie – położyło kres generalskiej dyktaturze. Tym niemniej – i słusznie – Pinochet uchodzi w oczach światowej opinii publicznej za uzurpatora, bowiem nawet najlepsza dyktatura zawsze będzie gorsza od najędźniejszej demokracji.

A skoro tak, to zastanówmy się wspólnie: dlaczego, w imię jakiej logiki, jakich kryteriów prawnych czy filozoficznych ta sama światowa opinia publiczna ogłasza sowieckiego dyktatora Michaiła Gorbaczowa wielkim reformatorem i humanistą naszych czasów dlatego tylko, że wyraził zgodę na druk „Doktora Żiwago”, pozwolił dziennikarzom na nieco więcej szczerości w mówieniu o bolączkach sowieckiego społeczeństwa oraz wypuścił z łagrów i psychuszek kilkudziesięciu więźniów politycznych, wsadzonych tam za znacznie bardziej umiarkowaną krytykę?

Jakie polityczne czy ludzkie cechy odróżniają generała Jaruzelskiego od jego chilijskiego kolegi? Powiedzmy wprost: Jeśli nawet są jakieś różnice, to tylko na niekorzyść pierwszego.

Czemu zatem Andrzej Drawicz – którego, powtarzam. cenię i szanuję – traci tyle słów i publicystycznej swady, starając się udowodnić to, co jest niemożliwe do udowodnienia?*

Pytanie nosi, ma się rozumieć, charakter czysto retoryczny: moralny i polityczny daltionizm współczesnych intelektualistów wynika z zakorzenionej wśród nich tradycji marksistowskiej, która zdołała narzucić – nierzadko wbrew ich woli – własne ideologiczne kryteria. Głoszą one, że wszystko, co wywodzi się z tej doktryny jest z definicji pozytywne, a wszelkie zbrodnie przeciw ogólnoludzkim normom, w tym również Gułag, określa się jako kosza własne tego bezprecedensowego eksperymentu.

Jednak przyjęcie tej optyki jest, jak sądzę, równoznaczne ze skazaniem zarówno Wschodu, jak i wolnego – na razie – Zachodu, na powolne, acz nieuchronne samozniewalanie. Już dziś coraz trudniej jest stawać w obronie ogólnoludzkich wartości. Przewodniczący Międzynarodówki Socjalistycznej Willy Brandt otwarcie apeluje o selektywne podejście do kwestii praw człowieka, by przypadkiem nie zainteresowano się losem najróżniejszych “reakcjonistów”. Pamiętając o serdecznej przyjaźni łączącej laureata pokojowej nagrody Nobla ze zdemaskowanym dziś nawet w prasie sowieckiej łapówkarzem, katem Czechosłowacji i Afganistanu, Leonidem Breżniewem i wszystkimi komunistycznymi dyktatorami od Fidela Castro do Husaka włącznie, można sobie bez trudu wyobrazić, kogo w krajach totalitarnych zalicza on w poczet tej „reakcji”. Kiedy zaś partia Georgesa Marchais, triumfalnie sławiąca kolejne zbrodnie swych sowieckich kolegów – od stalinowskiego Gułagu do agresji na Afganistan – powołuje komitet obrony praw człowieka, to doprawdy ogarniają wątpliwości: śmiać się, czy płakać?

Jedno wydaje się pewne: groźba fizycznej ekspansji totalitaryzmu w świecie współczesnym nadal jest znaczna, mimo jasnej dziś dla każdego jego ułomności gospodarczej. Jest znaczna tym bardziej, że Zachód – o czym jestem głęboko przekonany – zrobi co w jego mocy, by pomóc wschodowi w przezwyciężeniu trudności. Ale, jak sądzę, znacznie groźniejszy jest moralny relatywizm, który rodzi owe podwójne kryteria wobec wspomnianej kwestii wolności. Wszak wolność, która pozwala na ideologiczne interpretacje wydatek na siebie wyrok.

* Andrzej Drawicz: „Cóż tam, panie, w pierestrojce? «Puls» nr 39.

Tomasz Burek

SŁONIMSKI BLISKI NOWYM POKOLENIOM

A kiedy przyjdzie spojrzeć w oczy śmierci czarne
Wiem, gdziekolwiek ją spotkam, nie umrę z rozpaczy,
Ale jak ci, co drogę w gęstwie lasów znaczą,
Przestrzeń przebytą jasnym spojrzeniem ogarnę.

A. Słonimski: *Oko w oko* (1928)

4 lipca minęło dziesięć lat od śmierci Antoniego Słonimskiego*. Dożył sędziwego wieku. Ale zachował tyle ciekawości, żywości i sprawności intelektualnej, i do ostatnich dni z „z czujną rozwagą” łączył tyle „porywów gorącego serca”, że powszechnie odczuto jego śmierć jako przedwczesną i nieoczekiwaną. Była ona następstwem nieszczęśliwego wypadku i właśnie dlatego wydawała się tak szokująco absurdalna.

Umierając, miał prawie 81 lat. Widział oczami dziecka wolnościowi zryw 1905 roku. Oczami młodzieńca witał niepodległość, oczami mężczyzny opłakiwał jej utratę. Przed oczyma szlachetnego marzyciela, wypatrującymi jutrzenki swobody, przesuwały się czarne karty dziejów ojczystych. Totalitarne zagrożenia. Stalinowski ucisk. Marzec sześćdziesiątego ósmego i Grudzień siedemdziesiątego roku. Gdy swe oczy zamykał na wieczny sen, czy mógł przypuszczać i przeczuwać, że po tzw. wydarzeniach czerwcowych kraj, wrażliwi i uczciwi ludzie w tym kraju, rychło wejdą na trudną i nową, a może bardzo dawną drogę, aby raz jeszcze podjąć próbę zbudowania niezależnego społeczeństwa, próbę odwojowania praw człowieka i praw narodu. A przeczuwając to, czyż nie żałował, że odchodzi w momencie, kiedy jego obecność była tak potrzebna ludzkiej i polskiej sprawie...

Poeta i felietonista, dramatopisarz i satyryk, recenzent filmowy i teatralny, powieściopisarz, autor kilku tomów reportaży i wspomnień – był Antoni Słonimski jedną z najbardziej charakterystycznych postaci w życiu literackim na przestrzeni sześciu dziesięcioleci. W czasach nam bliskich stał się autorytetem moralnym. Ale jakim właściwie przymiotom zawdzięczał szerokie uznanie? Czym wzbudzał sympatię u jednych, respekt

* Słowo wstępne do: *Alfabet wspomnień. Wieczór poświęcony Antoniemu Słonimskiemu*. Scenariusz: Maria Chwałibóg, Tomasz Burek. Wykonanie: Maria Chwałibóg, Gustaw Holoubek, Andrzej Szczepkowski. Premiera w Muzeum Archidiecezji Warszawskiej przy ul. Solec 61 dnia 7 czerwca 1986 r. Program był powtarzany 13 i 24 października, 20 listopada i 12 grudnia 1986 oraz 18 maja 1987.

u drugich, ostrą zaś niechęć u jeszcze innych? Podbił Polskę dowcipem. Przyczyniały mu popularności i rozgłosu przede wszystkim *Kroniki tygodniowe* w przedwojennych «Wiadomościach Literackich» oraz późniejsze ich mutacje w «Szpilkach», i zwłaszcza w «Tygodniku Powszechnym», z którym nawiązał współpracę w początkach lat siedemdziesiątych. No i wiersze: napisał ich niemało, facecyjnych i lirycznych, retorycznych i sentymentalnych, klasycystycznie chłodnych i romantycznie żarliwych, nie wszystkie wytrzymały próbę czasu, wiele przeminięło wraz z chwilą czy konwencją, która je zrodziła, ale pozostała garść diamentowych arcydzieł godnych stanąć w linii Mickiewicza i Norwida. To oczywiście *Dwie ojczyzny*, to *Rodowód* i *Ten jest z ojczyzny mojej*, to *Elegja miasteczek żydowskich* i parę innych.

Słonimski zjednywał sobie czytelnika poezją nie cofającą się przed zagadnieniami moralnymi i narodowymi, poezją, w której na równych prawach rozbrzmiewał to patos wolności i buntu, to ściszona nuta współczucia i refleksji. Mniej obecnie ważą głoszone ongiś w tej poezji i wspierającej ją publicystyce agresywne hasła „postępowiczowskie”, jałkie i zdroworoządkowe, a więc nieograniczone zaufanie do osiągnięć i siłowości wiedzy ściśle, a więc kult cywilizacji naukowo zorganizowanej, wellsistowski scjentyzm i utylitaryzm, innymi słowy, prymat fizyki nad metafizyką. Wszystko to – historycznie bardzo znamienne – należy całkowicie do przeszłości. Istotna natomiast i ciągle aktualna w programie Słonimskiego okazuje się troska o słowo będące nośnikiem sensu i służące prawdzie, uporczywa walka przeciwko wszystkiemu, co zarówno w literaturze jak w życiu publicznym odziera mowę ludzką z godności, bruka jej czystość i jasność, zamaża jej ład, i w rezultacie prowadzi do świata przeznaczonych pojęć i ogólnego fałszerstwa.

Przez całe życie walcząc równocześnie i w obronie sensu, i w obronie wolności słowa jako podwaliny wszelkich innych swobód obywatelskich. Słonimski nieomylnie rozpoznawał głupstwo, obojętne pod jakim zabarwieniem ideologicznym by się przejawiało. Tępił jednakowo bezwzględnie demagogię rasistowską, co i klasową, wyśmiewał szowinizm i megalomańskie zadęcia nacjonalistów, ale nie pobrażał bynajmniej metodom komunistycznej propagandy. Tej ostatniej poświęcił był niejedną zaczepkę w felietonach sprzed 1939 roku, jak również w reportażu sceptycznym (nie wznawianym po wojnie) *Moja podróż do Rosji*. Wtenczas i później surowo osądzał totalistyczne państwa, w których pisarzowi nie wolno się buntować. Wtenczas i później nie dowierzał słowom bez pokrycia, celnym dowcipem obnażał pompacyjne załganie; piórem szydery gromadził wciąż nowe okazy i przyczynki do morfologii nowomowy. Przysparzało mu to, rzecz prosta, nie tylko sympatyków, lecz i zaciętych wrogów.

W tych na pozór donkiszoteryjnych zmaganiach i staraniach liczyła się nie tylko twórczość literacka. Liczyła się także postawa. Liczyło się stanowisko zajmowane wobec zasadniczych dylematów życia społecznego i narodowego. Wypadnie więc powiedzieć z kolei słów kilka o działalności publicznej Antoniego Słonimskiego.

Działalność to wyjątkowo ściśle zespolona z naturą jego pisarstwa. Od samego przecież początku przylgnęły do Słonimskiego etykiety anarchisty i niepoprawnego liberała. Już jedna z najwcześniejszych jego publikacji, wydany w 1919 r. katastroficzny poemat o wojnie i rewolucji pt. *Czarna wiosna* – został przez cenzurę skonfiskowany, cały zaś nakład zniszczony w płomieniach na podwórzu gmachu sądowego. I aż do końca nie miał Słonimski łatwego życia z cenzurą. Kilka felietonów zdjętych z «Tygodnika

Powszechnego» ukazało się dopiero po śmierci autora w numerze pierwszym niecenzurowanego kwartalnika literackiego «Zapis». Mały ten fakt zawiera w sobie głęboką wymowę symbolu.

W biografii Słonimskiego znajdziemy szereg epizodów dowodzących konsekwencji i stałości jego moralnego instynktu. Nie dzieląc w niepodległej Polsce politycznych ni artystycznych przekonań takich pisarzy, jak futurysta Stern lub komunista Wandurski, organizował i podpisywał mimo to protesty przeciw aresztowaniu naprzód jednego, a później drugiego. Piłsudczyk, związany z osobą Marszałka węzłem szczerego sentymentu i piękną legendą wspomnień rodzinnych, po sprawie Brześcia przechodzi do opozycji i w dramatycznym *Liście otwartym* na łamach «Robotnika» piętnuje niepraworządne poczynania obozu rządzącego. Zalaższy mocno za skórę domorosłym zwolennikom faszystów, był też Słonimski coraz brutalniej atakowany przez prasę, głównie oenrowskiego pokroju, i w końcu stał się ofiarą czynnej napaści bojówkarskiej. W trakcie nasilającej się historycznej kampanii zgłoszono nawet wniosek o usunięcie Słonimskiego – razem z poetami Wittlinem i Tuwimem – ze Związku Zawodowego Literatów Polskich. Działo się to na wiosnę 1939 roku. Powtórnie grożono Słonimskiemu i najbardziej zniechęconym pisarzem niezależnym wyrzuceniem ze Związku w okresie hecy marcowej, jak gdyby chcąc koniecznie dowieść, iż rację miał Miłosz, kiedy pisał: „Jest spadkobiercą ONR-u Partia”.

W międzyczasie była wojenna emigracja, lata paryskie i londyńskie, lata znaczone jakże popularną – na obczyźnie i w kraju – twórczością patriotyczną i wspomnieniową (*Alarm, Popiół i wiatr*), wypełnione redagowaniem miesięcznika «Nowa Polska» oraz wieloma innymi trudami i przedsięwzięciami, pośród których na szczególne wyróżnienie zasługuje udział Słonimskiego w opracowaniu zarówno polskiej jak międzynarodowej wersji Karty Praw Człowieka.

I były niedobre lata stalinowskie, kiedy to i Słonimskiemu po przyjeździe do kraju zdarzało się płacić za prawo działania wymaganą cenę kompromisu: raz był to więc polityczny paszkwil na osobę (nie wymienionego wprawdzie po nazwisku) Miłosza, kiedy indziej wiersz ułożony wedle reguł socrealistycznej sielanki lub panegiryku (np. *Przywitanie wsi polskiej, Dziesięciolecie*).

Jednakże niepodobna przeoczyć faktu, iż Słonimski stosunkowo szybko pozbył się skurczu krtani. Jego przemówienie na XIX sesji Rady Kultury i Sztuki w marcu 1956 roku wolne było od wygodnych dla władzy eufemizmów. Polemizując z kolportowanymi w kołach partyjnych twierdzeniem, że „winę za błędy minionego okresu ponosi kult jednostki”, mówca dowodził przytomnie: „Przede wszystkim nie kult jednostki, ale jednostka. Nie jednostka, ale system, który umożliwia takie szkodliwe działanie jednostki”. Nie było zatem sprawą przypadku, że to właśnie Antoniemu Słonimskiemu pierwszy po Październiku walny zjazd Związku Literatów Polskich powierzył w demokratycznych wyborach funkcję prezesa Zarządu Głównego. Godność tę sprawował Słonimski w okresie 1956-59, kiedy to literaturę wraz z innymi dziedzinami kultury narodowej ożywiał duch wolnościowych nadziei.

Kiedy zaś nadzieje wzięli diabli, a miejsce październikowego entuzjazmu, miejsce tyłu zamierzeń i projektów reformatorskich zajęło znowu podszyte lękiem społeczne zobojętnienie, Słonimski w 1964 r. zainicjował głośny list wybitnych pisarzy i uczonych, sprzeciwiający się polityce kulturalnej rządu i cenzurze. Jak zauważył Jan Józef Lipski

– historyk i zarazem współuczestnik wspomnianego wydarzenia – „List 34» stał się na okres kilkunastu lat wzorem podobnego typu protestów i odegrał kolosalną rolę dla uświadomienia, że jednak jakieś formy oporu są możliwe”. Doniosły był również udział Antoniego Słonimskiego w wystąpieniu literackiego środowiska Warszawy przeciwko zdjęciu *Dziadów* przez cenzurę w roku 68-ym; następnie zaś – na półmetku gierkowskiej dekady – w zataczającej szerokie kręgi akcji protestacyjnej przeciw niekorzystnym dla społeczeństwa poprawkom do Konstytucji PRL. Znamienne, że pod koniec życia znajdował Słonimski wspólny język z młodą generacją umysłową i pisarską, z poetą Barańczakiem, z socjologiem Jakubem Karpińskim, i przede wszystkim z Adamem Michnikiem, który mu efektywnie sekretarzował.

Autor *Alfabetu wspomnień* nie dożył czasów KOR-u, TKN-u, Uniwersytetu Łatającego i wydawnictw bez cenzury. Ale we wszystkich tych instytucjach niezależnego społeczeństwa dostrzec można także lekcję jego zasad, posiew jego myśli i jego czynów. Nie doczekał „Solidarności”. Pisał jednak przewidująco w którejs z ostatnich swoich polemik, dając odprawę admirałom gwałtu i zwolennikom odrzucenia względów moralnych w myśleniu politycznym: „Ale pocieszymy się. Nie ucichł również naiwny i nieżyłociowy humanizm Settembriniego. Głos jego rozbrzmiewa z siłą dawno nie słyszaną. Gdy oskarża zbrodnie, gdy zło nazywa po imieniu, różni amerykańscy i europejscy Górniccy z dufnym uśmiechem wyższości zadają mu pytanie: ‘Jaka jest pańska alternatywa?’. Myślę, że miałby Settembrini prawo odpowiedzieć: ‘Żadna!’. Wystarczy, że mówi prawdę. To wcale nie mało. To więcej niż się różnym cwaniakom wydaje. Rosną nowe pokolenia i będzie coraz więcej ludzi, którzy chcą prawdy. Coraz więcej ludzi naiwnie domagających się honorowania praw ludzkich przyznanych przez wszystkie narody wszystkim narodom”.

Tu kończy się cytata i jednocześnie z nią także i moje wprowadzenie do dzisiejszego wieczoru.

WIERZYŃSKI – OBJAWIENIE ŻYCIA I SEKRET OJCZYZNY

Nazwano go kiedyś, i niebezpiecznie, „fanatykiem urody życia”*. On sam natomiast – wydeptawszy szlaki uchodźczych doświadczeń – zobaczył siebie jako „lutnistę ciemnego czasu i losu”. Z tych dwóch dalekich i przeciwstawnych, ale jednakowo prawdziwych określeń, z ich wzajemnego dopełnienia i syntezy wyłania się poetyckie oblicze Kazimierza Wierzyńskiego. Oblicze bardziej złożone niż przywykło się sądzić na podstawie sporadycznych i wciąż niepełnych prezentacji dorobku tego pisarza w krajowych oficynach wydawniczych. Oblicze bogate w kontrasty, podlegające napięciom, wstrząsom i przeobrażeniom, osobowość twórcza, której niepodobna ogarnąć i zrozumieć przy pomocy jakiegos sztucznie zwężonego sposobu patrzenia.

* Słowo wstępne do spektaklu: *Biblia polska. Emigracyjne wiersze Kazimierza Wierzyńskiego*. Scenariusz i reżyseria: Krystyna Berwińska. Wykonanie: Hanna Skarżanka, Zygmunt Sierakowski, Kazimierz Wysota. Opracowanie muzyczne: Zdzisław Ptaszyński. Premiera w Muzeum Archidiecezji Warszawskiej dnia 8 kwietnia 1987 r. Spektakl został powtórzony 29 kwietnia oraz 16 maja tego samego roku.

Niestety, dla przeciętnych odbiorców współczesnej poezji w Polsce, edukowanych w oparciu o dziurawę księgozbiory i ułomne programy szkolne, znajomość z Wierzyńskim ma charakter dosyć naskórkowy. Znajomość ta rzadko bowiem wykracza poza polonistyczny stereotyp, upatrujący charakterystyczność zjawiska „Wierzyński” w garści utworów młodzieńczych poety, takich jak *Hej! Świat się kręci!*, jak *Zielono mam w głowie*, i już nie starcza jej sił ni sposobności, aby utworować sobie drogę do Wierzyńskiego – autora *Wolności tragicznej* i *Kurhanów*, a potem *Krzyży i mieczy*, czy wreszcie *Czarnego poloneza*. Innymi słowy, nie autor poetyckich jeremiad, przestróg i pamfletów, chłosczący wady zbiorowe i bolejący z powodu nieszcześć ojczyzny, lecz twórca wierszy umyślnie sztubackich, płochych i roześmianych – zresztą idealnie zestrojonych z euforycznymi nastrojami wczesnych lat niepodległości – jest wedle ugruntowanego mniemania właśnie tym Wierzyńskim, który zapisał świetną w poezji polskiej kartę.

To prawda, że debiutował wspaniale, zyskując od pierwszego zaraz tomiku, nazwanego *Wiosna i wino* (rok wydania – 1919), oszałamiającą wręcz popularność. W kolejnych książkach poetyckich współzawodniczył o sukces i pożytność z nie mniej błyskotliwymi rywalami, a jednocześnie przyjaciółmi z grupy Skamandra, z Lechoniem więc, z Tuwimem, z Iwaszkiewiczem i Słonimskim. Liczne przekłady na języki obce tudzież światową renomę przyniósł mu cykl pt. *Laur olimpijski*, nagrodzony złotym medalem na Międzynarodowym Konkursie Literackim IX Igrzysk Olimpijskich w Amsterdamie w r. 1928. Miał wtedy Wierzyński 34 lata. Wiele podróżował. Utalentowany i wysportowany, rzutki, aktywny na rozmaitych polach (ima się dziennikarstwa, pisuje do «Ilustrowanego Kuriera Codziennego» i «Kuriera Czerwonego», redaguje też nie bez powodzenia «Przegląd Sportowy»), odznaczający się i przymiotami ducha, i nieprzeciętną urodą – mógł wręcz uchodzić za ucieleśnienie ideału człowieka szczęśliwego, za żywą ilustrację powojennej epoki, z całą jej beztróską, globtroterstwem i rekordomanią, z tak charakterystycznym dla „szalonych lat dwudziestych” uwielbieniem dynamizmu i bujności życia.

W omawianym okresie – czyli w pierwszym dziesięcioleciu Polski Niepodległej – poezja Wierzyńskiego brała się z wróblami na dachu i gwiazdami na niebie, opiewała miłość jako „rozpęd żywiołu”, sławiła biologiczny irracjonalizm chwili, przemieniając fakt pospolity życia w cudowne, podniecające i wesołe święto. Poeta zdawał się kimś bezrozumnym, kimś urzeczonym, kimś pochłoniętym i upojonym samym elementarnym procesem istnienia. Należał – mówiąc uczenie – do ekstatycznych witalistów.

Ale twórczość ta obok jasnego nurtu kryła w sobie nurt ciemny. Spoza fanfar zwycięstwa i radości dobiegały dysonansowe tony – przepowiednie klęski. Stoneczny stadion osnuwał się mrokiem. Ogród ziemskich rozkoszy zamieniał się w pobożowisko. Spłoszony ekstatyk użycia-dionizyjczyk kapitulował w Wierzyńskim, a jego wyczerpanie i rezygnacja otwierały drogę zupełnie inaczej ukształtowanym postawom, od mizerabilizmu spod znaku Żeromskiego (w *Rozmowie z puszczą* i *Pieśniach fanatycznych*), przez conradowski heroizm i katastrofizm, aż po stoicki moralizm na modłę Camusa w latach najpóźniejszych.

Wątek zguby, udręki, i śmierci, która dojrzewała pośród ślepo pleniącej się bujności życia – ten eschatologiczny wątek jest obecny już u zarania twórczości Wierzyńskiego, choć ujawniony zostanie z kilkuletnim opóźnieniem w stosunku do książkowego debiutu. Mowa o pomiczonym dopiero w *Wielkiej Niedźwiedzi* (1923) cyklu wierszy z lat

1914-1918, przede wszystkim zaś o wierszu *Wojna*, w którym doświadczenia znane młodemu Wierzyńskiemu z autopsji uległy przekształceniu jakby w wizyjną zapowiedź wojen następnych. Z początku odepchnięta i przytłumiona, owa ciemna nuta potęguje się u Wierzyńskiego w okresie bezpośrednio poprzedzającym wybuch II wojny światowej; mnożą się wtenczas w jego podniosłych niespokojnych poematach akcenty kсандryczne, narastają historiozoficzne analogie i paralele, powraca wszystko, co już było w polskich dziejach, los, który się powtórzy, los fatalny, potępieńczy; zużyte na pozór rekwizyty i symbole ożywają na nowo w tym samym dramacie narodowym, aż po *Wstążkę z „Warszawianki”* – taki bowiem tytuł poświęcił Wierzyński nad utworem napisanym w Warszawie 27 sierpnia 1939 roku. Trzy tygodnie później, 17 września, żegnał ziemię rodzinną – na zawsze.

Podobny religijnemu poryw uczuć patriotycznych cechował ostatnie wiersze, jakie Wierzyński zdążył napisać przed opuszczeniem kraju – wymienioną już, proroczą, *Wstążkę z „Warszawianki”* oraz hymny *Święty Boże i Zstąp, duchu mocy*. Ale emocjonalne napięcie nieprędko osłabło. Nic opuściło poety uchodźcy, gdy los wiódł go przez granicę rumuńską na bruk paryski, znad Sekwany do Lizbony, i dalej, przez ocean, do Rio de Janeiro i Nowego Jorku. Ow patriotyzm uczuciowy, dobrze znany całej naszej literaturze porozbiorowej, przybierał pod piórem Wierzyńskiego nader rozmaite formy i odcienie, wpadając, owszem, raz i drugi w utarte kolciny poezji tyrtejskiej, ale umiejąc się też wyrazić z nową siłą w liryce żalu i nostalgii, bądź zdobyć się na tak wstrząsającą, a zarazem tak ściśzoną i dyskretną, transfigurację obrazu przeczytej kłęski zbiorowej – w misterium eleuzyjskie, jak w wierszu *Ziemia jesienna* (z tomu *Róża wiatrów* – 1942). W swych wierszach wojennych Wierzyński często sięgał – nie pierwszy ani ostatni – po symbolikę biblijno-chrześcijańską, i wzorem tylu poetów polskich XIX wieku, od Woronicy poczynając, na Ujejskim kończąc, wlewał swe patriotyczne uczucia w formę modlitwy. Nietrudno zrozumieć dlaczego. Wyjaśnia to jedna strofa wiersza *Wróć nas do kraju* z tomu *Ziemia-wilczyca* (1941):

Wróć nas do kraju, gdzie nikt Ci nie bluźni,
Jeśli w bezradnej ud ręce się zbliża
Do starych proroctw i prędzej czy później
Losy ojczyste porówna do krzyża.

Modlitewny, pasywny, wibrujący skargą i bólem styl patriotyczno-wygnańczej poezji Wierzyńskiego osiągnął swoje apogeum w zbiorze zatytułowanym znamienne *Krzyże i miecze* (1946). Jak daleko od tej książki do *Wiosny i wina!* Tak daleko jak od *Dziadów części trzeciej* i *Reduty Ordona* do *Ballad i romansów*. Opatrzona dedykacją dla zamęczonych przez okupanta bądź poległych w Powstaniu Warszawskim członków najbliższej rodziny, książka ta oplakuje, czci i upamiętnia ogół niezliczonych a częstokroć bezimiennych „narodowej sprawy męczenników” – gdziekolwiek przyszło im znosić katusze przesładowań, sprzeciwiać się przemocy, żyć nadzieją i ginąć. Głosem poety przemówił tu cały walczący o wolność i po wielokroć oszukany naród.

Inaczej niż mianem wielkiej księgi określić *Krzyże i miecze* nie można. Nie ze względu na format edycji, ten bowiem jest zwyczajny, ale z uwagi na ciężar gatunkowy oraz istotę zobrazowanych przeżyć i tematów. Wiersze o wzlocie i upadku Powstania Warszawskiego, o rozwiązaniu Armii Krajowej, o procesie porwanych zdradziecko przywódców

Państwa Podziemnego, o dramatach Wilna i Lwowa, i nie na ostatnim miejscu o zagładzie Żydów – składają się na niezafałszowane świadectwo literackie tych wydarzeń, które na dziesięciolecia przesądziły i o politycznym, i o moralnym także obliczu naszej części świata. Ukazują te wiersze sprawę polską w pełnych, to znaczy tragicznych wymiarach. Równocześnie zaś przygotowują grunt i przesłanki do szerszych wniosków, podprowadzają ku bardziej uniwersalnej konkluzji, takiej, którą poeta sformułuje w jednym z utworów późniejszych. Cytuję wiersz pt. *Z myślą o Albercie Camus*: „Czas nasz jest mrocznym nurtem zadawanych cierpień”.

I właśnie tak w cierpieniu polskim Wierzyński odnajdywał pierwiastek wszechludzki. Nie bał się dotykać swoim piórem tego, co aktualne i doraźne. Czyniono mu nieraz zarzuty z powodu utworów kipiących polityczną pasją, gniewem i sarkazmem. Twierdzono (a czyniła to nawet wierna admiratorka i znawczyni jego twórczości, profesor Maria Dłuska), że „być poetą okolicznościowym, to nie Wierzyńskiego rola”. Odpierał podobne napomnienia rozsądnie i godnie. W eseju zatytułowanym *Na własnym gospodarstwie* pisał: „Posądzany o publicystykę poetycką, mało się tym przejmowałem. Pocieszały mnie niedościgłe wzory z naszej literatury, które też można o to samo posądzić. (...) *Dziady* i *Kordian* (...) wynikły ze spraw bieżących, zawierają nazwiska ludzi współczesnych, apoteozę ich albo polemikę z nimi”.

Zresztą emigracyjna poezja Wierzyńskiego nie mieści się w publicystycznym modelu, jest na to zbyt zróżnicowana i przemienna. Bywa tyrtejska, ale bywa też orficka. Niekiedy wydaje się obciążona retorycznym nadmiarem, ale umie być zwięzła i powściągliwa. Z patetycznymi inwokacjami i apostrofami sąsiadują tutaj wiersze ściszone do szepetu; formy skromne idą w parze z monumentalnymi; a uroczystym tonom hymnów, litanii i chorałów nie wadzi pamfletowe zacięcie. Uderzająco głębokie zmiany dokonają się w niej po roku 1950, gdy skłonności oratorskie i krasomówcze ustąpią prawie zupełnie, gdy zagóruje nad nimi magia ewokacyjna, i gdy wraz z przyptywem nowych natchnień i nowych impulsów twórczych rozszerzy się niepomiernie skala tematów.

Odmieniając swoją postać, liryzm Wierzyńskiego zachowa jednak pewne charakterystyczne właściwości. Począwszy od *Wolności tragicznej*, na którą pada cień śmierci Piłsudskiego, poprzez *Kurhany*, poprzez *Krzyże i miecze*, po wiersze dosłownie ostatnie (*Na śmierć Jana Palacha* – napisany w styczniu 1969), unosi, przenika i wypełnia tę poezję po brzegi – muzyka żałobna. Ileż tych utworów! I *Modlitwa za zmarłych w Warszawie*, i *Nekrologi*, i *Do moich zmarłych*, i *Msza żałobna w katedrze nowojorskiej* – jeden z najpiękniejszych i najwniośniejszych wierszy, na jakie zdobyła się mowa polska. Dzięki tym powtórzeniom, dzięki zaklinalni i przywoływaniu przeszłości, poezja Wierzyńskiego nabiera w końcu charakteru obrzędowego, budzi duchy i jednoczy nas z nimi, budzi, porusza i stawia przed oczyma żyjących pamięć-krzywdę i pamięć-moc pogrobową.

**KSIAZKI
ZBOJECKIE**
Wojciech Karpiński



POLONIA

STR. 240 ISBN 0902352678 CENA £7.50

POLSKI



POLONIA

STR. 300 ISBN 0902352679 CENA £5.50



PIOTR WANDYCZ

POLONIA

STR. 154 ISBN 0902352660 CENA £5.00

KATYŃ

**Wybór publicystyki
1943-1988
I «Lista Katyńska»**

POLONIA

STR. 352 ISBN 0902352695 CENA £7.00

POLONIA

POLONIA BOOK FUND LTD
132 CROMWELL ROAD, LONDON SW7 4HA
UNITED KINGDOM

PRZEGLĄD KULTURALNY I NIEKULTURALNY

WAŁĘSA W PARYŻU / hn

Na obchody czterdziestej rocznicy uchwalenia przez Organizację Narodów Zjednoczonych „Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela” prezydent Mitterrand zaprosił do Paryża trzech laureatów Pokojowej Nagrody Nobla: Andrzeja Sacharowa, Lecha Wałęsę i Elie Weisela. Jednoczesny pobyt w Paryżu i kilkakrotne spotkania dwu pierwszych zostały uznane za szczególnie symboliczne. Leopold Unger (w komentarzu dla Euro-Telewizji-Kontakt): „To był prawdziwy szczyt polsko-rosyjski”.

Lech Wałęsa przyjmowany był z honorami, przysługującymi głowie państwa: fanfary i bankiety, gwardia honorowa i czerwone dywany, pięć samochodów z syrenami i całodobowa obstawa policyjna.

Zapytany po przylocie do Paryża, czy wyjazdem Wałęsy z Warszawy zajęty się krajowe środki przekazu, Bronisław Geremek odpowiedział: Filmowano nas przez ostatnią dobę bez przerwy, ale trudno to nazwać „środkami przekazu”, bo kamera była jednego resortu.

Z Wałęsą nie przyleciał ani jeden dziennikarz krajowy.

Wałęsa na lotnisku w Paryżu: „I Sacharow i ja czujemy jeszcze na plecach oddech Stalina. Musimy się spotkać i razem pomówić, jak z tej sytuacji wyjść, jak doprowadzić do pluralizmu”. Sacharow w rozmowie z Wałęsą: „No tak, ale pan jest przywódcą wielkiego związku, a ja tylko samotną jednostką”.

Przemówienie na bankiecie dla przywódców francuskich i międzynarodowych związków zawodowych Wałęsa otworzył podziękowaniem za pomoc, udzielaną „S” w ciągu ubiegłych siedmiu lat. Następnie przemawiał Geremek, który rozpoczął od przypomnienia, że są nadal w Polsce więźniowie polityczni. Wymienił kapitana MO Hodysza. Dwa tygodnie później Hodysz był na wolności.

Pierwszy wywiad dla telewizji francuskiej Wałęsa zaczął od podziękowania przyjaciółom i członkom „Solidarności” za wierność.

Podczas rozmowy z Wałęsą prezydent Mitterrand określił zaproszenie gen. Jaruzelskiego do Paryża w r. 1984 jako „błąd”.

Na osobne spotkanie z Wałęsą przybył do Paryża min. spraw zagranicznych RFN Hans-Ditrich Genscher. Rozmówcy wymienili poglądy na sytuację w Polsce.

Ambasador PRL Stefanowski, który podczas głównej uroczystości rocznicowej w Palais Chaillot siedział o trzy rzędy od Wałęsy, nie przywitał się z przewodniczącym „S”. Dopiero tuż przed odlotem Wałęsy do Warszawy zjawił się na lotnisku sekretarz ambasady.

Geremek o perspektywach rokowań z władzami PRL: „Trzeba spróbować, właśnie dlatego, że Polska swoje szanse znajduje jakby na granicy możliwego i niemożliwego. (...) I tak Polska czyni od sierpnia 80 roku, i co więcej czyni to z pewnym sukcesem, bo jednak ‘Solidarność’ uzyskaliśmy. I teraz proszę, po siedmiu latach stanu wojennego, po całej kampanii wymierzonej przeciwko Lechowi Wałęsie, zmierzającej do zniszczenia Lecha Wałęsy – sposób, w jaki Europa, władze polityczne tego wielkiego kraju Lecha witają, to pokazuje, kim jest Wałęsa (...) ten cały ceremonial – coś ścisnęło za gardło”.

Arcybiskup Paryża kard. Jean-Marie Lustiger, w wywiadzie dla Euro-Telewizji Kontakt: „Wałęsa reprezentuje ponadpolityczną koncepcję polityki. Zazwyczaj politycy myślą na krótki dystans, natomiast Wałęsa odwołuje się stale w polityce do wartości transcendentalnych, jak odwaga, uczciwość, praworządność, a więc wartości, które wydają się czysto idealne i moralne. Kiedy z nim rozmawiałem przed siedmiu laty, zapytałem go: ‘Czy Pan się nie obawia, że to zbyt naiwne?’ Odpowiedział: ‘My wytrwamy tak długo, jak będzie trzeba’. (...) To, co się dzieje dzisiaj, dowodzi, że on i jego przyjaciele mieli rację”.

O odbyty się spotkania we wszystkich, poza komunistyczną CGT, centralach związków zawodowych. Wałęsa: „To, że ‘Solidarność’ przetrwała przez te siedem ciężkich lat, to, że dziś jest szansa większa niż kiedykolwiek na porozumienie w Polsce i na pluralizm, to – uczciwie, naprawdę uczciwie rzecz biorąc – jest zasługą tylko w 60% naszej walki, a minimum 40% międzynarodowej pomocy, związków szczególnie.” „Coś się rusza w Polsce, coś się rusza we Wschodniej Europie. Nasza Europa powinna się znowu połączyć z waszą”.

Wałęsa na spotkaniu z miejscową Polonią, zorganizowanym przez OO Pallotynów w Paryżu: „Ja muszę od razu powiedzieć prowokujące rzeczy. Ja z paru was tu siedzących jestem bardzo niezadowolony. Ale uważam za przyjaciół i chcę wyjść z tego miejsca zadowolony z was. (...) Na przykład taka sprawa. To właśnie tu, od was słyszałem, że Lech Wałęsa mięknie, że ma przeciwko sobie młodzież,

że Lech Wałęsa tchórz, zając i inaczej, że poddał strajki, że nie umie walczyć. (...) Te informacje biorą się stąd, że wy, że wasze środki przekazu są szybsze od moich i naszych. I dlatego też pewne decyzje, które są w pewnym momencie niejasne, one powodują emocje, szczególnie u młodzieży. Te emocje, wy o nich słyszycie i już osądzacie Wałęsę. Wałęsa wtedy, słysząc od was to niezadowolone, wyjaśnia sytuację, zostaje przeproszony, a'e guz na głowie został".

O niepodległości: „Proszę Państwa, niepodległym, wolnym trzeba się czuć przede wszystkim, a potem te czucie swoje przenieść na rodzinę, na parafię, na kraj cały. (...) Nawet potwierdziłem to w rozmowie z panią Bonner. Ona mi tłumaczyła, że nie dają, że mówią a nie realizują. Mówię: proszę pani, to nie tak. To nie mają dać. To trzeba brać”.

O genezie osobistego konfliktu z Rakowskim: „Kiedy mnie internowano, to pan Rakowski przyjechał się ze mną spotkać w pierwszych dniach internowania. A miałem człowieka, który mnie pilnował. Siedział przy moim łóżku. Ja spałem, ale byłem pilnowany. On miał złą wymowę. I mówi: 'Panie Lechu, przyjechał Rotwiski'. A ja, taki zaspany, mówię – nieładnie, nie powtórzę – weź wyp... Że nie będę z nim rozmawiał. I on poszedł i tak powiedział. A potem się obudziłem za dwie godziny – dlaczego się obudziłem? – a ten przychodzi i mówi: 'Ale wicepremier Rakowski się wściekł i jak trzasnął drzwiami, aż okna wyleciały. I teraz już wiem, dlaczego się obudziłem i dlaczego się obraził. (...) Zanim wszystko się wyjaśniło, to już powiedzieliśmy sobie za dużo i to za dużo funkcjonuje do dzisiaj. To niedobrze. Ja nie wiem, czy mnie los uratował może wtedy, może by mnie wtedy strasznie naciskał. Może dobrze się stało, że wyszedł, trzasnął drzwiami. Ale w każdym razie od tego momentu powstał uraz”.

O emigracji: „Rozumiem ludzi, którzy pragną zapewnić dzieciom łatwiejsze życie. Wiem, że nie możemy im zaproponować ani mieszkania, ani perspektyw. Powiecie, że mnie jest łatwiej. To prawda. Ale ja padnę, a nie wyjadę. I chciałbym, żebyście wszyscy wrócili”.

O „Solidarności” i Kościele: „Trzeba pamiętać, że tylko dzięki Kościołowi w ogóle istniejemy. (...) musimy uczyć się od Kościoła, uczyć, uczyć i jeszcze raz uczyć. (...) Prymas nie sam buduje swoją wielkość. To my ją budujemy. To my go robimy. Człowiek jest tylko człowiekiem. Prymas będzie świetnym prymasem, tylko my musimy dać warunki”.

O rozmowie z Sacharowem: „Rozmowa była ciekawa. Oczywiście żyjemy w tym samym systemie – z tym, że pan Sacharow żyje w kraju, który promieniuje, natomiast my żyjemy w kraju, w którym odbieramy promienie”.

Dialog po przedstawieniu Wałęsy Jerzemu Giedroycowi, który siedział w pierwszym rządzie. Wałęsa: „Bardzo się cieszę, że Pana poznaję”. Giedroyc: „I ja zadowolony jestem, że mogę Pana spotkać i porozmawiać”. Wałęsa: „Ja się

wychowałem na waszej szkole. Pięknie to robiliście, patriotycznie. Ale ostatnio trochę mamy pretensji. Nie dajecie nam szansy obrony". Po czym obaj panowie ucałowali się z dubeltówki.

Doszło też do krótkiego spotkania z Józefem Czapskim, któremu Wałęsa rzucił się na szyję.

Pytanie do Wałęsy podczas konferencji prasowej w Paryżu, 11 grudnia: „Co Pan na to, że premier Rakowski nazwał Pana demagogiem?” „To znaczy, że ja panu premierowi bardzo nadepnałem na odcisk – ale nie chciałem, naprawdę nie chciałem”. „W Polsce jest miejsce dla pana Rakowskiego, dlaczego nie ma być miejsca dla ‘Solidarności’?” Na pytanie, co ma na myśli mówiąc o niebezpieczeństwie anarchii w Polsce, Wałęsa odpowiedział historyjką o swoim psie. Kiedy po wielu godzinach zamknięcia w mieszkaniu wyprowadza szczeniaka na spacer, ten z radości szaleje, nie patrzy na drzewa i zakręty i przewraca się z rozpadu. „Wolności też trzeba się nauczyć”. O strajkach: „Powinniśmy się zachowywać jak dobre mikroby i nie niszczyć organizmu, w którym żyjemy”.

Euro-Telewizja-Kontakt, założona w Paryżu przez Mirosława Chojeckiego, nadała za pośrednictwem satelity 90-minutowe sprawozdanie z pobytu Lecha Wałęsy w Paryżu. Pierwsza emisja, na kanale francuskiej „Piątki”, odbyła się w nocy z 13 na 14 grudnia, w rocznicę stanu wojennego; powtórzona została w nocy z 25 na 26 grudnia. Programy mogli oglądać posiadacze anten parabolicznych w Polsce i abonenci telewizji kablowej na Zachodzie.

O JÓZEFIE CYRANKIEWICZU / Lidia Ciołkoszowa

Józefa Cyrankiewicza poznałam w Krakowie w roku 1935, gdy na prośbę Centralnego Komitetu Wykonawczego PPS, skierowaną do mego męża Adama przenieśliśmy się z Tarnowa do Krakowa. Był on wtedy jeszcze akademikiem, jak wtedy mówiło się w Krakowie o studentach, na Uniwersytecie Jagiellońskim. I był już członkiem PPS od pięciu lat. Gdy mąż mój objął przewodnictwo Komitetu Okręgowego PPS w Krakowie, Cyrankiewicz został sekretarzem; w ich wspólnej pracy politycznej mąż mój wtedy mógł zawsze liczyć na jego lojalność, zgodnie z ówczesną linią polityczną naczelnych władz partyjnych.

Wbrew historykom komunistycznym, Cyrankiewicz przed wojną, podobnie jak mój mąż, był zdecydowanym przeciwnikiem jednolitego frontu z komunistami. To jego stanowisko było zupełnie wyraźne w czasie ruchu strajkowego w Krakowie w roku 1936, wbrew wszystkim drukowanym fałszywym wspomnieniom różnych działaczy. Przemawiałam wtedy niejednokrotnie na tych samych zgromadzeniach i pamiętam, co mówił. Gdy na Kongresie PPS w Radomiu w roku 1937 wniosek o współpracę z komunistami został odrzucony ogromną większością głosów, Cyrankiewicz na różnych konferencjach klasowych związków zawodowych,

atakowany przez jej przeciwników, uchwały tej gorąco bronił. Były to lata nie tylko bliskiej współpracy politycznej z moim mężem, no i ze mną, ale także lata przyjaźni.

Jako oficer artylerii w roku 1939 wzięty do niewoli, uciekł i pod okupacją niemiecką natychmiast przystąpił do podziemnej PPS-WRN (Wolność-Równość-Niepodległość), stając się jej przedstawicielem i organizatorem w Małopolsce Zachodniej. Ma on też z tego okresu kartę bohaterską. Aresztowany i sturtorowany w więzieniu na Montelupich, potem zesłany do Oświęcimia i organizujący tam ruch oporu, był w kontakcie z WRN. Podobno zmiana ideowa nastąpiła w nim w obozie w Mauthausen pod wpływem komunistów-cudzoziemców. Po powrocie z Mauthausen w roku 1945 do kraju, odbył długą rozmowę z Zygmuntem Zarembą, (jednym z przywódców WRN) zrelacjonowaną nam przez Zarembę po jego przyjeździe po wojnie na emigrację. Cyrankiewicz powiedział mu wtedy, że wobec zdrady sojuszników zachodnich zostaliśmy w sytuacji przymusowej i że on przechodzi na stronę rządu tworzącego się w kraju. Postawił więc sprawę jasno idąc na współpracę z komunistami. Jego wejście do koncesjonowanej PPS skończyło naszą przyjaźń, została walka. W koncesjonowanej PPS, obok zwolenników współpracy z komunistami, było bardzo wielu uczciwych pepesowców, widzących w niej taran przeciw dyktaturze komunistycznej. Zostali oni przez Cyrankiewicza oszukani. Gdy zamykając ich kongres mówił „PPS będzie narodowi potrzebna”, miał już w kieszeni układ o tzw. połączeniu z PPR. Stał się też najwygodniejszym dla komunistów premierem, stąd też zdobyty przez niego rekord czasowy na tym stanowisku. Każdy z nas pamięta jego haniebne słowa „o odrąbaniu ręki” po bohaterskim i krwawym strajku robotników w Poznaniu, jak i strzelanie do strajkujących robotników w portach bałtyckich. My pepesowcy jako ciężką plamę na jego charakterze widzimy, obok wielu procesów politycznych – proces WRN i śmierć Pużaka w więzieniu. Gdy w roku 1968, w pięćdziesiątą rocznicę rządu Daszyńskiego w Lublinie, Cyrankiewicz wygłosił ohydne wiernopoddańcze przemówienie, mąż mój odpowiedział mu broszurą pt. *Moskalofilskie pojmowanie dziejów*. Czytamy tam (str. 8): „Jak w opowiadstce rosyjskiego satyryka, w której żona podoficera oświadcza z całą mocą przekonania, gdy przechodzi z katolicyzmu na prawosławie: Z rozkazu władzy wyższej, poznałam światło wiary prawdziwej, tak samo z rozkazu władzy wyższej, Józef Cyrankiewicz poznał światło wiary prawdziwej, jeśli chodzi o powstanie Drugiej Rzeczypospolitej”. W końcowych słowach, pisząc o wnioskach płynących z tej polemiki, stwierdził: „jasne jest jednak, że wykluczają one kapitulację, pogodzenie się z istniejącym systemem. System ten runie, bo runąć musi pod ciężarem własnych, nieuleczalnych i coraz bardziej rosnących sprzeczności wewnętrznych. Dłużej klasztora niż przeora. Dłużej Polski niż systemu, któremu służy Cyrankiewicz i jego moskalofilskie pojmowanie dziejów”.

JAN TOMASZ GROSS, NIESTRUDZONY SZPERACZ W ARCHIWACH HOOVERA / Kazimierz Zamorski

Los ludności wschodniej części Polski pod okupacją sowiecką lat 1939-1941 czeka na swego dziejopisę. Mówiąc „los ludności” mam na myśli całokształt zagadnień z tym związanych, a więc wszelkie przeobrażenia społeczne, polityczne i gospodarcze, włącznie z ich źródłem dyspozycyjnym, czyli aparatem władzy. Takiego opracowania dotychczas nie ma. Jeśli się mylę, co jest możliwe, bo nie wykluczam, że w kraju ktoś tam do szuflady (na razie) mógł napisać bardzo miarodajną pracę, będę wdzięczny za odnośne pouczenie, nawet jeśli do tego dojdzie zarzut nieuctwa.

To co dotychczas na ten temat napisano, to przeważnie fragmenty obszerniejszych opracowań, pożyteczne cegiełki do przyszłej budowy, lecz rzadko więcej. Na poważniejsze zaszerogowanie do tego rodzaju prac zasługują dwie publikacje, obie będące zbiorem relacji ludzi, którzy tę okupację przeżyli: *Zachidnia Ukraina pid bolszewykamy IX. 1939 – VI. 1941*, zbiór pod redakcją Miłeny Rudnickiej, Towarzystwo Naukowe im. Szewczenki w Ameryce, Nowy Jork 1958, oraz 30 lat później wydana przez Herder Taschenbuch Verlag, Fryburg (Bryzgowijski) – Bazy-lea – Wiedeń, książka Jana Grossa: *Und wehe, du hoffst... Die Sowjetisierung Ost-polens nach dem Hitler-Stalin Pakt 1939-1941*.

Książka Rudnickiej, jak sama przyznaje, nie jest „systematycznym opisem pierwszej bolszewickiej okupacji Zachodniej Ukrainy”, znaleźć w niej natomiast można informacje „z pierwszej ręki”. Jako redaktorka, Rudnicka ograniczyła się do uszeregowania w poszczególne rozdziały owych „informacji”, mających formę opracowań, względnie opowiadań osób z reguły kompetentnych.

Gross miał technicznie zadanie trudniejsze, choćby ze względu na obfitość i różnorodność źródeł. Jakkolwiek wśród nich cytuje szereg publikacji, m.in. amerykańską wersję książki Rudnickiej, istotne dla jego pracy są dokumenty innego rodzaju. Są to relacje osób, które przeżyły sowiecką okupację Wschodniej Polski, zdeponowane po wojnie w The Hoover Institution on War, Revolution and Peace, w Stanford, Kalifornia, przez polskie władze cywilne i wojskowe. Gross przeprowadził również badania w archiwach niemieckich, izraelskich i angielskich, jak też w odnośnych komórkach polskich (Instytut Piłsudskiego w Nowym Jorku, Sikorskiego w Londynie, tam też Studium Polski Podziemnej), lecz podstawą są relacje znajdujące się w Archiwum Hoovera w co najmniej trzech zbiorach (*collections*), Rządu Polskiego, Ambasady Polskiej w ZSRR i Gen. Andersa, razem około 20 000 dokumentów.

„Na podstawie tych zapisów – pisze Gross – możemy ocenić działania sowieckiej władzy w odniesieniu do tego co ona najlepiej umie: inscenizować rewolucję społeczną. Mając na uwadze mocne i słabe strony źródeł, książka ta jest raczej studium rewolucji komunistycznej niż prostolinijnym zarysem historii początków reżymu sowieckiego w zachodnich granicznych republikach Związku. W tym względzie zależy mi głównie na unaocznieniu całkiem szczególnej postaci ubezwłasnowolnienia: głównie charakteru i duszy, mniej ciała” (str 17).

Zamiar ten urzeczywistnił autor w konkluzji obszernego rozdziału książki (str 71-103), opartego na tysiącach² raportów świadków kampanii propagandowej

poprzedzającej komedię wyborów z 22 października 1939. „Wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, że to komedia, w jakiej nam przypadła rola marionetek”, oceni wybory anonimowy znawca prawa międzynarodowego w zbiorze Rudnickiej (str. 54). „Jaki sens miało to bezmyślne pędzenie ludzi do zebrani przedwyborczych i do lokalów wyborczych?” – zapytuje Gross. Sens miało, wydaje się uprzedzać pytanie polskiego autora ukraiński obserwator, bo „hipnoza przedwyborczej akcji działała z matematyczną dokładnością: marionetki zachowywały się dokładnie tak, jak tego sobie życzyli moskiewscy reżyserzy” (str. 55).

A więc czy komedia? Odpowiedź Grossa na to pytanie jest druzgocąca: „Sowiecka władza nie oczekiwała od świeżo pod jej kuratelą znajdującej się ludności ani zaangażowania ani udziału w wyborach ani przyzwolenia, lecz jedynie tylko współuczestnictwa w przestępstwie (*Komplizenschaft*)”. I udało jej się to w pełni. Ukraiński prawnik przyznaje: „Ja też byłem jedną z tych bezwolnych marionetek i w niedzielę 22 października poszedłem głosować. Jeśli jakiś bohater będzie wam opowiadał, że nie głosował, radzę nie wierzyć – głosowali wszyscy”.

Gross, socjolog, nie ogranicza się do opisu zjawisk, on – co już powyżej okazano – wyciąga z nich wnioski, dokonuje syntezy – dla mnie przynajmniej są to niezmiernie cenne ustępy książki. Nie chciałbym przez to stwarzać wrażenia, że pozostały tekst, ta masa „przerobowa”, jaka posłużyła do sformułowania syntezy jest mało zajmująca. Te opisy są fascynujące, w każdym razie powinny tak być oceniane przez tych czytelników, którzy tamtej rzeczywistości nie mieli okazji, bodaj z literatury przedmiotu, poznać. A są to opisy wydarzeń owych 21 miesięcy, w których ludność miejscową, bez względu na narodowość czy grupę społeczną, spotkało siedem masowych aresztowań i deportacji. Opisy te uszeregował Gross w pięciu rozdziałach dotyczących: okupacji, wyborów, sowietyzacji, więzień i deportacji. Całość zamyka ustęp zatytułowany w wydaniu niemieckim *Interpretation*, ja bym to nazwał „Wykładnią” i tu autor ujawnia pazur socjologa.

Przede wszystkim stwierdza, że sowiecka polityka populacyjna, jakiej celem jest zapewnienie państwu pełni władzy, postuguje się nie regulacją urodzin, lecz regulacją śmierci. Jej przejawem były na terenie okupacji lat 1939-1941 masowe deportacje i aresztowania, a wzorem tej akcji kolektywizacja wsi sowieckiej z towarzyszącymi jej zjawiskami, jak terror i jego następstwo: pełne zaprzeczenie się obywatela „organom”, czyli państwu.

Przy opisie podporządkowania się komitetów wiejskich, zarządów gminnych czy powiatowych woli byle politruka, Gross stwierdza: „Ten niegdyś zeszytyniały w rutynie, tępy, ale nie przysparzający niespodzianek aparat biurokratyczny został przeobrażony w samowolny i nieobliczalny instrument. Styl gry sowieckich komunistów cechuje straszliwe piętno: inscenizowane z zewnątrz samozniszczenie społeczeństwa” (str. 70).

Z analizy podobnych zjawisk sprzed 10 lat (kolektywizacja) prowadzących do postawienia obywatela sowieckiego wobec alternatywy: albo doniesiesz, albo będziesz siedzieć, wynika swego rodzaju sprzężenie zwrotne. „Paradoksalnie bowiem – pisze Gross – można skuteczny donos (tj. taki, który doprowadza do działania na szkodę ofiary donosu) rozpatrywać z podwójnego punktu widzenia: z jednej strony (przez dostarczenie pożądaney informacji) jako przysługę państwu, z drugiej

strony jednak jako świadczenie państwa (przez subiektywnie pomyślnie wyrównanie rachunku w prywatnym sporze)" (str. 213). Dalszy, wypływający z owego sprzężenia wniosek formułuje Gross następująco: „Władza totalitarna państwa opiera się głównie na fakcie, że jego aparat jest praktycznie do dyspozycji każdego obywatela, a poza tym w każdej chwili może być wezwany do świadczeń" (str. 213). Jest to wniosek na pewno daleko idący, ja bym się pod nim nie podpisał, choćby ze względu na dysproporcję: obywatel – władza, ale wart uwagi, jeśli dlatego tylko, że inspiruje wątpliwości odnośnie wszechwładzy totalitarnego państwa.

Gross przyznaje, że odkrycie materiałów dotyczących okupacji sowieckiej zawdzięcza przypadkowi. Natrafił na nie przy szperaniu w archiwach Instytutu Hoovera za źródłami do historii niemieckiej okupacji Polski. Nie wiem, jaki miał zamiar, podejmując ten właśnie temat, tak obficie i wszechstronnie w powojennej literaturze (nie tylko polskiej) opracowany, nie czytałem jego *Polish Society under German Occupation, Generalgouvernement, 1939-1944* (Princeton University Press, Princeton, New Jersey, 1979), domyślać się mogę, że podszedł do zagadnienia z pozycji socjologa. Relacje dotyczące sowieckiej okupacji zostają częściowo wykorzystane w pracy *W czterdziestym nas matka na Sybir zesłali...* (Aneks, Londyn, 1983) autorstwa Jana Tomaszka i jego żony, romanistki, Ireny Grudzińskiej-Gross. Pozycji tej poświęcił krótką, lecz zasłużenie pochlebną notatkę Józef Czapski (Zeszyty Historyczne nr 74, jesień 1985), a i ja pozwoliłem sobie podzielić zdanie sędziwego znawcy przedmiotu, że książka jest, „nie tylko ważna, ale wręcz niezastąpiona" (ZH nr 76, wiosna 1986).

Zaznaczyć tu należy, że książka ta ukazała się wpieryw w języku angielskim³. Czy mam podkreślać, jak pożyteczna to robota?! Jestem zdania, że tego rodzaju publikacje powinny ukazywać się w pierwszym rzędzie w językach obcych, stąd cieszy mnie fakt, że ostatnia książka Grossa znalazła się na rynku wydawniczym wpieryw w Stanach, teraz w RFN. Życzyłbym sobie jednak, by możliwie szybko jakieś wydawnictwo podjęło się wydania polskiego.

Przypisy

¹ Tłumaczenie Anni Pott z amerykańskiego wydania pt. *Revolution from Abroad*, Princeton University Press 1986.

² Wiosną 1943 roku Biuro Dokumentów Armii Polskiej na Wschodzie, zajmujące się zbieraniem i opracowywaniem relacji b. jeńców wojennych, więźniów i zesłańców, przekazało polskiemu Centrum Informacji w Jerozolimie nie mniej niż 10 000 dokumentów dotyczących tych wyborów. Domyślałem się, że znajdują się one u Hoovera w zbiorze oznaczonym jako *Polish Government Collection*.

³ *War Through Childrens Eyes*, Hoover Institution Press, Stanford, 1981.

KATYŃ – WERSJA ROMUALDA ŚWIĄTKA / mm

„Na zakończenie tej smutnej historii radzę Polakom, żeby raz na zawsze zaprzestali złorzeczenia pod adresem swego wschodniego sąsiada za zmienione po wojnie granice.

Tak naprawdę, to każdy prawdziwy Polak powinien być nie tylko zadowolony z tych zmian, ale i odczuwać wdzięczność dla tych, którzy je przeprowadzili. Tym, którzy ciągle, uparcie marzą o Polsce sięgającej od Bałtyku do Morza Czarnego prezentują list Winstona Churchilla, naprawdę wart przeczytania. Skłania on do refleksji nad charakterem Polaków, którzy często sami nie wiedzą, ani czego chcą, ani co posiadają, i którzy nie chcą przyjąć do wiadomości, że Związek Radziecki poświęcił życie milionów żołnierzy po to, by Polacy mogli mieć swe własne niepodległe państwo, coś, czego sami nigdy nie byłiby w stanie osiągnąć”.

Tymi słowami podsumowuje Romuald Świątek swą książkę w języku angielskim pt. *The Katyn Forest (Katyński las)* o zagładzie tysięcy polskich oficerów.

Zebrane komunikaty, raporty, oświadczenia, komentarze i zdjęcia ze źródeł niemieckich, radzieckich, angielskich i polskich znane są z dziesiątków innych publikacji i jako takie nie wnoszą niczego nowego do sprawy. Nowy natomiast i niezwykle jest cel publikacji, która podbudować ma i uwiarygodnić tezę autora głoszącą, iż powszechna wersja przypisująca Związkowi Socjalistycznych Republik Radzieckich wymordowanie polskiej elity wojskowej jest niczym innym jak propagandowym trickiem stworzonym na swój użytek przez emigracyjny rząd polski zdominowany przez sanacyjnych polityków.

Romuald Świątek stwierdza wręcz, iż „informacje o zbrodni katyńskiej podawane wówczas przez Polskie Radio i polską prasę miały bardzo niewiele wspólnego z prawdą, a ci, którzy podtrzymali – bez weryfikacji – hitlerowskie oskarżenia i wnieśli sprawę na forum międzynarodowe sami musieli rekrutować się z kręgów profaszystowskich, dla których Związek Radziecki był zawsze wrogiem numer jeden, jako że stanowił największe zagrożenie w ich dążeniu do zagarnięcia pełnej władzy w Polsce”; (str. 96)

Autor z całym przekonaniem posługuje się w swej argumentacji słynną notą Mołotowa z 17 września 1939 roku o konieczności najazdu Armii Czerwonej na ziemię polskie, a także przytacza niektóre wypowiedzi Stalina, Berii i Wyszyńskiego na interpelacje rządu polskiego w sprawie zaginionych oficerów, jako dowody niewinności strony radzieckiej.

Wiele oskarżeń stawia gen. Andersowi – zarzuca mu m.in., że „(...) na wieść o zbrodni katyńskiej zaczął objawiać symptomy choroby psychicznej – o czym świadczy fakt, iż polecił utworzenie przy sztabie głównym Armii Polskiej w Rosji Biura Dokumentacji i grupy poszukiwań zaginionych polskich oficerów.

(...) wyznaczenie gen. Andersa na głównodowodzącego Armii Polskiej w Rosji było jednym z większych błędów popełnionych przez Gen. Sikorskiego, wykazujących jego brak umiejętności obsadzania stanowisk odpowiednimi ludźmi.

(...) Gen. Anders od samego początku robił wszystko, co było w jego mocy, aby stworzyć możliwie najlepsze stosunki między dowództwami rosyjskim i polskim. W odniesieniu do kwestii wspólnej walki na froncie radzieckim na każdym kroku wykazywał wielką niechęć graniczącą ze strachem”.

Interesujące są również poglądy autora na temat systemu karnego obowiązującego w ZSRR:

„(...) mimo niesprawiedliwości i wielu negatywnych cech system komunistyczny różnił się od hitlerowskiego tym, że zawsze dążył do zapewnienia poszanowania

prawa i porządku. I choć sądy radzieckie od samego początku swej działalności skazywały ludzi na śmierć przez rozstrzelanie, to jednak wyroki takie wykonywane były w więzieniach i dopiero po zatwierdzeniu przez radzieckie sądy najwyższe lub Radę Najwyższą.

Chcę przez to powiedzieć, że jakkolwiek w okresie stalinowskim komunizm istniał w bardzo zdegenerowanej formie, to jednak jego system prawny nigdy nie umożliwiłby dokonania takiego aktu masowego ludobójstwa, jakim była zbrodnia w katyńskim lesie”.

Zarówno sądy samego Romualda Świątka, jak i zawartość oraz (dość chaotyczny) układ przedstawionego przez niego materiału dokumentacyjnego stanowią wartość samą w sobie. Zmuszają one czytelnika do zastanowienia, dlaczego autorowi tak bardzo zależało na przekonaniu międzynarodowej opinii publicznej (przypomnijmy, że Polak Świątek wydał rzecz po angielsku) o niewinności Rosjan właśnie teraz, kiedy – po raz pierwszy w historii – nawet oficjalne instytucje Polski Ludowej zaczęły domagać się od strony radzieckiej oczyszczenia tej ropiejącej w stosunkach między obu narodami rany. Wiadomo przy tym, że ani Gorbaczow osobiście, ani inni politycy czy historycy nie wykazują bynajmniej jakiejś szczególnej chęci zajęcia jasnego stanowiska w tej sprawie; wręcz przeciwnie – ostatnio wyraźnie widać, że w Związku Radzieckim zdecydowano po raz kolejny, że na otwieranie puszki z Katyniem jeszcze nie czas.

Ciekawie przedstawiają się same okoliczności ukazania się książki drukiem. Ta luksusowa broszura, o laminowanej półsztywnej okładce, mocnym szyciu i dobrym papierze, licząca 112 stron zawierających 15 fotografii, wydana została nakładem autora w listopadzie 1988 roku przez Panda Press London, oficynę założoną i prowadzoną przez Przemka Marię Grafczyńskiego, przebywającego od kilku lat w Anglii byłego redaktora gazet wojewódzkich w Zamościu.

Jak zaświadcza tłusty napis w stopce wydawniczej na stronie 4, książka zesłała z maszyn drukarskich znanego katolickiego wydawnictwa emigracyjnego Veritas Foundation Centre w Londynie. Jego dyrektor, inż. Wojciech Dłużewski zamieścił 27 listopada 1988 roku w tygodniku tegoż wydawnictwa ukazującym się pod nazwą «Gazeta Niedzielną» ogłoszenie następującej treści:

OSTRZEŻENIE

Publicznie odżegnujemy się od wydawnictwa PANDA PRESS, pozycji Romualda Świątka pt. *The Katyn Forest*, która broni tezy z czasów stalinowskich w sprawie odpowiedzialności za zbrodnię katyńską i oskarża emigrację o „spisek” antysowiecki.

Ubolewamy, że pod nieobecność dyrektora, nieświadoma treści broszury Drukarnia Veritas Foundation Press przyjęła od p. Przemka Grafczyńskiego z Panda Press (wynajmującego lokal w tym samym gmachu) w dobrej wierze, na zasadzie zamówienia klientowskiego (sic! – M.M.), złożoną do druku publikację.

Niestety dopiero po ukazaniu się broszury mogliśmy zapoznać się z jej treścią. Drukarnia nasza nigdy by nie przyjęła jej do druku, gdyby treść broszury była jej znana.

Przestrzegamy więc przed tą broszurą o mylącym tytule, a otrzymaną zapłatę przekazuje Drukarnia na Fundusz Wydawniczy publikacji o Katyniu, przewidzianych w 1989 roku dla upamiętnienia 50-lecia tej zbrodni.

VERITAS FOUNDATION
PUBLICATION CENTRE

Jak się wkrótce okazało, ostrzeżenie zamieszczono za późno; w niedzielę bowiem, 20 listopada 1988 roku, w kilka dni po ukazaniu się książki, do kierownika administracyjnego największego kościoła polskiego w londyńskiej dzielnicy Ealing zgłosił się młody człowiek z prośbą o pozwolenie „na sprzedaż książki o Katyniu wydanej przez Veritas”. Pozwolenie takie, rzecz jasna, otrzymał dzięki czemu książkę mogło nabyć wielu nie przeczuwających niczego złego nabywców, rekrutujących się z tysięcy przybyłych tej niedzieli do kościoła wiernych.

Wkrótce potem wydawca książki, Przemko Maria Grafczyński zamieścił w «Gazecie Niedzielnej» tekst następujący:

WYJAŚNIENIE

W związku z Waszym Ostrzeżeniem dotyczącym książki Romualda Świątka *The Katyn Forest*, wydrukowanym w «Gazecie Niedzielnej» Nr 48, z 27 listopada br., wyjaśniam, że przyjąłem tę książkę na zasadzie umowy z autorem, a więc na zasadzie zamówienia klientowskiego (sic! – M.M.), nie czytając treści całości. Zgodnie z obowiązującym prawem musiałem wywiązać się z tego zamówienia.

Książka została na str. 4 opatrzona wyraźnym i jasnym dla wszystkich stwierdzeniem: *Published at author's expense*. Oznacza to, że autor pokrył całkowity koszt wydania książki, a co za tym idzie – jest ona jego własnością i on zajmuje się jej rozpowszechnianiem.

Moje osobiste poglądy na temat zbrodni katyńskiej są diametralnie różne od poglądów pana Świątka, czemu niejednokrotnie dawałem wyraz publicznie w artykułach drukowanych m.in. w «Dzienniku Polskim», ostatnio 16 czerwca br.

Przykro mi, iż Drukarnia Veritas Foundation Press, z którą od kilku lat współpracuję, została z tego powodu narażona na niezastępowane nieprzyjemności.

Przemko Maria Grafczyński
PANDA PRESS LONDON, 24.11.1988 r.

Kierownictwo Veritasu nie przyjęło jednak treści Wyjaśnienia do wiadomości, tym bardziej, że stanowisko poprzednio zajęte przez Grafczyńskiego miało odmienny charakter i sprowadzało się do przypomnienia zasady wolności słowa i druku obowiązującej w Zjednoczonym Królestwie, zasady – jego zdaniem – usprawiedliwiającej wydanie dzieła takiego, jak *Katynski las*. Grafczyńskiemu wymówiono zajmowany przez niego w budynku Veritasu lokal i podjęto żmudne i niemile pertraktacje z autorem o usunięcie nazwy „Veritas” z kart książki. W ich rezultacie R. Świątek zgodził się, aby w nie sprzedanych jeszcze egzemplarzach dokonano wymiany stron 3 i 4 na nowe, nie zawierające nazwy drukarni. Kosztowna i uciążliwa dla Veritasu operacja została w końcu przeprowadzona; wycięto kompromitującą kartkę, a w jej miejsce wklejono nową. Książka wróciła na rynek.

Jak należało oczekiwać, *Katyński las* zauważony został natychmiast przez prasę radziecką. Już 14 grudnia 1988 roku «Literaturnaja Gazieta» zamieściła wywiad przeprowadzony z autorem książki przez swego londyńskiego korespondenta Wiktora Orlika. Biorąc pod uwagę datę ukazania się dzieła (listopad 1988) oraz fakt, że w przypadku tygodnika okres druku wynosi kilka tygodni trzeba lojalnie przyznać, iż wywiad ten pt. *Katyń – wersja Romualda Świątka* opublikowany został w iście szatańskim tempie.

Natomiast dużo więcej czasu potrzebowała prasa polska: pierwszy komentarz do książki (notabene bardzo surowy) pióra znanego partyjnego historyka prof. dr. Włodzimierza T. Kowalskiego ukazał się (w «Życiu Warszawy») dopiero 26 stycznia 1989 roku, czyli prawie trzy miesiące od pojawienia się książki. Dziwnym zbiegiem okoliczności tego samego dnia tygodnik «Stolica» zamieścił tłumaczenie wywiadu z «Literaturnoj Gaziety» – w całości i bez słowa komentarza od redakcji.

W wywiadzie swym Wiktor Orlik opowiada, jak poznał Romualda Świątka, choć nie podaje daty rozpoczęcia tej interesującej znajomości. Rozmowa sprowadza się do wypunktowania znanych z książki elementów przenoszących z Rosjan na Niemców odpowiedzialność za katyńską zbrodnię, a pod koniec korespondent «Literaturnoj Gaziety» lakonicznie stwierdza, że „R. Świątek w swej książce wskazuje kilka kierunków poszukiwań, które mogą okazać się przydatne dla ostatecznego wyjaśnienia prawdy”.

Ta machiaweliczna konkluzja przeznaczona jest bez wątpienia dla „myślącego” czytelnika i jej sens ma sprowadzać się do logicznego pytania: jak można oczekiwać od Rosjan przyjęcia odpowiedzialności za ten okrutny mord, skoro sami Polacy, w tym nawet ci z emigracyjnego, antykomunistycznego Londynu mają wątpliwości co do tożsamości zbrodniarzy?

O FALANDZE. ROZMOWA ZE STEFANEM KISIELEWSKIM / Włodzimierz Sznarbachowski

Byłeś przed wojną w jakiś sposób związany, przynajmniej osobistymi znajomościami, z działaczami Falangi. I nawet jeszcze wcześniej z Obozem Wielkiej Polski. Możesz mi powiedzieć, z jakiego powodu, kogo znałeś, z kim się spotykałeś?

Trudno powiedzieć, że byłem z nimi związany, bo raczej wychowałem się w rodzinie Piłsudczykowskiej, gdzie słowa „endecja” i „Dmowski” budziły grozę. Nie mniej zaczęło się zabawnie. Mianowicie, cnyba w 30 roku wstąpiłem do Legionu Młodych. Ktoś mnie namówił do tego, nie pamiętam kto. Legion Młodych mi się nie podobał zresztą, bo był wtedy... strasznie lewy, szedł „na czerwono”. Byli tam bracia Zapasiewiczze, Zbigniew, zresztą uroczy człowiek, który skończył w PPS-ie, i Jerzy Zapasiewicz, który niedawno umarł, Himmler Legionu Młodych – tak go nazywano. Był też Żółkiewski, mianowany kierownikiem wydziału kultury czy komendantem, tak się to nazywało, mój kolega z uniwersytetu; był Wacław Zagórski; w Wilnie był Jędrzychowski; w sumie szalenie czerwony był ten Legion, przy

tym bardzo antykościelny. Mnie się to niezbyt podobało. I akurat zorganizowano przy komendzie głównej „seminarium prądów ideowych”, którym kierował pan Wincenty Rzymowski, postać dziwna. Tematem był na początku nacjonalizm. Każdy miał zreferować nacjonalizm polski. Ale nie miałem materiałów, wtedy było trudno dostać książki Balickiego czy Popławskiego, to były „białe kruki”, a Dmowskiego też właściwie było nietatwo. Tymczasem niespodziewanie u państwa Małcużyńskich, rodziny pianisty, zdarzyły się imieniny, ja przyszedłem ze znaczkiem Legionu Młodych a tu przyszedł jakiś młody człowiek ze znaczkiem Obozu Wielkiej Polski, (wtedy nie było jeszcze żadnej Falangi) Wojciech Kwasieboriski. Wszyscy myśleli, że my się strasznie pobijemy, bo wtedy trwały bójkі na uniwersytecie nieustające. Pamiętam nawet takie zebranie Bratniej Pomocy, kiedy rektor Michałowicz, sławny doktor medycyny, wziął kaucję od krzesel i od stołów, bo wiedział co się święci. I rzeczywiście wybuchła straszliwa bójka między Legionem Młodych a OWUP-ą tak zwaną. Legionista Brzezicki – był to chyba twój odpowiednik, bo kierował pirotechniką w Legionie Młodych – rzucił jakąś potężną bombę. Wtedy OWUPa rzuciła gazy łzawiące, no i zrobiło się straszne zamieszanie. Był potem wierszyk, chyba w «Cyruliku Warszawskim» o tym jak wyglądało to zebranie Bratniej Pomocy uniwersytetu: „Bity się chłopcy potężne jak dęby, potem koszami wynoszono zęby”. ...No, ale ja spotkałem tego właśnie Wojciecha Kwasieborskiego u Małcużyńskich i bardzo interesująca wywiązała się rozmowa. On mi zaczął referować całą historię endecji i młodej endecji, no i pytał, czy ja czytałem odpowiednie książki. Ja mu właśnie powiedziałem, że nic nie czytałem, a mam taki referat, i on mi za parę dni te książki dostarczył. Pamiętam, że przeczytałem całego Balickiego, całego Popławskiego i dużo Dmowskiego. Rodzice załamali ręce, co ja za szkarady przynoszę do domu. Powiedziałem, że to znacznie mądrzejsze niż cały Piłsudski, więc ojciec się wściekł. I wygłosiłem wreszcie ów referat, referat gdzie starałem się endecję oczyścić. Wtedy tylko mówiono o antysemityzmie itd. a nic o sprawie niemieckiej, nic o całej historiozofii Dmowskiego i Balickiego, także nie o problemie egoizmu narodowego wobec etyki. Mój odczyt nie został zrozumiany. Pamiętam, że Rzymowski mnie ostro zgromił za jakieś niegodne Legionu „odchylenie”. No, to by było takie pierwsze wspomnienie. Nic takiego ciekawego, ale zawsze wspomnienie... No a później, w drugiej połowie lat trzydziestych, kiedy zaczęła istnieć Falanga, miałem kolegę w konserwatorium, Bronka Onufrego Kopczyńskiego, był to muzyk a przez politykę zmarnował życie, bo biegał z „Falangą”, którą po ulicach sprzedawał itd., siedział po więzieniach, różne miał historie. On bardzo ze mną chętnie dyskutował. Ponieważ ja pisywałem w «Buncie Młodych» u Giedroycia, zainicjował publiczną dyskusję, będąc redaktorem pisma «Ruch Młodych».

«Ruch Kulturowy».

«Ruch Kulturalny» czy «Ruch Kulturowy», tam właśnie mi coś odpowiadało. Pamiętam, że trwała dyskusja, ale dosyć przyjemna i dżentelmeńska. Ten Bronek Kopczyński w czasie okupacji, (miałem z nim kontakty), jako Bronicz grywał po kawiarniach, komponował piosenki ale jednocześnie działał konspiracyjnie. No, i skończyło się to źle, bo go wzięli na Majdanek i tam umarł. Została jego narzeczona Krystia Jakobi, która też była związana z tym ruchem. Również miałem

wtedy znajomości z ludźmi późniejszej Konfederacji Narodu, między innymi Licze, to był mój kolega z konserwatorium, który brał udział w znanym napadzie na więzienie na Daniłowiczowskiej. I znałem takich młodych ludzi, którzy pod Małkinią brali udział w znanym nieudanym wymarszu. No i coraz więcej na ten temat słyszałem, ale osobiście z „wodzem” Bolesławem Piaseckim się nie zetknąłem. To się stało dopiero po wojnie w dosyć dziwnych okolicznościach. Byłem w Krakowie w zespole «Tygodnika Powszechnego», gdy przyjechało dwóch ludzi: Aleksander Bocheński, znany mi z «Buntu Młodych» i Wojciech Kętrzyński, w długich butach partyzanta, z płonącymi oczami i zaczęli nam mówić, że się tworzy nowy ruch katolicki i nowe pismo katolickie, na które mają nawet koncesję. Zaczęliśmy pytać kto będzie stał na czele. Oni ten temat omijali dziwnie, mówili, że ktoś bardzo ważny, ale nie mówili kto. No i wreszcie, po pewnym czasie, Kętrzyński wyznał, że to Bolesław Piasecki. Więc ja mówię – Jaki Piasecki? Ten z Falangi? On mówi – Tak. Ja mówię – To jest niemożliwe, bo przecież on nie może żyć. Człowiek o takiej przeszłości – wiedziałem o tej partyzantce ich na wileńszczyźnie i tak dalej, poza tym, znałem jeszcze niejakiego Czesława Lewickiego, który miał sklep jubilerski i finansował cały ten batalion uderzeniowy, więc wiedziałem o tym dosyć dużo. Powiadam więc – W jaki sposób on może żyć? A Olo Bocheński mówi – No właśnie, okazuje się, że on żyje, że jest przez władzę uznany, że będzie działał, no i żeby pojechać na rozmowę z nim. Przyjechałem do Warszawy. Lokal «Dziś i Jutra» był na Marszałkowskiej. To była wówczas zniszczona, zburzona Warszawa, jesień, błoto, zabiedzone tłumy.

Nie na Mokotowskiej?

Nie, najpierw na Marszałkowskiej. Nawet pamiętałem numer. Na dole mieściła się kawiarnia „Danusia” a na piętrze ich lokaj. Było tam straszliwie brudno, góra płaszczy zabłoconych leżała na ziemi, tłoczyli się jacyś ludzie nieogoleni, spod ciemnej gwiazdy. No i czekamy, czekamy. I nagle wchodzi człowiek wysoki, przystojny, elegancko ubrany, w nowiutkim garniturze, uśmiechnięty – okazuje się, że to „wódz”. No i zaczęły się rozmowy. Ciekawe. O tych rozmowach i o stosunkach naszej grupy z grupą Piaseckiego, grupą PAX-u, o próbach stworzenia, przed wyborami, jakiejś partii czy grupy politycznej to by można godzinami mówić. Ja o tym zresztą dużo powiedziałem we wspomnieniach politycznych, które drukowała «Krytyka». To był właściwie odczyt, najpierw nagrany, potem ja to poprawiłem. No więc o tym nie będę teraz mówić, to naprawdę cała epopeja. Zresztą Micewski o tym pisał i kilka innych osób. Jeśli chcesz to może tylko parę anegdotek powiem, bo chyba od tego właśnie jestem tutaj. Tak?

Tak, tak.

Więc myśmy zaczęli pisywać w tym «Dziś i Jutra». Ja, Stomma, Jasienica, Woźniakowski – już w pierwszym numerze «Dziś i Jutra» są nasze artykuły. Ja myślałem, że późniejsi Paxowcy to będzie grupa Wallenrodów; nie przyszło mi do głowy, że oni naprawdę się staną „socjalistami”, to była niespodzianka. Wyszli przecież z lasu, przeszłość falangistowska a tu nagle, „zielony program” Falangi się przypominał czyli upaństwowienie wszystkiego, istny totalizm. Zaczęły się kłótnie i różnice zdań. Pamiętam, jak przed wyborami 47-ego roku przyjechałem do Warszawy, Piasecki zaprosił mnie na rozmowę, był z nami jeszcze pan Poliński, jego

przyjaciół, inżynier architekt. Pojechaliśmy do Wilanowa, był późny wieczór, knajpa zamknięta, ale Piasecki wydobyt rewolwer najprawdziwszy w świecie i zażądał otworzenia. Więc weszliśmy. Była to ogromna stodoła z fortepianem czy pianinem na estradzie. Bolesław groził rewolwerem, że mam grać Szopena, zamówił wódkę no i rozpoczął różne śmieszne rozrabiania. W rezultacie zaczął tłumaczyć i namawiać, żeby się przyłączyć do PAX-u, żeby kichnąć na księdza Piwo-warczyka i na wszystkie opory i tak dalej i tak dalej. Ja długo się broniłem, że nie, że nie mogę i że nie chcę, że aż myślałem, że się Piasecki obraził a on nagle powiedział – To może byśmy wypili bruderszafta? No więc wypiliśmy, potem znów gra-liśmy, ja na fortepianie, on na bębnie. W końcu zaczął mi pokazywać listy żony (Ha-liny Kopciówny) która zginęła, wzruszył się bardzo i w końcu poważnie przemówił: – Słuchaj, a teraz ci powiem rzecz najważniejszą. Powtórz to swoim kolegom w Krakowie i zapamiętaj to sobie na całe życie. Jedną podstawową prawdę: Bol-szewicy stąd nie wyjdą, za naszego życia nie wyjdą! A całą resztę to już sobie z tego dośpiewajcie sami!

Muszę powiedzieć, że mi się podobała ta szczerość, bo mi nie pieprzył o tym, że Duch Święty buduje socjalizm ani o niczym takim, tylko powiedział wprost co myśli. I potem przez całe życie jak go spotykałem to ze mną trzymał się języka pro-stego, żadnych takich tam teologii czy czegoś, tylko prosty język. No a drugie cieka-we, jedno z ostatnich naszych spotkań zdarzyło się w 1962 roku, w Prezydium Rady Ministrów. Był 22 lipca urzędowy bal na świeżym powietrzu. Ja byłem posłem i po raz pierwszy zostałem zaproszony. No i pamiętam, że siedzieliśmy przy stole, był z nami taki poseł Renke, który teraz jest chyba szefem sportu. Dosyć się wtedy zalał i mówi: – Jak byłem dzieckiem, w Polsce sanacyjnej pisano, że uro-czystość państwową uświetniła generacja i kler. I proszę zobaczyć, dziś także generacja i kler. I patrzymy, że rzeczywiście siedzi wachlarz księży patriotów a między nimi generał Witaszewski! Po czym pokazał jeszcze inny stolik, gdzie sie-dział samotny człowiek, do którego się nikt nie przysiadł, Bolesław Piasecki. Wobec tego ja poszedłem do niego. On mówi: – Co, nie boisz się ze mną rozmawiać? Ja mówię: – Nie. – A wódki się nie napijesz ze mną? Ja mówię: – Napiję się. No, to wypiliśmy i zaczęliśmy mówić. On zaczął opowiadać o sprawie syna, temat bolesny i dziwny, no i na ten temat mieliśmy rozmowę. I wreszcie ja mówię: – Słuchaj Bolesławie, chciałem ci powiedzieć jedno, że ty przejdziesz do historii jako drugi Gebethner i Wolff, bo wydałeś taką masę świetnych książek w PAX-ie, ale rządzić Polską nie będziesz, bo kto ci da? Nikt ci nie da. Nie na swoją epokę trafie-łeś! Chciałeś być faszystą, byli lepsi faszyci; chciałeś być komunistą, byli lepsi komuniści; katolikiem chciałeś być, byli lepsi katolicy. Żle trafiełeś i tak już będzie. No, on krzywo się uśmiechnął, ale powtarzał to potem, bo wiem, że się przyjęło w PAX-ie to powiedzenie. Myślę, że to był wielki talent polityczny. Człowiek bezwzględny czasami, człowiek, który się mylił, ale miał jakąś charyzmę, miał wielki wpływ na ludzi. No i poza tym, o ile działacze ze Stronnictwa Pracy, Unii, Braun, Studentowicz, Kwasiborski i inni chodzili do Bieruta, opowiadali mu cuda o przyszłym katolickim socjalizmie i uważali, że go oszukali, to Bolesław wiedział, że oszukać Bieruta można tylko w ten sposób, iż wszyscy ludzie z PAX-u będą wie-rzyli w to, w co wierzy Bierut. Wtedy on nie będzie miał pretensji. Jest w tym

perfidna lecz wielka sztuka psychologiczna. Trzeba powiedzieć, że w PAX-ie szofer ciężarówki nawet mówił to, co go Bolesław nauczył, każdy śpiewał jak ptak. To była rzeczywiście grupa ideologicznie jednolita. Potem w 48 roku, na wycieczce dziennikarskiej, poznałem za to dziwnego przedstawiciela PAX-u, który uciekł z Rosji. Był to Reiff. Reiff długie lata zajmował się tylko sprawami gospodarczymi, organizacyjnymi. Z kolei był w Paryżu kierownikiem oddziału PAX-u. No, a jak wiemy, w okresie Solidarności, został wodzem po Bolesławie, chciał PAX zupełnie przestawić, odnowić, pogodzić z Kościołem, zrewidować przeszłość. Była nawet awantura z Przetakiewiczem o pisma Piaseckiego, czy je wydać, czy w takiej wersji, czy innej. No ale jak wiemy, Reiff źle skończył. Na tym bym i ja skończył, ale chociaż, jak powiadam, historia, gdybym chciał opowiedzieć wszystkie spotkania, wszystkie dyskusje, następnie zamykanie «Tygodnika Powszechnego» w 1953 roku, najrozmaitsze rozmowy, (bo myśmy się przyjaźnili w końcu z szeregiem tamtych ludzi, z Kurzyną, z Micewskim), to by dużo jeszcze było do gadania. Najmniej ciekawą postacią był tam Jaś Guptaś Dobraczyński, który nie był właściwie członkiem PAX-u nigdy, ale żył z PAX-u, wydawał książki, to był taki endecki obłudnik, muszę powiedzieć, w znaczeniu negatywnym. To by było na tyle.

A czy miałeś kontakty z Przetakiewiczem?

Oczywiście, wieloletnie i muszę powiedzieć, że jego też lubiłem, ponieważ był to watażka ale szczerzy, niczego nie ukrywał. Jedną chociaż historyjkę muszę o nim opowiedzieć. Kiedy Mikołajczyk uciekł, Przetakiewicz napisał o nim ohydny artykuł potępiający, i w ogóle najgorszy, gorszy niż pisali komuniści. Mnie to strasznie wściekło i napisałem list do Bolesława, przeszłości Przetakiewicza zgola nie oszczędzając. Minęły lata i w Krakowie spotykam właśnie Przetakiewicza. Byliśmy już na ty, chodziliśmy sobie i popijaliśmy, wreszcie zaprosiłem go do nas do domu na kolację. On się najadł, upił i do mojej żony, którą znasz, mówi: „Proszę pani, Stefan napisał kiedyś list, bardzo nieostrożny, ten list mógłby mu bardzo zaszkodzić. A ja ten list mam i ja go pani zaraz oddam. Proszę!” I wyjął list z kieszeni. To mi w ogóle do głowy nie przyszło po latach, że on coś takiego nosi przy sobie. Na pewno sobie zresztą kopię zrobił. No więc uśmiełem wówczas się z tego. Mówiłem mu zawsze: – Słuchaj, tyś siedział, Anglicy cię zamknęli, bo byłeś przeciwny porozumieniu Sikorskiego z Rosjanami, a teraz co? Zmieniło ci się? A na to on odpowiadał: – Czasy się zmieniły a bardzo dobrze, że Sikorski tu nie wrócił, bo by źle skończył, tak jak Benesz, czyli raczej żeśmy mu się nieźle przysłużyli. Dziwna dialektyka. Nie był to poważny człowiek ale ze swoistym wdziękiem, watażkowym. Natomiast mniej lubiłem Kętrzyńskiego. Ale to już całkiem inna sprawa.

To chyba wszystko, bo co jeszcze mógłbyś powiedzieć? Kogo znasz jeszcze z przedwojennych falangistów?

Z przedwojennych to więc Kurzyzna, Przetakiewicz, Reiff. Reiff to było chyba przed wojną jeszcze uczniak. No znałem takich ludzi co się odrzekli od Bolesława, na przykład Koryckiego czyli Edigeja, który z Bolesławem nie chciał mieć po wojnie nic wspólnego. Potępiał Bolesława za sprawę Świetlickiego i za coś tam jeszcze. Powiedział; że już nigdy, wolę zginąć z głodu a z Bolesławem w spółki nie będe wchodził.

Czy wiesz coś o próbach kolaboracji Piaseckiego z Niemcami w październiku 1939 roku?

Acha, wiem, że istniał Jerzy Cybichowski, którego znasz. On też był w konserwatorium moim kolegą. I wiem, chyba od ciebie to wiem, że on prowadził jakieś rozmowy. Nie jego ojciec Zygmunt, jak napisał Koźniewski, lecz właśnie on.

Ale tyle tylko, że go w ogóle nie znam, pamiętam go, bo w konserwatorium było bardzo niewielu ludzi politykujących. Więc skoro istniał taki Kopczynski czy Cybichowski to się ich znało oczywiście. Wiem, że coś na rzeczy było ale potem Bolesław się ukrył, przemałował włosy no i tak dalej i tak dalej, trudno opowiadać całe dzieje, wspomnę, że właśnie ten Czesław Lewicki, mój przyjaciel finansował go, nie wiedząc kto to jest. Bo przyszli do niego z Podziemia, mówiąc że tu jest działacz wielkiego znaczenia i Bolesław u niego mieszkał przez dłuższy czas. Także doktor Malczewski był tam wówczas, który zresztą zginął rozstrzelany, znałeś go chyba. Tak, no więc właśnie cały czas wiedziałem o tym, że oni nadal działają, że zaczęli od prób jakichś rozmów a potem przeszli do Podziemia i do akcji zbrojnej. No i wiedziałem o tym, że zostali przyjęci do AK. To już było, Bór ich przyjął, późno, pod sam koniec.

A czy zetknąłeś się z agentami niemieckimi w Falandze, na przykład z młodym literatem, znanym dziennikarzem w «Polsce Zbrojnej» Stanisławem Brochwiczem oraz z jego głównym współpracownikiem Cerchą, który został na polecenie Piaseckiego w sierpniu albo lipcu 1939 roku zastrzelony przez bojówkę Piaseckiego, co doprowadziło do definitywnego rozpadu Falangi.

Nie, na szczęście nie znałem tych ludzi i tych spraw. Natomiast po wojnie przyjechał na końcu lat pięćdziesiątych do Warszawy dziennikarz angielski, który się nazywał Blith. Zgłosił się najpierw do mnie.

Rafał Blüth?

Nie, to był brat Rafała Blüth Blütha, jak się okazało, ale on się w Anglii zmienił na Blitha, był w Partii Pracy i chciał napisać książkę o Piaseckim i o PAX-ie. Ja go zapoznałem z Hagmajerem, którego dobrze znałem w Syrii i on tę książkę napisał. Wyście ją czytali. Ma tytuł *Pretendent ze Wschodu*. I tam jest o tym Brochwiczu i różne takie historie, bardzo ciekawe, choć poprzekęcane.

A o Hagmajerze co możesz powiedzieć?

Hagmajera lubię. Rozpił się dziś chyba trochę. W Sejmie nie kolegowaliśmy, on był w drugiej kadencji w klubie PAX-u. Muszę powiedzieć, że miałem sympatię do niego, ale uważałem, że jest słabym człowiekiem, to znaczy nawet jak się nie zgadzał z czymś, jakoś nie potrafił swojego zdania przepierać. Acha, jeszcze jedną anegdotkę pamiętam śmieszną. Mianowicie, już po zamknięciu «Tygodnika Powszechnego» Alfred Łaszowski, którego może znałeś, powiedział, że trzeba wreszcie przedyskutować sprawę socjalizmu, i że Piasecki zaprasza do siebie do domu na taką dyskusję. I rzeczywiście zaprosił nas na kolację na ulicę Krasickiego. Było to zresztą eleganckie przyjęcie, w dyskusji brał udział Lubieński, szereg osób i właśnie Łaszowski. Ja wygłosiłem krótki referat, że marksizm i socjalizm to są bzdury i nie mają sensu, i że przykro mi, iż oni są zmuszeni dla celów taktycznych pod tym się podpisywać, tymczasem w PAX-ie robią właściwie burżuazyjną gospodarkę wolnorynkową, więc dają dowód, że sami w to nie wierzą co piszą. Na ce

oni się jakoś zacukali, Łaszowski to podchwycił i zaczął strasznie krzyżeć, że tak jest, że Stefan ma rację, nareszcie muszą mi wszystko wyjaśnić, bo „ja tu niby jestem w PAX-ie, więc mam prawo postawić dziesięć podstawowych pytań”. Na to Bolesław mówi: – Dobrze. Alfred, uspokój się. Na każde pytanie ci odpowiem. Pytaj. Łaszowski: – Jaka różnica jest między upaństwowieniem a uspołecznieniem? Piasecki: – Duża różnica. Proszę o następne pytanie. I tak po kolei zrobił z niego balona aż po piątym pytaniu wszyscy ryczą ze śmiechu. Piasecki miał swiste poczucie humoru.

KLAWRY (VI)

W miesięczniku «Przegląd Powszechny» (nr 11 – 1988) ukazał się wywiad z Janem Nowakiem-Jeziarańskim przeprowadzony przez Michała Jagiełłę we współpracy z Krystyną Stypułkowską-Smith. Wywiad ten zatytułowany *Emigracja jest dla mnie misją...* pocięty został przez cenzurę. Skonfiskowane fragmenty zaznaczamy w przytoczonych niżej passusach wytłuszczonym drukiem:

Emigracja jest dla mnie misją, której poświęciłem trzy czwarte mojego życia. W 1945 widziałem jasno, że społeczeństwo w Polsce zostanie ubezwłasnowolnione na długie lata i nie będzie mogło przemawiać własnym głosem. Stało się jasne, że ekspansja ZSRR nie skończy się na Łabie i że zachodnie mocarstwa prędzej czy później znajdą się w konflikcie z Rosją.

...nie ma wspólnej płaszczyzny porozumienia z rządem i partią. **Celem politycznej emigracji jest niepodległa Polska. Reżim został narzucony siłą z zewnątrz i utrzymuje się przy władzy groźbą użycia siły przez ZSRR. Reżim nie reprezentuje więc dla nas Polski, lecz jej uzależnienie od Moskwy. Istnieje natomiast wspólna płaszczyzna i wspólnota celów między Polonią a społeczeństwem, któremu chcemy służyć i pomagać.**

Kongres Polonii (...) Powstał 44 lata temu, gdy zanosilo się na Jaltę, powstał po to, by walczyć środkami politycznymi o odzyskanie niepodległości starego kraju i pomagać mu. **Długofalowym celem jest niepodległość. To jest cel na jutro, bliski albo odległy. Celem na dziś jest pomoc krajowi w sensie materialnym, tak by ludność przetrwała do chwili odzyskania wolności w możliwie najlepszej formie moralnej i fizycznej, a także wspieranie wszelkimi sposobami, wszelkimi drogami nacisku społecznego na władzę, nacisku idącego w kierunku rozszerzania sfer wolności i demokracji.**

No i wreszcie narodziny „Solidarności”, to zwycięstwo nowoczesnego Dawida w walce z sowieckim Goliatem. Nagroda Nobla dla Wałęsy.

...Polonia zdaje sobie dobrze sprawę, że jej rola jest pomocnicza i ograniczona. **Walka o niepodległość toczy się etapami w Polsce i tam się musi rozstrzygnąć.**

My nie pozwolimy się użyć jako namiastka, którą posługuje się Jaruzelski, aby uniknąć tej ostateczności, jaką są dla niego istotne rozmowy, istotny dialog z Kościołem i z Wałęsą uwieńczony jakimś nowym kontraktem społecznym.

Polonia i emigracja światowa nie mogą, moim zdaniem, zgodzić się na podwójny standard, z jednej strony stosowany wobec Polaków na Zachodzie i drugi stosowany wobec Polaków w Rosji (...) Polacy są najbardziej dyskryminowaną grupą etniczną w ZSRR. Nie ma Polaków w sporcie, w nauce, nie ma ich na urzędach i na uniwersytetach. Rodzice są pod naciskiem, by nowo narodzone dzieci rejestrować podając narodowość ukraińską lub białoruską. Ci, którzy chcą pozostać Polakami, są pozbawieni jakiejkolwiek szansy awansu społecznego. Na Białorusi nie ma ani jednej polskiej szkoły, odbiera się Polakom księży, zamyka się ich kaplice i kościoły, nie dopuszcza się do nich podręczników i pism z Polski. W tym kontekście sama nazwa Towarzystwo Łączności z Polonią Zagraniczną zawiera w sobie element dualizm i nieprawdy. Niech się Jaruzelski nie zastania, że na przeszkodzie łączności z Polonią w ZSRR stoi Moskwa. Jeżeli w Związku Radzieckim Armeńczycy, nie wyłączając członków władz partyjnych, mogą się upominać o los swoich braci w enklawie w Republice Azerbejdżanu, to Jaruzelski może także okazać odwagę w obronie Polaków w Rosji. Niestety, woli się nie narażać.

Stodieck's Buchhandlung & Galerie

KSIEGARNIA POLSKA

Stodieck's Buchhandlung u. Galerie

prowadzi sprzedaż wydawnictw w j. polskim

od przeszło pięciu lat.

Ponad 400 tytułów. Płyty, kasety z podziemia.

Katalog wysyłamy bezpłatnie na żądanie.

Richard-Wagner-Strasse 39

Berlin 10 Tel. (030) 341 10 40

Galerie

WZNOWIENIE

2 tom serii „Puls Politicus”



cena £4.00 plus przesyłka

Puls Publications
BCM Box 697, London WC1N 3XX
United Kingdom

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----

K W A R T A Ł

LISTOPAD

• Galeria Figur Woskowych – tego jeszcze w PRL-u nie było! Pomysł – rzucony przez redakcję tygodnika «Veto» – chwycił; posypała się lawina korespondencji, opublikowano nawet listę wybitnych Polaków, którzy – zdaniem czytelników pisma – zasłużyli sobie na figury. Na liście znaleźli się m. in. Zygmunt Berling i Zbigniew Boniek, Bolesław Chrobry i Józef Cyrankiewicz, Aleksander Fredro i Władysław Gomułka, Królowa Jadwiga i Wojciech Jaruzelski, Janusz Korczak i Józef Ignacy Kraszewski, Mieszko I i Stanisław Mikołajczyk, Gabriel Narutowicz i Agnieszka Osiecka, Mikołaj Rej i Maria Rodziewiczówna, Wincenty Witos i Lech Wałęsa. Redakcja wyjaśnia, że lista „będzie podstawą do opracowania przez ekspertów koncepcji programowej, ideowej i organizacyjnej Galerii”. • Co jeszcze, oprócz Galerii? Czytelnik tygodnika «Kultura» proponuje „rozpropagowanie wydania wydawnictwa albumowego o wręcz wzorowym standardzie, zatytułowanego np. ‘Panteon pamięci narodowej’, które uwieczniałoby i upamiętniało wszystkich wybitnych Polaków, nawet tych kontrowersyjnych. Jak sobie wyobrażam takie wydawnictwo? Byłby to album, może nawet 2-3 tomowy, wydany na bardzo dobrym papierze w ozdobnej oprawie np. imitującej skórę (...) Takie monumentalne dzieło przybliżyłoby społeczeństwu historię narodu i państwa polskiego i powinno znaleźć się w każdym polskim domu”. Nie wątpimy, że autorem wstępu będzie Bogdan Suchodolski, Jan Dobraczyński albo inny ozdobny intelektualista.

• Rzecznik rządu – Jerzy Urban potępił manifestacje zorganizowane przez opozycję dnia 11 listopada w siedmiu dużych miastach polskich, w szczególności krakowski „marsz na konsulat ZSRR” a więc – jak wyjaśnił – „tego akurat kraju, który odegrał wybitną rolę sprzyjającą 70 lat temu odzyskaniu przez Polskę niepodległości”. Urban oznajmił, że oficjalne ogólnonarodowe uroczystości 11 listopada były „kolejnym dobitnym gestem w kierunku porozumienia” i że władze „stworzyły dla wszystkich honorową okazję, by bez uszczerbku dla czyjejkolwiek politycznej tożsamości pójść noga w nogę pod melodię Pierwszej Brygady i innych, jaka tam komu w duszy gra. Tymczasem część opozycji poszła przeciwko ogólnonarodowym uroczystościom a druga jej część nie odcięła się od ekscesów pierwszej”.

• „Zastanawiające – zwłaszcza w kontekście obchodzonej właśnie 70 rocznicy odzyskania niepodległości – poglądy wygłosił ostatnio jeden z bardziej znanych duchownych polskich, ks. dr Józef Kischner (sic!-ZM) w wywiadzie dla zachodnioniemieckiej rozgłośni radiowej Deutschlandfunk. Pytany o obecne ‘stosunki między

państwem polskim a państwami niemieckimi' stwierdził na wstępie swej odpowiedzi, że Polacy jako całość, jako naród nie identyfikują się z istniejącym w tej chwili polskim państwem". Przytoczywszy wypowiedź ks. Tischnera, «Trybuna Ludu» komentuje ze zgorzaniem: „Czyżby więc przedmiotem stosunków polsko-niemieckich (chodziło chyba w praktyce o stosunki z RFN) miał być naród bez państwa? Przecież na tym właśnie polegała tragedia zaborów!” • 11 listopada Poczta Polska wprowadziła do obiegu okolicznościową serię znaczków z portretami współtwórców państwowości polskiej. Jest więc Daszyński, Witos, Wojciechowski, Korfanty, Paderewski, Narutowicz. „Jest też Julian Marchlewski, choć trudno doprawdy zrozumieć, co on porabia w tym towarzystwie” – zauważa «Tygodnik Powszechny». • Prasa informuje, że podczas „debaty sejmowej” przedstawiciel Stronnictwa Demokratycznego zaproponował „przywrócenie dacie 11 listopada rangi ogólnonarodowego święta państwowego”. W związku ze zgłoszonymi „kontrargumentami i natury ekonomicznej”, rzecznik prasowy SD wyjaśnił, że Stronnictwo chodzi o „ogólnonarodowe święto pracujące”. „Intencją Stronnictwa Demokratycznego nie jest bowiem i nie było mnożenie dni wolnych od pracy, gdyż w naszej sytuacji gospodarczej byłoby to po prostu nierozumne. Odpowiada nam natomiast w pełni ten wariant, który z inicjatywy SD zdaje całkowicie egzamin w przypadku rocznicy Konstytucji 3 Maja. Obchodzimy bowiem ten dzień w sposób godny i uroczysty, bez naruszania rytmu pracy i bez powodowania związanych z tym miliardowych kosztów”. Jak wiadomo, nieodłącznym elementem „godnych, uroczystych” obchodów 3 Maja jest zazwyczaj w PRL-u bicie albo polewanie wodą świętujących rocznicę ludzi, co i owszem powoduje koszty miliardowe. • Co w minionym siedemdziesięcioleciu było dla naszego narodu najważniejsze i co determinuje naszą przyszłość? Na pytanie redakcji «Sztandaru Młodych» odpowiada Andrzej Walicki (Notre Dame University, USA): „Wymienić kilka spraw nie jest trudno, ale zdecydować się na jedną, tę najważniejszą, to już nie takie proste. Myślę, że siedemdziesięciolecie jest dużą skalą. Nad nami bardzo cięży fakt, że nowy ustrój został wprowadzony w sposób nie jako okrojowany i przez część społeczeństwa uważany był jako wyraz woli mniejszości. W związku z czym sprawa ta przy każdym kryzysie społecznym odżywa i jak gdyby przeszkadza w rozwiązywaniu bieżących różnic zdań, ponieważ w wypadku konfliktu każda ze stron ma chęć użycia mocnych argumentów. Strona pozostająca w konflikcie ze stroną powiędzmy rządową zawsze sięga po argument największy, mówiąc: wy przecież nie macie legitymizacji” (podkreślenia – ZM). • W Nowym Sączu odbył się proces wydrwigrosza (wykształcenie: podstawowe, zawód: hafciarz), który sfabrykował sobie pieczęć „Brat Zbigniew Szczesiul – misjonarz” i przebrany za mnicha wyłudzał od wiernych datki na budowę klasztoru. Polska Agencja Prasowa informując o tej sprawie ze szczególnym naciskiem podkreśla, że brat Zbigniew pojawił się swego czasu na procesie Leszka Moczulskiego i w suttannie zasiadł w ławach dla publiczności. • Felietonista «Szpilek» – Klakson (Jerzy Urban) pieje z zachwytu nad tekstem Witolda Chałtampa z wrześnieowej «Kultury» paryskiej. Nieznanego sobie dotychczas autora Klakson nazywa „jedynym wielkim talentem, jaki wydała opozycja” i sugeruje, aby komuniści nie bacząc na koszty polityczne niezwłocznie skaptowali go dla oficjalnej prasy.

„Może z opozycją udaloby się zrobić interes i Charłampa na coś wymienić? Dałbym za niego 100 paszportów in blanco, 100 tys. ton papieru drukowanego i stu naszych pisarzy, którzy zawsze rozchodzą się bez trudu w stu tysiącach egzemplarzy każdy. Interes jest dla opozycji dobry, bo przecież wiadomo, że ten Charłamp albo sam, za darmo, ucieknie z opozycji, albo tam zmarnieje, jak wszyscy inni jej uczestnicy przerobieni na salonowe pudle”. • „Przy tym ogólnopolskim międleniu – aż chce się sięgnąć po tekst, w którym autor ma coś do powiedzenia. Do pasji jednak doprowadza mnie niewinny, wydawałoby się, znak graficzny w niektórych takich tekstach – (...). Co u licha znaczą te trzy kropki w nawiasie? Dlaczego redakcja traktuje swoich czytelników jak matoleń? Przepraszam, uniosłam się. Albo jest to ingerencja cenzury albo nie jest. Jeśli tak – trzeba wyraźnie napisać. Półśrodk, półprawdy, półznaczkę naprawdę już się przejadły. Prasa katolicka zaznacza ingerencje. A wy udajecie, że coś w tekście niby było, niby nie (...) Przyjdzie zwariować z takim kamuflażem!” List Hanny Sterczewskiej z Kielc redakcja «Tygodnika Kulturalnego» publikuje bez odpowiedzi. Nic dziwnego. Musiałaby przyznać, że – jak setki innych – związana „dżentelmeńską umową” z Wydziałem Prasy KC świadomie nie korzysta z prawa zaznaczania ingerencji, które przysługuje jej na mocy ustawy o cenzurze. • Zniesiono „zapis” na Pomarańczową Alternatywę. W oficjalnej prasie pojawiły się reportaże o wrocławskich *happeningach* i ich twórcy Waldemarze Fydrychu – „Majorze”. Warszawska «Kultura» opisuje np. *happening* pod hasłem „Spokojna starość na Świdnickiej”, który miał rozwiązać „kwestię mieszkaniową” w Polsce. Stojących na trotuarze ludzi obrysowywano farbą tworząc symboliczny metr kwadratowy mieszkania na statystycznego Polaka. Na ulicy pojawiły się stoty, krzesła, łóżka polowe a także węgiel układany w pryzmy, „tak aby każdy miał dostęp do ogrzewania i gotowania posiłków”. Waldemar Fydrych został pierwszym laureatem prywatnej nagrody Andrzeja Wajdy, którą reżyser przyznawać będzie co roku „wybitnym ludziom filmu i teatru”. • „Na pierwszy rzut oka – pisze Marek Król z poznańskiego tygodnika «Wprost» – przyglądając się *happeningom* organizowanym na ulicach Warszawy, Wrocławia czy Poznania przez Pomarańczową Alternatywę odnosi się wrażenie, że wymyślili oni oryginalną metodę negacji przez totalną akceptację. Demonstrują pełne poparcie dla władzy, polityki państwa i Kościoła i robią to w stylu manifestacji z pierwszej połowy lat pięćdziesiątych, kiedy to np. w pochodzie pierwszomajowym maszerowała krowa, a na jej wymionach widniał napis coca-cola (...) ponieważ obecnie sytuacja społeczno-polityczna jest zaprzeczeniem tej z lat pięćdziesiątych zatem zaprzeczenie zaprzeczenia daje zgola nieoczekiwany efekt (...) Zapewne w najbliższym czasie Pomarańczowi wygłoszą orędzie noworoczne, udzielą poparcia ministrowi Urbanowi zapisując zachodnich korespondentów na korespondencyjny kurs kroju i szycia. Być może zażądają przekazania butelek szampana (przeznaczonych na wodowanie statków) ze stoczni im. Lenina do domów starców na toasty sylwestrowe”. • Danuta K., rocznik 1931, była przewodniczącą koła klasowego ZMP, w liście do redakcji «Trybuny Ludu» broni pokolenia zetempowców przed twórcami filmu *Wielki bieg*: „Film jest w szczegółach prawdziwy, w ogólnej wymowie fałszywy. Nie eksponuje wielkiej ideowości tego pokolenia, jego skromności, wysokiego morale (...) Rzadko która

generacja w 1000-letnich dziejach narodu i państwa polskiego odegrała tak wielką cywilizacyjno-twórczą rolę jak właśnie ta.” • Z kroniki Pałacu Kultury. W «Tygodniku Powszechnym» przeczytaliśmy niedawno, że „imię wielkiego Językoznawcy zniknęło przy ostatnim remoncie z frontu Pałacu”. „Bynajmniej nie zniknęło – prostuje czytelnik pisma – Wykuty napis PAŁAC KULTURY I NAUKI IMIENIA JÓZEFA STALINA figuruje nadal na frontowym portalu, tyle że dyskretnie – lecz nie całkowicie – przesłonięty literami neonowymi. Łatwo go odczytać, gdy stanie się na frontowych stopniach nieco z boku i patrzy w górę na skos. Albo definitywne usunięcie inskrypcji było zbyt kosztowne, albo też czeka ona na dawną koniunkturę”. • Znany szachista polski Krzysztof Pytel (mistrz międzynarodowy) stwierdza w tygodniku «Polityka», że w wydanej niedawno encyklopedii *Szachy od A do Z* (Sport i Turystyka, Warszawa 1987) znajduje się hasło: „Stalin Józef (...) w chwilach wypoczynku chętnie grywał w szachy”. Autorzy encyklopedii rozpisują się o partii szachów w 1926 roku rozegranej przez Stalina z Jeżowem, szefem GPU i podają pełny jej przebieg (obrona sycylijska; białe – Stalin, czarne – Jeżow; czarne poddały się po 36 posunięciach). Gdy partię obejrzałem – oznajmia mistrz Pytel – pomyślałem od razu, że jest nieprawdziwa, skomponowana. „Po pierwsze, w 1926 roku w obronie sycylijskiej czarne tak figur nie rozstawiały (...) Po wtóre, ktoś, kto tak poprawnie jak czarne w tej partii rozegrał otwarcie nie wykonuje takich antypozycyjnych posunięć jak 17 i 18 ruch czarnych. Wreszcie – na tym poziomie zrozumienia gry, który zademonstrowali obaj grający, czarne w 28 posunięciu nie oddałyby hetmana tylko... poddały partię. Trudno było nie zadać sobie samemu pytania – aczkolwiek dość retorycznego – kto i po co taką legendę wyprodukował?” • Senat Uniwersytetu Warszawskiego wystąpił z wnioskiem o przywrócenie tej uczelni imienia Józefa Piłsudskiego nadanego jej w roku 1935. W liście do redakcji «Polityki» były prezydent m. st. Warszawy, gen. dywizji w stanie spoczynku Janusz Zarzycki stwierdza, że sprawa „ideowego określenia uniwersytetu przez jego nazwę” nie jest „wewnętrzną sprawą uczelni”, Piłsudski zaś to „postać wybitna, jednak trudno ją określać jako humanistyczny i racjonalistyczny wzór dla studiującej młodzieży (...) był to najbardziej antyrosyjski i antyradziecki z polityków II Rzeczypospolitej i z tego powodu jest specjalnie czczony przez wiele osób”. Generał Zarzycki wyznaje, że nie znane mu są wypadki nazywania uniwersytetów imionami polityków a gdy myślał o możebnych i najbardziej właściwych patronach warszawskiej uczelni „nasuwały mu się nazwiska Bolesława Prusa i Tadeusza Kotarbińskiego”. • Z Jugosławii sprowadzony zostanie do Polski pomnik Józefa Piłsudskiego. Jego twórcą jest wybitny rzeźbiarz Antun Augustinic. Ex-minister kultury i sztuki PRL Lucjan Motyka w liście do redakcji «Życia Warszawy» zauważa, że konieczne będzie wykonanie odlewu pomnika w brązie oraz załatwienie obowiązujących świadczeń materialnych wobec spadkobierców rzeźbiarza. Pod koniec lat sześćdziesiątych Motyka odwiedził Augustinica w jego pracowni w Zagrzebiu i oglądał tam gipsowe elementy pomnika w sali 1:1. Rzeźbiarz nadmienił, że „rząd polski jest mu winien 350 tysięcy franków szwajcarskich za realizację monumentu”, stwierdził też, że „wykorzystał figurę konia, na którym siedział Piłsudski. Mianowicie po pewnych przeróbkach usadowił na nim alegoryczną postać kobiety symbolizującej Pokój. Pomnik ten stoi przed gmachem Organizacji

Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku. Porównując zdjęcia obydwu pomników w figurze konia widać pewne różnice (usunięta uprzęż, prawa noga wysunięta do przodu). Wielkość konia i jego ogólny wygląd pozostały jednak niezmienione". Nie ma wątpliwości – Kasztanka przed ONZ-etem! • Nieczynne kioski „Ruchu” stały się prawdziwą plagą dla mieszkańców kraju, w niektórych miastach przemierzać trzeba kilometry chcąc kupić gazetę albo bilet na tramwaj. Chętnych do pracy w kioskach brakuje, co niezmiernie dziwi państwowego pracodawcę. Wiceprezes RSW Prasa-Książka-Ruch oznajmił w «Trybunie Ludu», że kioskarze, którzy się nie lenią i zwiększają obroty swojej placówki, zarabiają miesięcznie 100 a nawet 200 tysięcy złotych. Odpowiadając prezesowi, Stefan Ciupał z Koźuchowa wyjaśnia nieśmiało, że w kiosku Ruchu od 39 lat pracuje po 11-12 godzin dziennie i chociaż do jego obowiązków należy nawet „zamiatanie ulicy”, przy której kiosk się znajduje, zarabia zaledwie 25 tysięcy złotych miesięcznie. Co się tyczy zwiększenia obrotów kiosku w Koźuchowie, Stefan Ciupał nie może tego uczynić, bo zamówionego towaru otrzymuje zaledwie 10 procent. • Marzenie Marka Nowakowskiego: „... żeby pojawił się taki pisarz znikąd, z samego dna. Nie obarczony żadnym bagażem tradycji, uwikłań, środowiskowego snobizmu, presji politycznej i innych wyrachowań. Nic z tego balastu, co osłabia potencję, nic z ugładzenia konwenansu. Dzięki! Jest poza wszystkim. Chodzi swoimi drogami. Jak magnes zbiera opitki tak on chłonie atmosferę naszego życia, miasta. Wyrasta nagle. Strzela księgą jak łaszerem. Przebija wszystkie złogi, warstwy ochronne, bebeszy cały ten gąszcz, dociera do rdzenia. Odkrywa istotę zjawisk. Genialny intuicjonista. Dzięki pisarz. Potrzeba takiego”. • Pomagamy sobie wzajemnie! Ogłoszenie w miesięczniku «Relaks»: „Poszukuję murzyna do napisania powieści pt. *Jak prokuratorzy zrobili ze mnie kryminalistę*. Gwarantuje całkowite utrzymanie. Marian Arasiewicz, ul. Wrocławska 67, 57-714 Jelenia Góra”. • Premier Wielkiej Brytanii pani Margaret Thatcher zrobiła zakupy w warszawskiej Hali Mirowskiej. Halę zwiedzał już swojego czasu inny premier – Nikołaj Ryzkow, nic tam jednak nie kupował. „W przeddzień wizyty pani Thatcher – pisze Michał Ogórek w «Przeglądzie Tygodniowym» – kierownictwo Hali Mirowskiej nie wychodziło z narady (...) Pracownikom rozdano nowe fartuszki i reprezentacyjne waciaki. Konwojenci rozwozili towary w śnieżnobiałych kitlach. Ekspedientki obcinały kalafiorom liście i układały wszystko ozdobnie”. Pani premier kupowała nieco chaotycznie (stoik miodu przy każdej kolejnej ładzie) a towarzyszący jej ambasador Barret dowiedział, że pojęcia nie ma o wartości polskiego pieniądza czyli o tzw. „kondycji złotych”. W jednym z prywatnych stoisk koło hali, Margaret Thatcher kupić chciała kilo grzybów suszonych (cena: 45 tysięcy złotych a więc równowartość przeciętnej miesięcznej pensji w Polsce) za banknot pięciotysięczny, co się jej nie powiodło. Tysiąc złotych, którymi płaciła w innych stoiskach próbowano natychmiast odkupić od sprzedawcy za dwa tysiące. Sprzedawczynie z pogardą odmówiły. • Warszawa. Żoliborz. Plac Lelewela. Napis na ławce grubym niebieskim flamastrem: **TO JEST DOBRY JAPOŃSKI FLAMASTER. W KOMUNIE NIGDY NIE WYPRODUKUJĄ TAKIEGO!** Słowo „nigdy” podkreślone zostało trzykrotnie.

GRUDZIEŃ

• „...chętnie pohandlowałbym książką za granicą” – wyznał Stanisław Bębenek, ciągle jeszcze prezes pseudo-spółdzielni wydawniczej „Czytelnik”. „W jaki sposób – dopytuje się redaktor warszawskiej «Kultury» – Zakładając patronackie księgarnie Czytelnika w Paryżu, Londynie i Nowym Jorku?” „Skądże znowu! Wie pan, co by się stało, gdyby otworzyć polską reżimową księgarnię w śródmieściu dowolnej zachodniej stolicy, np. w Paryżu? Rezydujący tam polscy opozytyjoniści pierwszego dnia powybijaliby szyby wystawowe i robiliby to codziennie. Trzeba by postawić pięciu policjantów, żeby zapewnić normalną pracę takiej placówki. Chyba że nastroje naszej emigracji ulegną zmianie, tj. racjonalizacji – czego oczekuję. Mam inny pomysł – wchodzenie w spółki z zagranicznymi wydawcami i księgarzami, którzy będą moje książki kolportować przez własną sieć”. • Aleksandrowi Krawczukowi jest przykro, Aleksander Krawczuk jest zatrwożony: „... z przykrością a nawet z pewną trwogą obserwuję fakt, iż często w środkach masowego przekazu występuje pewna bariera, jakby taki filtr: przepuszcza się te informacje, które donoszą o wszelkich niedostatkach, biedach, kłopotach, o tym, czego się nie zrobiło lub co się zrobiło źle, natomiast zatrzymuje się informacje pozytywne. A jest ich mnóstwo. Mówię to z całą odpowiedzialnością jako minister kultury i sztuki. Sądzę, że inni ministrowie mogliby to samo powiedzieć o swych obszarach działania”. Zapewne. • Czy można się spodziewać wzrostu przydziału papieru dla pism katolickich, zwłaszcza dla «Tygodnika Powszechnego» który od 8 lat ma nakład 80 tysięcy i są wielkie trudności z prenumeratą? – zapytano rzecznika rządu na konferencji prasowej. „Nie potrafię na to rzeczowo odpowiedzieć” – odparł Jerzy Urban. Jak wiadomo, «Tygodnik Powszechny» zaabonować można tylko pod warunkiem, że któryś z dotychczasowych prenumeratorów tego pisma – umrze. • Andrzej Wajda przestrzegł Lecha Wałęsę, że jego telewizyjna rozmowa z Alfredem Miodowiczem może być spreparowana w celach propagandowych: „materiał stanie się przedmiotem manipulacji różnych panów Samitowskich”. Wajda zasugerował, by w telewizyjnym studio Wałęsa pojawił się z grupą współpracowników: „Myślę, że będzie naturalne, jeśli będą to twórcy *Człowieka z żelaza*: Andrzej Wajda, Edward Kłosiński – operator z asystentem, Barbara Pec-Ślesicka – kierownik produkcji, Alan Starski – scenograf i Krystyna Grochowska – asystent reżysera. To jest minimum, ażeby obstarwić plan, i stanowisko reżysera programu, dopilnować kamer, światła itd.” List Wajdy do Wałęsy odczytany na antenie RWE przedrukowała «Trybuna Ludu» nazywając go „groteskowym”. • Wspomniany w liście Wajdy dziennikarz telewizyjny Tadeusz Samitowski, którego nazwisko stało się w Polsce symbolem cynicznej manipulacji, oświadczył, że „komisja pod przewodnictwem byłej aktywistki Solidarności a obecnie komentatorki w RWE „po zbadaniu wszystkich taśm z moimi nagraniami roboczymi wycofała się z zarzutu o niegodziwości metod zbierania materiałów (...) Andrzej Wajda użył określenia różni panowie Samitowscy... Rzeczywiście żyje na tym padole więcej niż jeden Samitowski. Są wśród nich m. in. prawnik, oficer WP, matematyk, kardiochirurg. Uważam, że ich profesje są pożyteczne nie mniej od tej, którą uprawiają różni panowie

Wajdowie". • Telewizyjną dyskusję Miodowicz-Wałęsa, ogladaną przez 20 milionów Polaków, zapowiadał osobiście dyrektor Marek Tumanowicz. Zapytany nazajutrz przez redaktora «Kuriera Polskiego», czy miał tremę, odrzekł: „Przyznam się, że miałem. Wprawdzie nie musiałem przed spotkaniem wygłaszać jakiegos w większego wstępu, ale na wszelki wypadek trzymałem kartkę papieru, na której wypisałem sobie tylko cztery słowa: Alfred Miodowicz – Lech Wałęsa; chodziło mi o to żeby z tej tremy nie zapomnieć, jak się oni nazywają”. • Reporterzy «Kuriera» stwierdzili, że Miodowicz przyjechał do telewizji jasnym polonezem, Wałęsa zaś – srebrnym volvo; Reporterzy «Expressu Wieczornego» byli odmiennego zdania: Miodowicza dostrzegli w polonezie czerwonym, Wałęsę natomiast – w kremowym mercedesie. • Ostatni wywiad z Himilsbachem opublikował «Przegląd Tygodniowy». Ostatnie pytanie dotyczyło okrągłego stołu. Odpowiedź: „Przy okrągłym stole trudniej kogoś okantować, ale łatwiej zrobić w jajo... Wie pani, jest w Warszawie niedaleko Hotelu Europejskiego na Krakowskim Przedmieściu taki okrągły dom. Jak przyszli do Piłsudskiego projektanci, on powiedział: Panowie, tylko bez kantów... No, to pobudowali mu okrągłak... Czas pokaże jakie po tym spotkaniu pozostaną budowle.” • Edward Gierek rozczytywał się podobno w *Traktacie o dobrej robocie* Tadeusz Kotarbińskiego; ściskając prawicę sędziwego profesora zapewniał go, że członkowie partii budują drugą Polskę zgodnie z zasadami prakseologii. Dobra robota... DO-RO, DO-RO RUMUNSKIE DEZODORO – pisała poetka charakteryzując epokę Edwarda Groteskowego. „Trudno być prakseologiem – zauważa dziś «Trybuna Ludu» – kiedy sens życia wyznacza poszukiwanie sprzeczności i pola walki (chodzi o sens życia opozycji – ZM). Profesor Tadeusz Kotarbiński większą część swego *Traktatu o dobrej robocie* poświęcił przeciw pragmatycznej zasadzie rozwiązywania konfliktów bez uciekania się do konfrontacji. Więcej, napisał on, że świadomość rodzenia się sytuacji konfliktowych powinna prowadzić do ich unikania zanim powstaną”. Czyżby Kuroń i Michnik nie mogli zrozumieć Kotarbińskiego? „Czyżby naprawdę tak trudno było być prakseologiem w chwili, kiedy potrzeba rozwiązywania konfliktów staje się najważniejszym nakazem politycznym i szansą powodzenia reform?” • Jeszcze o prakseologii. W jaki sposób kupić w PRL-u telewizor kolorowy Iskra? Z ogłoszenia? Owszem, trzeba jednak przepłacić pół miliona złotych. Tygodnik «Veto» proponuje mniej kosztowną metodę: skorzystanie z usług „informatyka”, „człowieka” i „stacza”. „Informatyk” to osobnik, który na warszawskiej Skrze – największym bazarze Europy – poda za 10 tysięcy złotych adres sklepu, w którym „człowiek”, za kolejne 30 tysięcy zdradzi termin dostawy telewizorów. Kilka albo kilkanaście dni przed upływem terminu wynajmuje się „stacza” a więc osobnika, który za jedyne 150 tysięcy złotych stać będzie pod sklepem czekając na towar i sfinalizuje szczęśliwie transakcję. • Aukcję pamiątek związanych z Józefem Piłsudskim zorganizowano w sali poznańskiej Desy. Jak donosi reporter «Przeglądu Tygodniowego» „największe, bo jedynastokrotne przebicie zyskał tpey scyzoryk z portretem Marszałka na okładzinie (cena wywoławcza tysięcy złotych) (...) Kokardkę biało-czerwoną z munduru hallerczyka z 1919 roku kupił ktoś za 2200 (500). Brązową odznakę lwowską 'Za obronę Dworca Głównego' sprzedano za 250 tysięcy (6000). Ktoś okazyjnie nabył lancę ułańską za 110 tysięcy, gdy cena wywoławcza była tylko o 5 tysięcy niższa (...)

Spadła z licytacji unikatowa tkanina żakardowa z wizerunkiem Marszałka i cytatem z jego przemówienia: *Przyjdą takie czasy, których znamieniem będzie wyścig pracy*. Na kilka dni przed imprezą organizatorzy otrzymali list od terrorystów grożących wysadzeniem Desy w powietrze. List podpisany był: "Stowarzyszenie Bytłych Więźniów Pierwszego w Świecie Obozu Koncentracyjnego w Berezie Kartuskiej". • Kuriozalny wybryk jednego z najbardziej znanych współczesnych poetów polskich Jerzego Harasymowicza jest kolejnym przyczynkiem do historii antysemityzmu w naszym kraju. Harasymowicz, którego sentymentalne wywody na temat nacjonalizmu i Romana Dmowskiego skwitował kąśliwie felietonista «Polityki» – KTT, odpowiedział listem do redakcji, w którym czytamy m. in.: „Pomijam ordynarne i prymitywne inwektywy podjeżdżające knajpą w Wołominie, staram się tylko znaleźć w tej stercie brukowego chamstwa coś, co jest siłą napędową naszego Napoleona felietonu i, niestety, znajduję. Jest nią judocentryczny punkt widzenia na wszystko, co żyje w naszym kraju i na dodatek chce mieć – przepraszam – śmieć inne zdanie niż KTT. Przeto, gdy przebiliśmy się przez gęsty smrodek felietonu KTT, stało się jasne dlaczego (...) KTT nienawidzi i boi się spiżowej postaci Romana Dmowskiego, który jest twórcą współczesnego patriotyzmu polskiego; patriotyzm ten jest dla KTT czymś zapewne niesłychanie dalekim, prawie egzotycznym (...) urojony bełkot KTT i miotane przez niego obelgi na każdego, kto przyznaje się do tego, że jest Polakiem i to we własnym kraju – każe mi widzieć w KTT tylko sprawnego i bystrego żurnalistę. Duchowego szmalcownika, duchowego przybłędę, rezonera dla ubogich. Rezonerom świetnie się żyje i dyryguje naszym słowiańskim, dobrotliwym krajem”. KTT – ze swojej strony oznajmił, iż choć «Polityka» nie zamieszcza zazwyczaj podobnych temu listów „tym razem gorąco prosi redakcję o jego wydrukowanie. Rzuca on właściwe światło na spiżową postać poety Jerzego Harasymowicza oraz wyjaśnia czytającej publiczności rzeczywiste poglądy i sposób myślenia endecji oraz dzisiejszych pogrobowców Romana Dmowskiego”. • Kolejny fragment wspomnień Franciszka Szlachcica drukowanych na łamach «Życia Literackiego» nosi tytuł „Chciałem destalinizować MO”. Autor opowiada, jak to w roku 1956 objął stanowisko komendanta wojewódzkiego MO w Katowicach. Wkrótce potem odbywała się partyjna konferencja wyborcza. Komendanta uprzedzono z góry, że na pewno zostanie wybrany, lecz nie wiedzieć czemu denerwował się i niecierpliwil: „Chciałem zabrać głos, przedstawić się sali i zabiegać o wyborców. Przewodniczący Konferencji wywołał delegata Bajera i po nim zapowiedział mój głos. Okazało się, że towarzyszy Bajera jest dobrym, typowo śląskim mówcą (...) Mówił krytycznie, wesoło i o wielu sprawach (...) 'W Polsce i u nas narzeka się na UB i Milicję. Ja ta ich krytykował nie byda. Jem trzeba pomóc, mają niemało kłopotów, nawet im samochód ukradli. Co jak co, ale wstyd okradać milicję. Proponują zaapelować do złodziei o zwrot samochodu'. Jak na złość przed tą konferencją ukradziono nam jeden z trzech radiowozów”. • I jeszcze jeden fragment prozy wspomnieniowej Franciszka Szlachcica: „W pierwszych miesiącach pełnienia nowych obowiązków byłem poddany trudnemu egzaminowi. Chodziło o ochronę meczu piłki nożnej między Polską a ZSRR w Chorzowie. Mieliśmy jeszcze świeżo w pamięci niedawne wydarzenia w kraju oraz dramat węgierski. Przed meczem poprosiłem więc

Jerzego Ziętka, by porozmawiał z Gerardem Cieślikiem, najlepszym naszym strzelcem, żeby w razie czego, na przykład złośliwego faulu, łagodził napięcie. W czasie tej rozmowy wyszła na stadion reprezentacyjna orkiestra górnicza i zagrała "Hej, kto Polak, na bagnety!". Mecz zakończył się zwycięstwem Polaków. „W czasie kolacji dla gości przewodniczący naszego związku piłki nożnej dziękował radzieckim zawodnikom, że pokazali jak się powinno grać (jakby to oni wygrali). Na to kierownik drużyny radzieckiej odpowiedział: *Tawariszcz, nie walajcie duraka*".

• Miesięcznik «Konfrontacje» publikuje rozmowę z Krystyną Kersten, docentem Instytutu Historii PAN: „Warto by się ustosunkować do wysuwanego już w czasie okupacji i powtarzanego jeszcze długo później poglądu przypisującego Związkowi Radzieckiemu intencje wcielenia Polski do ZSRR jako siedemnastej republiki związkowej”. – „Jeszcze i dziś zdarzają się ludzie z maniakim uporem podtrzymujący ten pogląd. Opierają się na rozmowie pułkowników Pluty-Czachowskiego i Muzyczki z generałem Bukojemskim, odbytej w 1974 roku. We wczesnym okresie okupacji, a więc po rozwiązaniu KPP, a przed powstaniem PPR, podobne opinie wysuwali członkowie konspiracyjnych grup komunistycznych: Sierp i Młot i Stowarzyszenie Przyjaciół ZSRR. Według tych koncepcji Polska miała być jedną z bardzo wielu republik światowej republiki rad (...) Wbrew tym poglądom i wbrew temu, że niektórzy polscy komuniści mogli do końca uważać, że takie wcielenie nastąpi, wszystko wskazuje na to, że Stalin w żadnym momencie nie miał podobnych planów. Historycy najróżniejszych orientacji są co do tego zgodni”.

• Jak Katowice zostały Stalinogrodem – przypomina reporter «Przeglądu Tygodniowego». Nazwę miasta na „prośbę” Komitetu Wojewódzkiego PZPR zgłoszoną „w imieniu mas pracujących” zmieniono tuż po śmierci Stalina, 7 marca 1953 roku, w tym samym dniu, w którym „prośba” przesłana została do Komitetu Centralnego. Początkowo zaszczyt ten miał spotkać Częstochowę, ale pomysł upadł kiedy jeden z członków Biura Politycznego zapytał: A pielgrzymi będą chodzić do Matki Boskiej Stalinogrodzkiej? W Październiku 1956 roku Stalinogród znowu był Katowicami a Gustaw Morcinek, znany śląski pisarz, który trzy lata wcześniej wygłaszał w Sejmie mowę uzasadniającą przemianowanie Katowic na Stalinogród, tłumaczył się, że „nakazano mu tylko zreferować z trybuny sejmowej już z góry powziętą uchwałę (...) Do dziś właściwie nie wiem, kto był sprawcą tego przemianowania (...) Już wtedy gdy wygłaszałem swoje czytane przemówienie przeczuwałem, że sieję wiatr, by zbierać burzę. Koledzy posłowie bowiem ziewali haniebnie, najmłodsza koleżanka posłanka pokazała mi język, narażając na szwank powagę Sejmu a w kilka dni później zaczęły napływać do mnie listy anonimowe z pogrózkami. I wciąż jeszcze napływają...” „Inna sprawa – konkluduje reporter – że dziś coraz mniej osób pamięta tę 3.5 letnią nieobecność Katowic. Na 17 katowickich licealistów zapytanych o Stalinogród – 11 odpowiedziało, że to miasto w ZSRR, 4 nie słyszało o nim wcale, 2 znało prawdę”.

• Miejska Rada Narodowa w Katowicach podjęła uchwałę, mocą której ulicy Andrzeja Żdanowa, ciągle jeszcze istniejącej w tym mieście, przywrócono dawną nazwę – Koszarowa. „Brzmi to wdzięczniej i bardziej swojsko – komentuje «Kurier Polski» – Wracamy do korzeni!”

• Jan Walc w krytycznym artykule o *Portrecie Sławomira Mrożka (Konserwatywne uwagi o postępcu – «Tygodnik Kulturalny»)* zastanawia się,

czy przypadkiem nie nadeszły takie czasy, że miarą demokracji jest dostarczenie każdemu obywatelowi możliwości pośmiania się ze Stalina i z tych, którzy niegdyś traktowali go serio. „Może to jest sposób na społeczne odreagowanie tego wszystkiego, co się stało, może każdy potrzebuje mieć nie tylko kurę w garnku, ale i Stalina na strzelnicy. Tyle, że gdzieś tu pojawia się kwestia smaku, tak, smaku. Bo ta strzelnica musi mieć charakter jarmarczny i żałośnie zastępczy; obok strzelnicy jest zazwyczaj karuzela oferująca możliwość dosiadanania dzikich mustangów albo innych lwów, tak żałośnie tekturowych... Więc pytanie: czy trzeba się będzie przyzwyczaić do tekturowego Stalina?” ● Pod olbrzymim nagłówkiem ABSURDALNA WYROZUMIAŁOŚĆ «Trybuna Ludu» publikuje list swojego rozgoryczonego czytelnika: „Mam syna (16 lat), który pyta: dlaczego władza tak łagodnie obchodzi się z bojkotującymi zajęcia wojskowe studentami? Nie potrafim mu sensownie odpowiedzieć, nie umiem wskazać innego równie bezradnego państwa (...) Mam żal do mojej gazety, że milczy w tej trudnej sprawie, że ogranicza się do podawania komunikatów PAP i nie zajmuje żadnego stanowiska jako organ mojej partii. Z uwagi na syna – nazwisko tylko do wiadomości redakcji”. ● Słynny *Rok 1984* Orwella w nowym przekładzie Tomusza Mirkowicza ukazał się w PRL-u nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego. „Szkoda tylko – zauważa słusznie Lektor z «Tygodnika Powszechnego» – że wydawca ani słowem nie wspomniał o swoich poprzednikach, a Artur Sandauer w użytym zamiast postowia niedobrym i płytkim artykule przemilczenie zmienia w dezinformację, pisząc, że *Rok 1984* był u nas ‘nie wydawany’. Ależ był, był, wielokrotnie wznawiana paryska edycja Instytutu Literackiego (przekład Juliusza Mieroszewskiego) przedrukowywana była i to nie raz przez wydawnictwa drugiego obiegu – w Bibliotece Narodowej znajdzie Pan Profesor zapewne egzemplarz”. ● Polska Agencja Prasowa poinformowała o uchwale Sądu Najwyższego podjętej „w pełnym składzie Izby Cywilnej i Administracyjnej”. Uchwała stwierdza, że „przewidziany w prawie celny zakaz przywozu do kraju publikacji o treści szkodliwej dla dobra interesów PRL, nie dotyczy publikacji zagranicznych sprowadzanych i gromadzonych przez upoważnione do tego biblioteki (...) Kierownicy kilku resortów oraz sekretarz naukowy PAN zostali upoważnieni do ustalenia wykazu placówek bibliotecznych mogących kompletować takie wydawnictwa. Określono zasady ich przechowywania i udostępniania. PAP wyraża przekonanie, że „uchwała wiążąc wszystkie sądy przecina w ten sposób wątpliwości, jakie powstawały na styku przepisów celnych i ustawy o cenzurze”. Komuniści mają język gętki... Aby przeciąć wątpliwości na styku przepisów muszą najprzód związać wszystkie sądy. ● „Polszczyzna jest piekielnie trudnym językiem, właściwie nie do przełożenia – zauważa w «Trybunie Ludu» Wojciech Żukrowski, prezes neo-ZLP. – Jakże go można przewrotnie formować! Ile stwarza możliwości dla tego, kto go czuje jak uległe tworzywo! Pozwala na wyrażenie każdego odcienia tkliwości, oczarowania miłosnego, wabi i kotysze... Zajrzyjcie do jednej z najpopularniejszych powieści zachodnich *Love story*, w kółko te same ubożuchne wezwania *My honey! My sweetheart!* i już muszą przechodzić na wulgaryzmy, bo braknie im słów, gdy my mamy naszą miłą, najmiłszą, miłuchoty, umiłowana, miłości moja...” Swoje „rozważania o ojczystej mowie” Wojciech Żukrowski przygotował na obrady II Kongresu Kultury Języka Polskiego.

Honorowym patronem tej imprezy, obecnym na sali, był generał armii, towarzyszył Wojciech Jaruzelski.

STYCZEŃ

• **WIDZĘ JAJA PO 150 ZŁOTYCH!** – prorokował Wernyhora na rysunku Andrzeja Młeczki sprzed laty. Rysunek, przypomniany przez Macieja Kozłowskiego w artykule „Wróżby noworoczne” («Tygodnik Powszechny») dawno przestał śmieszyć. Wprawdzie jaja są, na razie, po 70 złotych, ale cena dwukrotnie wyższa nie wydaje się bynajmniej nieprawdopodobna. Kozłowski opisuje dramatyczne zjawiska społeczne związane z inflacją i pogłębiającym się podziałem Polaków na „dewizową szlachtę” i „złotówkowy plebs”: „... na przełomie listopada i grudnia przekroczyliśmy kolejną barierę – nastąpiło zrównanie wyrażonej w dolarach wartości miesięcznej średniej płacy w Polsce (46 tysięcy złotych) ze średnią stawką godzinową w USA (15-18 dolarów). Ustawia to na zupełnie innej płaszczyźnie wszelkie dyskusje o emigracji stałej i zarobkowej, patriotyzmie, godności itd. (...) W takich warunkach pojawienie się jakiegoś Robespierre’a, który rzuci hasło, żeby zabrać bogatym a dać biednym jest wysoce prawdopodobne, tym bardziej, że ten sposób myślenia stanowił podstawę oficjalnej pedagogiki społecznej przez całe lata. Mało tego, ów Robespierre może łatwo zyskać poklask i poparcie, co stałoby się kolejną tragedią”. Artykuł Kozłowskiego wyraża powszechne obawy. Czyżby komuniści szykowali „operację Janosik”? • Asystent Instytutu Filologii Rosyjskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego Grzegorz Przebinda opisuje w «Tygodniku Powszechnym» swoje dziewiętnastomiesięczne zmagania z Głównym Urzędem Celnym, który na podstawie jednego, tego samego przepisu raz zabierał a raz oddawał mu przywiezione z zagranicy książki i czasopisma. Na warszawskim Okęciu powracającego z Paryża Przebindę ogogocono z wszelkich wydawnictw i papierów. „Pozostawiono mi jedynie *Rozmówki polsko-francuskie* (choć – zdesperowany – też chciałem je oddać) i *Utwory zebrane* Solżenicyna po rosyjsku. Dziwnym trafem, bo np. Zoszczenko został skonfiskowany, a książka Andrieja Siniańskiego o Rozanowie z dedykacją autora spotkała się z ironiczną uwagą celniczki: To takich ma pan znajomych?!” • Justyn Sobol – znany z groteskowych wypowiedzi rzecznik prasowy Głównego Urzędu Kontroli Publikacji i Widowisk oznajmił, że nieprawdą jest, iż zarządzenie prezesa GUKPiW pozbawia debitu komunikacyjnego w PRL-u większości polskich czasopism wydawanych na emigracji. „Aktualnie – wyjaśnił Justyn Sobol – pozbawionych debitu jest łącznie 6 czasopism zagranicznych (wszystkie są polskojęzyczne). Tymczasem choćby opracowana przez Jana Kowalika *Bibliografia czasopism polskich wydanych poza granicami kraju od września 1939 roku* (wyd. KUL, Lublin 1986) w tomie piątym, obejmującym lata 1973-1984, odnotowuje 360 tytułów polskich czasopism wydawanych na emigracji”. • Podczas rewizji w mieszkaniu architekta Zbigniewa Zgorzałka z Kętrzyna funkcjonariusze SB zakwestionowali cztery pierwsze numery legalnego czasopisma «Res Publica» oświadczając, że jest to wydawnictwo bezdebitowe. „Czy mogę mieć nadzieję – zapytuje Zgorzałek w liście do redakcji – że gdyby kolegium orzekło przepadek numerów Waszego pisma umożliwicie mi Państwo nabyć je ponownie?” „Oczywiście” – odpowiada redakcja. W kolejnym

liście pechowy architekt informuje «Res Publikę», że otrzymał wezwanie na kolegium obwiniony o posiadanie bez zezwolenia pistoletu sygnałowego „Start” (który można kupić w sklepie z zabawkami) a więc o wyroczenie określone w Ustawie o broni, amunicji i materiałach wybuchowych. „Być może dojdzie do tego – konkluduje – że kupując w sklepie zapalniczkę zostaniemy obwinieni o posiadanie bez zezwolenia urządzenia do miotania gazu”. • Kolejny teatr spalił się w Warszawie! Po Teatrze Narodowym poszedł z dymem Teatr Rozmaitości. Straty są miliardowe. Podejrzewa się umyślne podpalenie albo zaproszenie ognia przez nieuwagę. W Rozmaitościach grano ostatnio *Gałązkę rozmarynu* oraz *Tytusa, Romka i Atomka*. Reporterka «Polityki» donosi, że dyrektor spalonej placówki – Ignacy Gogolewski „na domniemanie, iż pożar wybuchł w wyniku zaproszenia ognia, na przykład przez porzucenie niedopałka, miał tylko jedną odpowiedź – zaciągnął się „Wiarusem” i rozpalonego papierosa rzucił na nieimpregnowaną wykładzinę podłogową. Podczas piętnastu minut rozmowy podłoga nie zapaliła się”. • Andrzej Szczypiorski w rozmowie z redaktorem tygodnika «Wprost»: „Nie mam pojęcia, skąd biorą się te nasze cholerne kompleksy (...) Nie zdajemy sobie nawet sprawy z tego, cośmy dali Europie dzięki temu, że u nas narodził się ruch Solidarności. Proszę sobie wyobrazić, że w epoce, kiedy świat był wstrząsany całą serią wybuchów terrorystycznych, w Polsce rodził się ruch, który dokonał olbrzymiego przewrotu społecznego, nie wybijając ani jednej szyby. Przecież w tej nazartej Europie nagle stało się coś, co można porównać tylko do dokonań Gandhiego. I pan powie, że my niewiele wnosimy do rozwoju duchowości i kultury innych narodów...?” • W samo południe – czytamy w «Tygodniku Mazowsze» – sanitariusz pogotowia ratunkowego w Gorzowie Wielkopolskim Robert Korcz wdrapał się na słup wysokiego napięcia i wywiesił tam dwa transparenty: „Ja, Korcz, żądam w PRL sprawiedliwość” oraz „Ja, Korcz, żądam w PRL demokracji”. MO i SB otoczyły słup odcinając sanitariuszowi dopływ żywności i napojów. „Po 24 godzinach, członek Rady Regionu Solidarności Zbigniew Bodnar i ks. Eugeniusz Jankiewicz namówili śmiałka, by zszedł ze słupa”. • Autobiografia Lecha Wałęsy (*Drogi nadziei – bestseller* we Francji) ukazała się nakładem OW Rytm. «Tygodnik Mazowsze» informuje, że „gdy na stoisku uniwersyteckim pokazało się pięćdziesiąt okazowych egzemplarzy tej książki, rekin podziemnego kolportażu zwrócił się do wydawnictwa proponując kupno na pniu jednej czwartej nakładu. Mimo wysokiej, nawet jak na drugi obieg, ceny – 4300 złotych za dwa tomy – skrzynki zamawiają na potęgę (...) OW Rytm na chwilę swojego triumfu: to przyjemnie wydać tak rozchwytywaną pozycję. Triumf skądinąd zasłużony, bo książka wydana jest pięknie, można powiedzieć zawodowo: duży, czytelny druk, fotografie, staranna introfigatorka, przyzwoita okładka”. Jak wiadomo, próby wydania autobiografii Wałęsy w Znaku do tej pory nie powiodły się. • Węzówce kolejki stały pod księgarnią Iskier, w której pojawiły się *Dzieci Arbatu* Rybakowa oraz pod księgarnią PIW-u, gdzie rozchwytywano *Dzieła dramatyczne* Samuela Becketta w przekładzie Antoniego Libery. Duże ożywienie wśród kupujących wzbudziła wiadomość, że Libera – najwybitniejszy bodaj znawca Becketta w całej Europie wschodniej – pojawił się na zapleczu księgarni i

przez chwilę osobiście doglądał sprzedaży. ♦ Leszek Kołakowski przyjechał do Polski! Jego pierwsza po dwudziestu latach wizyta w kraju stała się sensacją życia intelektualnego i towarzyskiego. Światowej sławy humanista, w marcu 1968 roku pozbawiony profesury Uniwersytetu Warszawskiego spotkał się ze studentami i wykładowcami tej uczelni. Powitany owacją, Kołakowski opowiedział zrazu anegdotę o Aleksandrze Wertyńskim, który powróciwszy do Moskwy po wielu latach emigracji postawił walizki na lotnisku, wznosił ręce do góry i zawołał: „O, Rosjo moja, ja cię nie poznaję!” Gdy opuścił ręce i ku swojemu zdumieniu nie odnalazł już walizek, dodał: „A jednak cię poznaję” ♦ Na spotkaniu w warszawskim Klubie Inteligencji Katolickiej, Leszek Kołakowski zapytany został m. in. o dzisiejszej znaczenie schematycznych podziałów na lewicę i prawicę. Filozof odparł, że wydarzenia w Polsce ostatecznie chyba zakwestionowały ten schemat. Co prawda – dodał – czasopismo «Polityka» ma rubrykę „na lewicy”, w której odnotowuje na przykład, co powiedział nowo mianowany szef KGB albo prezydent Ceaucescu, albo co się stało w Mongolii. Bo oni tak wyznaczają lewicę... Ja według jednych kryteriów jestem na lewicy, według innych na prawicy. Ale, co mnie to obchodzi... (cytujemy według relacji ze spotkania w «Tygodniku Kulturalnym»). ♦ W najnowszym (24) numerze «Arki» członkowie dyskusyjnego klubu, który skupia sympatyków piśma, informują, że „Klub nie zamierza ubiegać się o legalizację. Uważamy, że dla dobra życia politycznego, którego naturalną częścią składową są kompromisy, należy utrzymać pewne obszary życia intelektualnego, które od takich kompromisów winny być wolne. Swoboda dyskusji i wymiany opinii nie jest i nie może być negocjowana w kategoriach pragmatyki i politycznych przetargów. Tylko przy zachowaniu takiej zasady może nie dojść do zatarcia granicy między tym, co prawdziwe a tym, co możliwe, zaś zatarcie tej różnicy ma równie katastrofalne skutki dla życia społeczeństwa co polityczna nieudolność jego przywódców lub intelektualna słabość elit umysłowych”. ♦ „Proszę zauważyć – pisze Jan Andrzej Kłoczowski, OP w artykule „Co dalej polski inteligencie” («Tygodnik Powszechny») – że w okresie legendarnych już 16 miesięcy potrafiliśmy odtworzyć zaledwie świat narodowych symboli, w nikły sposób odzyskując sferę podmiotowego myślenia właściwego ludziom inteligentnym i wolnym. Ten świat był może skuteczny jako język manifestacji, ale to za mało... Trzeba iść dalej i głębiej (...) Określamy siebie mianem indywidualistów – ale to złudzenie. Aby stać się indywidualistą – trzeba stać się indywidualnością, a ta powstaje przez srogą i twardą pracę nad sobą, swoim charakterem. Jesteśmy raczej zwierzętami czułymi i stadnymi. Zranieni – garniemy się do innych, by wspólnie lizać swe rany, spędzamy wiele godzin dziennie na rozmowach terapeutycznych i wzajemnych pocieszeniach. To fascynuje ludzi z Zachodu, złaknionych czegoś więcej niż tylko formalnych więzi i rzeczowych układów. To wynika bynajmniej nie z naszej siły, lecz ze słabości”. ♦ I jeszcze jeden fragment tego mądrego tekstu wygłoszonego przez autora w czasie sesji „Etyczne dylematy nauki i nauczania” zorganizowanej przez Oddział Krakowski Towarzystwa Wolnej Wszechnicy Polskiej: „Katastrofa polskiej oświaty jest powszechnie znanym fenomenem. Jest ona uwarunkowana mnogością czynników i byłoby rzeczą naiwną sądzić, że zdołamy szybko wymyślić drogi jej naprawy. Ale można

już teraz i to natychmiast postawić postulat – jak powietrze potrzebne są nam prawdziwe elity (...) Trzeba w tym celu spełnić przynajmniej dwa warunki: zmianę opinii społecznej, która proponuje raczej postawy egalitarystyczne, wrogie lub niechętne wszelkim elitom; po wtóre zaś, trzeba zaraz wywierać nacisk na władze oświatowe, aby umożliwić powstawanie szkół, w których formowałyby się takie elity. Wszystkie państwa, których rządy myślą o przyszłości na dystans dłuższy niż do wiosny mają systemy wychowujące elity – by wspomnieć francuską *Ecole Normale Supérieure* czy radzieckie szkoły matematyków”.

• Zwołanie Kongresu Kultury Polskiej zapowiedziała Polska Agencja Prasowa. Projekt zgłosił wiceprzewodniczący Narodowej Rady Kultury. Obecny na posiedzeniu tego ciała Artur Międzyrzecki w liście do redakcji „Tygodnika Powszechnego” stwierdza, że „w obecnej sytuacji środowisk twórczych, oficjalne instytucje kulturalne nie mają realnych szans na zwołanie kongresu o znamionach autentyczności. Byłoby to jeszcze jeden objaw niewczesnego triumfalizmu, inicjatywa odstręczająca elitę pisarską i artystyczną – i utrwalająca stan skłócenia z inteligencją twórczą (...) Jest tajemnicą poliszynela, że gigantyczny i kosztowny dla państwa Kongres Kultury Polskiej zorganizowany w latach 60 przez ekipę Zenona Kliszki, stanowił zadufaną odpowiedź tej ekipy na list 34. Kongres ówczesny nosił charakter oficjalno-urzędniczy i jego wartość polityczna i kulturalna równała się zeru. Czy nie szkoda energii i zasobów finansowych na przedsięwzięcie o żałośniejszych jeszcze perspektywach?”

• Ukazało się piętnaste wydanie Encyklopedii Popularnej PWN (z uzupełnieniem sięgającym rozpoczęcia rządów przez M.F. Rakowskiego). Przeglądając to kompendium wiedzy Jan Prokop stwierdził, że pomija ono m. in.: „Sołżenicyna, Dubczeka, Wałęsę, Sacharowa, Brodskiego (Josifa), Nowaka-Jeziorańskiego, Edelmana (Marka), Kołakowskiego, Arendt (Hannah), Koestlera, Dżilasa, Herlinga-Grudzińskiego, patriarchę Tichona, Niekrasowa (Wiktora), Mieroszewskiego (Juliusza), Giedroycia (Jerzego), Tischnera, Zambrowskiego, Bermiana (Jakuba), Radkiewicza (ministra), Radka, obu Zinowiewów, Berię (wraz z pojęciem berio-wszczyzny), Jeżowa (i jeżowszczyznę), Jagodę... Nie znajdziemy tam także skądinąd znanej miejscowości Katyń, a o skądinąd znanym kraju kołymskim przeczytamy: *liczne jeziora; tundra; hodowla reniferów*”.

• Półtorej kolumny druku zajął w „Tygodniku Powszechnym” artykuł Adama Michnika o moskiewskich spotkaniach Andrzeja Wajdy. Autor artykułu, mimo zaproszenia radzieckiego Związku Filmowców oraz delegacji wystawionej przez Jerzego Turowicza, do Moskwy nie dojechał: „tak zdecydowali podwładni prof. Aleksandra Krawczuka”. Na marginesie „pytań do Andrzeja Wajdy” Michnik zauważa: „Mam nieodmienne wrażenie, że polska opinia publiczna nie rozumie zmian zachodzących w ZSRR – ich zasięgu, dynamiki i charakteru (...) sędzę wszelako, że od zrozumienia tego zależy może kształt polskiej przyszłości. Wieloletni antyrosyjski kompleks i pokusa tkwienia w umysłowym polonocentryzmie nie pomagają rozumieć współczesnej Rosji. Wszelako przez to niezrozumienie przegapić możemy najlepszą koniunkturę i przegrać możemy największą szansę tego pokolenia. Powiedziałem tak jednemu z przyjaciół. Jeśli to napiszesz – odrzekł – to powiedzą, że zaprzedałeś się. Trudno. Niech mówią. Takie czasy...”

• Specjalna komisja ministerstwa kultury i sztuki udała się

do Rudek koło Lwowa, by dokonać oględzin mumii Aleksandra Fredry, znajdującej się w grobowcu rodzinnym komediopisarza. Grobowiec mieści się w kościele, który władze sowieckie przerobiły na magazyn spożywczy („w nawie głównej jeszcze dziś mieszczą się towary sypkie, w nawie bocznej były towary płynne i garmażerka”). Magazyn ten wielokrotnie plądrowany był przez rabusiów, zachodziły więc obawy, że mogli oni okraść i zbezczeszczyć zabalsamowane zwłoki. Przewodniczący ministerialnej komisji, znany fredrolog prof. Bogdan Zakrzewski, który był już swego czasu w Rudkach i od stróża magazynu dostał w podarunku kciuk Aleksandra Fredry „obciągnięty palcem rękawiczki z jełonkowej skórki”, w relacji opublikowanej na łamach «Życia Literackiego» stwierdza, że wbrew plotkom, szczątki Fredry oraz członków jego rodziny ocalały, choć cynowe trumny, w których się znajdowały oddano na złom. Przed przyjazdem polskiej komisji, miejscowa administracja zarządziła przeprowadzenie porządków. Mumię Aleksandra Fredry najprawdopodobniej uszmkowano i wyszczotkowano ostrą szczotką. „Z tego powodu – stwierdza prof. Zakrzewski – wyleciały wszystkie włosy z czaszki (są tylko nikiel ich ślady) oraz przestały istnieć wąsy. Na kościach policzkowych, nosowej i szczęki pojawiły się różowe smugi o odcieniu lekkiego karminu”.

• Stanisław S. Nicieja, autor *bestsellera* *Cmentarz Łyczakowski we Lwowie* opowiada w tygodniku «Kultura» o powstaniu tej książki, traktowanej długo „jako prywatny zamach na nienaruszalność układów jałtańsko-poczdamskich”. W połowie lat siedemdziesiątych Nicieja przebywając jako stypendysta w ZSRR pojechał do Lwowa i czekając tam całymi tygodniami na pozwolenie skorzystania z bibliotek i archiwów zaczął wykonywać dokumentację fotograficzną Łyczakowa. W roku 1982 opublikował na łamach mało znanego miesięcznika «Opole» szereg artykułów na ten temat. Po każdym z nich otrzymywał setki listów „od lwowian z różnych stron Polski, ba, z różnych stron świata (...) W ten naturalny sposób zaczęło powstawać w moim domu coś na kształt archiwum Łyczakowa”. Dzisiaj – stwierdza autor książki – cmentarz ten, choć doszczętnie zdewastowany, „ciągle pełni rolę najgodniejszej, reprezentacyjnej nekropoli miasta. Trwa formalna walka o to, by tu pochować swoich bliskich (...) Pomiędzy groby polskie wchodzą więc groby ukraińskie i rosyjskie i nietrudno zgadnąć, kto wygra w tej rywalizacji. Kiedy byłem ostatni raz we Lwowie widziałem kompletnie już zniszczony grób wielce zasłużonego dla polskiej historiografii Ksawerego Łysińskiego. Widać było dosłownie rozwaloną trumnę i szkielet. Podobnie z grobem Walerego Łozińskiego (...) To tylko kwestia czasu, kiedy takie mogiły zostaną przekopane i zmienią właścicieli (...) Podjedzie maszyna, zetrze stary polski napis a kamieniarze wystukają nowy, już cyrylicą”.

Opracował ZM

RECENZJE

POTEGA ZDROWEGO ROZSĄDKU Wanda Zwinogrodzka

„To wcale nie wymagało wielkiego charakteru / nasza odmowa niezgoda i upór / mieliśmy odrobinę koniecznej odwagi / lecz w gruncie rzeczy była to sprawa smaku” – rzekł przed laty Zbigniew Herbert. Sformułował tym samym stanowisko artysty. Wspomnienia młodszego o jedno pokolenie Jakuba Karpińskiego dają wyraz postawie intelektualisty. Ustępują oczywiście poezji Herberta urodą stylu i literackim kunsztem. Zawierają jednak równie prostą i aż do kokieterii skromną odpowiedź na pytanie o źródło trzeźwości umysłu, który potrafi się oprzeć zniewoleniu; „w gruncie rzeczy była to sprawa zdrowego rozsądku” – zdaje się mówić autor *Taternictwa nizinnego*.

Obie te konstatacje napawają niejakim optymizmem. Pozwalają wierzyć, że wystarczy kilka prostych pojęć, by widzieć rzeczy jasno i sądzić sprawiedliwie. Ani jedna ani druga nie tłumaczy, dlaczego tak wielu ludzi tylekroć zawodziły dyspozycje. zdawałoby się nieodłączne od ich powołania: artystów – poczucie smaku, intelektualistów – rozsądek. Dlaczegoż zarówno Herbert jak i Karpiński byli w swej postawie „odmowy, niezgody, uporu” dość osamotnieni aż do połowy lat siedemdziesiątych. A może obydwa wyznania, a zwłaszcza wyznanie Karpińskiego należy interpretować nieco inaczej? Może trzeba w nim widzieć rodzaj dowodu, że opinia o zbiorowym szaleństwie fałszywej wiary jest znacznie przesadzona?

Istniał przecież świat od tego szaleństwa wolny, świat ludzi obdarzonych smakiem i zdrowym rozsądkiem. niewykluczone że zbyt często zapomina się o jego istnieniu. Kłopot w tym, że relacji z tego świata mamy wciąż jeszcze niedostatecznie wiele. Warto więc taką relację przedstawić. Wolno chyba taką właśnie intencję odczytać z kilku zdań wstępu, jakim Karpiński poprzedził swą książkę: „Staram się w niej zdać sprawę z wydarzeń, tak jak je widziałem, także dlatego, że czytając inne opisy, miałem wrażenie, że autorzy nie mówią o tym, co znam z własnego doświadczenia.”

Treścią tego doświadczenia jest historia niezależnej świadomości spisana na przestrzeni lat trzydziestu. Zaczyna się ona tuż po wojnie wspomnieniem dziecięcych zabaw pośród ruin Warszawy. Kończy w połowie lat siedemdziesiątych, w przededniu wypadków w Radomiu i Ursusie, który to moment przywykło się uważać za ostateczny kres złudzeń polskiej inteligencji co do ustroju, w którym jej żyć wypadło i zarazem bodziec dla powstania struktur oporu. Ale w historii Karpińskiego na żadne złudzenia nigdy nie było miejsca. Było w niej wiele spraw, które złudzenia wykluczały, i wielu ludzi, którzy nie chcieli, a pewnie i nie mogli się im poddać. Bowiern cechował ich zdrowy rozsądek.

To wystarczało – zaświadcza Karpiński – żeby już w szkole podstawowej przeniknąć orwellowskie kłamstwa podręczników historii. Zwykła dziecięca ciekawość kazała sięgać do starych książek i czasopism, a książek przedwojennych było w latach pięćdziesiątych wcale nimało. Były w domu, ale były także w prywatnych antykwariatach, gdzie szukało się sensacyjnych *bestsellerów*, wydanych przed rokiem 39. One właśnie, obok roczników «Przekroju» i «Skamandra», obok ilustracji Orgelbranda wskazywały drogę do wiedzy niekonwencjonalnej, nieznannej programom szkolnym. Nie tylko one. Modna wśród rówieśników pasja filatelistyczna pozwalała rozumieć historię najnowszą w sposób nieprzewidywany w wersji propagandowej. Na znaczkach sprzed wojny widniały wizerunki osobistości, o których obecnie nie wspomniano, to kazało na własną rękę szukać wiadomości. Listy od stryja z Wilna z lat 39-40 miały znaczki litewskie, w katalogu firmy Gryżewskiego figurowały wydania „Poczty osiedli polskich w Italii” – znaczki obozowe z Murnau i Drugiego Korpusu. Dociekliwość filatelisty przynosiła wiedzę inną niż lekcje historii, zdrowy rozsądek nie pozwalał ufać im bez reszty.

Z lekcjami historii też zresztą nie było tak najgorzej. W liceum nauczyciel okazywał jawną pogardę dla podręczników. Nie był wcale odosobniony w swoim krytycyzmie. Wszyscy dorosli byli wówczas „przedwojenni” i wiedzieli swoje. Tych, którzy nie wiedzieli bądź udawali, że nie wiedzą – łatwo było rozszyfrować. Na obozach harcerskich wyjaśniano wprawdzie skomplikowaną symbolikę chusty, której trzy rogi wywodzą się z istnienia trzech organizacji (partii, ZMP, harcerstwa), ale przecież wiadomo było, że chusty harcerskie istniały przed tymi organizacjami. Instruktorzy wydawali się śmieszni, tym bardziej, że zwracając się do nich trzeba było używać dziwacznej formuły gramatycznej: „słuchajcie, jak przyjdziecie, to zobaczycie”. Fikcja nowego wspaniałego świata była bardzo nieudolna, nawet dziecięcy zdrowy rozsądek z łatwością ją dyskredytował.

Tak wyglądały pierwsze doświadczenia, reszta stanowi ich konsekwencję. Październik nie był żadnym przebudzeniem ze złego snu, Październik to było kilka lat, podczas których wolno było więcej niż przedtem. Przedtem słuchało się jazzu w Głosie Ameryki, teraz w Sopocie i Gdańsku. Nie namiętności rewizjonistów decydowały o klimacie uniwersyteckim, w każdym razie nie tylko one. „Wbrew temu, co zdarzyło mi się później czytać, uniwersytet, na którym studiowałem nie był marksistowski” powiada Karpiński. To na Wydziale Filozofii wykładali Kotarbiński, Tatarkiewicz, Ajdukiewicz, Ossowsky. To ich wykłady przykuwały uwagę w tak wielkim stopniu, że jeszcze po dwudziestu latach można odtworzyć je z pamięci. Uczyły między innymi precyzji myślenia, dzięki której rozsądek zyskiwał oręż w postaci metody. Pozwalało to odkryć intelektualną mizериę marksistowskich zaklęć i w rezultacie zaklęcia te traciły wszelką moc.

Potrzebna była jeszcze tylko „odrobina koniecznej odwagi”, by w roli asystenta uczyć studentów socjologii metod pozyskiwania wiedzy o gomufkowskiej Polsce, zwłaszcza tej nieznannej z pierwszych stron gazet. By uczestniczyć w demonstracjach marcowych, nawiązywać kontakty z emigracją, przemycać przez granicę treści zakazane. Aby w więzieniu nie pozwolić się wciągnąć w pułapki policyjnej sofistyki i konsekwentnie odmawiać zeznań. Przecież właśnie zdrowy rozsądek podpowiada nam, że nie warto ułatwiać zadania człowiekowi, który przygotowuje nasz akt oskarżenia. Precyzja myślowa także pomocna jest w więzieniu – dzięki niej lęk w obliczu zawitych paragrafów prawa przeistacza się w ironiczną pogardę. Ponury komizm kodeksu ujawnia zdroworozsądkowa analiza jego treści. Po odsiedzeniu wyroku zdrowy rozsądek z kolei, doskonale broni przed

załamaniem. Uczy, że „zakręt więzienny” nie może być powodem „zmiany dotychczasowych zainteresowań”, ponieważ nie ma w tym nic dziwnego, że biografia miewa zakręty. Tak właśnie wygląda „taternictwo nizinne”. Sprawa zdrowego rozsądku. Nic więcej.

Niedługa relacja Karpińskiego zdana po trosze żartobliwym tonem, zadziwia czytelnika nawykłego do rodzimych stereotypów. Zamiast rozwozić się nad gehenną czasów stalinowskich, autor opisuje spektakl teatru absurdu, w którym były i sceny z teatru okrucieństwa: Zamiast zgłębiać zamęt panujący wówczas w niektórych głowach, opowiada o świecie, w którym podobny zamęt wydawał się dziwactwem. Zamiast biadać nad ograniczeniami cenzury, wspomina o rozlicznych ścieżkach, z których nawet uczeń czy student potrafił skorzystać, by dotrzeć do prawdy. W sprawozdaniu z wypadków marcowych nie znajdziemy nic z bolesnego rozczarowania inteligenta, który nagle pojął perfidię systemu. Znajdziemy w tym miejscu polemikę z wierszem Krynickiego: „I naprawdę nie wiedzieliśmy”. Znajdziemy też zdumienie treścią ówczesnych studenckich dyskusji: „Można tam było usłyszeć powiedzenia, które wydawały mi się dziwne, zwłaszcza jako pochodzące od kontestatorów: naród był kolekcją kooperujących zakładów pracy, kardynał Wyszyński wrogiem, krzyż symbolem politycznie podejrzanym”. Z kolei w relacji o pobycie w Strzelcach Opolskich próżno szukać śladów więziennej martyrologii, jest za to kapitalny opis więziennego mikrokosmosu.

Oryginalność *Taternictwa nizinnego* na tym się nie kończy. Jest to również oryginalność intelektualna. Karpiński posiada nieczęsto w naszej humanistyce spotkany dar ścisłego myślenia. Dzięki temu, na marginesie swoich wspomnień, raz po raz zgłasza uwagi, które wskazują fałszywość najbardziej nawet rozpowszechnionych i – wydawałoby się oczywistych – opinii. Jak na przykład tej, która utożsamia antysemityzm z nacjonalizmem, podczas gdy przecież „antysemityzm (...) nie jest nacjonalizmem, bo nie świadczy o pozytywnym stosunku do jakiegokolwiek narodu”. Przykładów tej oryginalności jest oczywiście więcej. Autor najwyraźniej nie gustuje w przechadzkach utartym szlakiem myśli, zaprezentowana przezeń wizja historii powojennej konkuruje z obiegowym stereotypem. Nie składa się wyłącznie z Polskich Miesiący przedzielonych latami bliżej nieokreślonej pustki. W *Taternictwie nizinnym* Październik, Marzec i Grudzień jawią się jako burzliwe epizody, które przelotnie zakłócają bieg czasu. Płyne on swoim torem również wtedy, gdy o żadnych poważnych wstrząsach społecznych nie ma mowy. Ten czas także ma własne oblicze, własny smak, pozostawia ślady w pamięci i dzięki temu zasługuje na uwagę historyka.

Obojętność wobec szablonowych postaw i szablonowych sposobów określiła też ostateczną wymowę książki. W tej autobiografii dysydenta nie ma nic z Grottgerowskiego kostiumu. Zamiast patosu, którego czytelnik przywykł się spodziewać po lekturze podobnych wynurzeń – otrzymuje sporą dawkę ironii. W *Taternictwie nizinnym* ani przez chwilę nie słychać jęklanych zawođen „wybili, panie, wybili!” – o tym, że wybili wiadomo po prostu z faktów. Nie ma też deklamacji o poświęceniu w imię wartości pisanych wielkimi literami. Karpiński zadawała się zwiezłym opisem drogi, która małego filatelistę i klienta prywatnych antykwariatów zaprowadziła na ławę oskarżonych, do więzienia, a wreszcie – na emigrację. Co więcej, próbuje czytelnika przekonać, że była to droga całkiem prosta i oczywista. Nic nie pozwala sądzić, że autor wspomnień czuł niewysłowioną słabość do martyrologicznej legendy i w gustownym płaszczu Konrada pragnął cierpieć za miliony. Po prostu widział jasno, miał dość zdrowego rozsądku, by nie

dać się uwieść żadnym mętnym iluzjom. Z tego, co widział wyciągał wnioski, na nich budował swoje przekonania i następnie starał się postępować w zgodzie z tymi przekonaniem. To wszystko. Sprawa zdrowego rozsądku.

Na pozór rzecz jest jasna, ale tylko na pozór. Nawet przyjąwszy, że skromność Karpińskiego jest nieco przesadna, czytelnik staje w obliczu kłopotliwego dylematu. Liczni autorzy przyzwyczaili go do zupełnie innego obrazu przeszłości. W tym obrazie najczęściej miejsca zajmują opisy trudnej i wyboistej drogi, jaką pokonała inteligencja polska, by wreszcie uświadomić sobie, że w świecie fikcji nie warto partycypować. Była to droga kolejnych złudzeń i samozaprzeczeń. Albo więc trzeba przyjąć, że zdrowy rozsądek jest wśród inteligentów cechą zgoła deficytową, albo też – obraz przeszłości nie jest zbyt ścisły.

Tej ostatniej wątpliwości nie da się przecież wykluczyć. Może nasze wyobrażenie o powojennej rzeczywistości jest nazbyt uproszczone? Może powstało na podstawie świadectw jednostronnych, spisanych przez ludzi, którzy fikcji nie potrafili się oprzeć i tę swoją słabość skłonni byli przypisywać pozostałym? Może obok świata fikcji istniał przez cały czas świat zdrowego rozsądku – tyle, że nie miał zbyt wielu okazji do publicznych wystąpień? Może o tym drugim świecie wciąż jeszcze wiemy zbyt mało? Kto wie, czy nie z tego właśnie powodu jego kontur zatarł się w naszym obrazie przeszłości tak dalece, że dziś wydaje się prawie niewidoczny? Może przyszedł czas, by ten właśnie kontur odtworzyć w pamięci?

Książkę Karpińskiego warto przemyśleć.

Jakub Karpiński: *Taternictwo nizinne*. Instytut Literacki, Paryż 1988; str. 125.

WYPRZEDAŻ GOMBROWICZA

Janina Katz-Hewetson

Hossa Gombrowicza trwa. Niedawno ukazały się dwie książki: *Jaśniepanicz* Joanny Siedleckiej w kraju, i *Rity Gombrowicz – Gombrowicz w Argentynie*, w oficynie Pulsu w Londynie. Każda na swój sposób fascynująca (choć pierwsza przynębiająca, a druga – niemal szczęśliwa), niewiele wnoszą do tej wiedzy o Gombrowiczu, którą on sam udostępnił w *Dzienniku*. Raczej ją potwierdzają i ułatwiają odbiór; stąd słowo „wyprzedaż” w tytule mojej recenzji.

Jaśniepanicz Joanny Siedleckiej jest dla mnie realistycznym potwierdzeniem pierwszej wersji *Operetki*, którą Gombrowicz zatytułował *Historia*, i której on sam, bosi Witold, był głównym bohaterem. Siedlecka opowiada historię Polski powojennej; losy rodziny Gombrowicza, przyjaciół i znajomych, w każdym niemal wypadku tragiczne, może z wyjątkiem obrotnego brata Jerzego, jedyne go z całej rodziny, który umiał się urządzać w socjalistycznym systemie. Ukochany brat Janusz, inteligentny, pełen fantazji, zaradny, umysłowością najbardziej przypominający Witolda, żył w Polsce powojennej w całkowitej abnegacji i nędzy. W książce Siedleckiej niemal wszyscy są „bosi”, a miejsca dzieciństwa i młodości Gombrowicza, Małoszyce i Bodzechów, brzydkie i

zaniedbane. Jak w owej scenie w *Ślubie*, o której w *Rozmowach* Gombrowicz powiada, że pisząc ją, rozplakał się, a w której padają słowa: „nic, nic, nic, przeinaczone, powykręcane, zrujnowane...”. Gombrowicz pisząc ją, myślał o własnym życiu. Ale opisał także to, w co zamieniła się Polska: w karczmę, do której każdy wchodzi i w której każdy udaje kogo innego niż jest.

Książka Siedleckiej składa się z wywiadów z rodziną, z przyjaciółmi, znajomymi, była służbą. Także z rozmów z tymi, którzy z Gombrowiczem zetknęli się dopiero po wojnie: w Paryżu, w Berlinie, w Vence. Siedlecka nie miała okazji spotkać się z Ritą Gombrowicz; opowiadają jej o niej ludzie, którzy zetknęli się z nią we Francji lub w Warszawie. I wszyscy mówią to samo: inteligentna, ładna, elegancka, taktowna, bezkompromisowa w sprawach wydawniczych. Absolutnie lojalna w stosunku do rodziny Gombrowicza, wypełniająca bez reszty jego wolę. Własne komentarze Siedleckiej są skąpe i pełne taktu. Krajobrazy okolic, wnętrza mieszkań, osoby z którymi przeprowadza wywiady, sytuacje, w których do nich dochodziło, szkieletowane są sucho, rzeczowo, z psychologiczną bystrością, umiejętnością eksponowania realiów, a także ze sporą dozą pisarskiego talentu. „Jako reporterce chodziło mi – powiada we wstępie – o utrwalenie najdrobniejszych nawet śladów pamięci o nim, jakakolwiek byłaby, choć nie zawsze uważam ją za zgodną z rzeczywistością...”. Celem książki są więc: rzeczywistość i legenda – w wypadku Gombrowicza trudna do odróżnienia – pamięć i brak pamięci. Relacje tych, którzy go kochali, cenili, byli nim zafascynowani, i tych, którzy go nie lubili, uważali za zgrzywacza, za pozera wypisującego dziwactwa. (Jerzy Andrzejewski znalazł się w tej ostatniej grupie w towarzystwie Barbary Witek-Swinarskiej, autorki sfingowanego wywiadu z Gombrowiczem, zamieszczonego niegdyś w krakowskim «Życiu Literackim»). Ci, którzy go czytali i nie czytali (większość). Przed wojną: szlachecki dziwak, nie jeżdżący konno, nie grający w karty, nie tańczący z pannami. „herbaciarz”, jak nazywano go w Małoszycach i Bodzechowie, bo nic nie robił, tylko pił herbatę, palił papierosy, pisał i spał do południa. Po wojnie, poza krótkim okresem, pisarz zakazany, oczerniany, odsądzany od narodowej czci i wiary. *Jaśniepanicz* jest także książką o tych, którzy pielgrzymowali do niego i o tych, którzy spotkań z nim raczej unikali. Do ostatnich należą dwaj wyborni pisarze – Herbert i Mroźek. Herbert: „Nie przepadam za rozmowami z pisarzami... To tylko rozdrażnienie, przypomina spotkanie dwóch ciężko chorych... Ceniłem i cenię twórczość Gombrowicza... Lecz jego dzieła, czyli to, co najważniejsze, naprawdę mi wystarczają”. A Mroźek: „Nie, nie żałuję dziś wcale, że nie podejmowałem z nim gry i tym samym lepiej go nie poznawałem. Po co? Nie mam w sobie ciekawości intelektualnej tego typu; to nie moja dziedzina. Wystarczyło mi zawsze to, co pisał”. Ci dwaj zrozumieli lekcję udzieloną przez Gombrowicza w *Dzienniku*; tę, w której powiada, iż pisarz ujrawszy drugiego pisarza na ulicy, powinien prędko przejść na drugą stronę.

Książka Siedleckiej składa się także z listów. Z ogromnej ilości listów pisanych przez Gombrowicza do rodziny w Polsce: do braci, siostry i matki. Do znajomych i do służącej Anieli „Ciemnej”, którą bardzo lubił i która podyktowała mu słynne zakończenie *Ferdydurke*: „Koniec i bomba, a kto czytał ten trąba”. Był – o czym nie pisał w *Dzienniku* i nie opowiadał przyjaciołom w Argentynie – człowiekiem niezwykle rodzinnym i bardzo skrupulatnym w udzielaniu rodzinie pomocy. Pomagał im jak mógł, a raczej zawsze więcej niż mógł, jako że w Buenos Aires mieszkał w warunkach niemal równie

nędnym, jak oni, a jadał zapewne gorzej. Dotrzymywał terminów przesyłek pieniężnych, troszczył się o ich zdrowie, zabiegał u wpływowych znajomych o pomoc dla nich. Wybiegam trochę wprzód: w książce Rity Gombrowicz, Paolino Frydman, Polak, mistrz szachowy, który przyплыł do Buenos Aires tego samego dnia co Gombrowicz (21 sierpnia 1939), ale na innym statku i w kawiarni Gran Rex otworzył salę szachową – która wkrótce miała stać się drugim domem Gombrowicza – pisze: „Był to człowiek, który nigdy niczego nie zapomniał ani nigdy nie zaniedbał najdrobniejszego szczegółu”.

Dwa najładniejsze portrety w *Jaśniepaniczu*: Krystyny Zachwatowicz, wybitnej scenografki i dalekiej krewnej Gombrowicza, która w Polsce i we Francji robiła dekoracje do *Ślubu* (a wcześniej wszelkimi sposobami walczyła o wystawienie sztuki w Polsce) i małżeństwa, Stanisława i Teresy Sołtanów. Na dwa lata przed śmiercią Gombrowicza Sołtanowie odwiedzili go w Vence: poznali Ritę, „uznali Vence za szczęśliwy okres jego życia”. Rozmawiali między innymi o Polsce: „Interesowało go również, czy takie cechy Polaków, jak pijaństwo, bałaganiarstwo, słomiany ogień – są przejściowe, czy już nieodwracalne? Czy zdolni są tylko do zrywu i bitwy? Czy też jeszcze i do normalnej pracy? Codziennej, sensownej egzystencji? Czy w innych ramach umieliby żyć inaczej? W narodowej psychice zaszyły już, niestety, trwałe zmiany – uważał. Polacy zostali wewnętrznie spustoszeni. Pograżyli się w „wódce i kiełbasie” albo w cynizmie lub apatii. Nie był pewien – choć bardzo by chciał – czy mogliby się jeszcze z tego wyzwolić.

Swoim pisarstwem, jak mówił, chciałby pomóc rodakom w odzyskaniu duchowej niezależności i godności. Dlatego właśnie pragnął być w kraju wydawany i czytany. Marzył o Noblu, który być może otworzyłby jego książkom drogę do kraju”.

Rita Gombrowicz jest jeszcze mniej obecna w swojej książce niż Joanna Siedlecka, choć posłużyła się podobną metodą. Jej *Gombrowicz w Argentynie* składa się z wywiadów z ludźmi – rzadko ustnych, najczęściej są to spisywane przez nich wspomnienia – z listów Gombrowicza i z listów do Gombrowicza. Wywiady i listy Rita Gombrowicz poprzedziła krótkimi informacjami o osobach i traktującym o nich, adekwatnym passusem z *Dziennika*. Podobnie jak *Jaśniepanicz* jest *Gombrowicz w Argentynie* kopalnią wiedzy o pisarzu. Ale w istocie jest to książka o Argentyńczykach (przede wszystkim) i Polakach (w mniejszym stopniu), z którymi się zaprzyjaźnił: historia odbioru Gombrowicza przez innych i jego stosunku do nich.

Kim byli, kim stali się dla Gombrowicza, kim był Gombrowicz dla nich? Może poza jednym wypadkiem nie wydaje się, aby po latach, w konfrontacji z wdową po tak niezwykłym przyjacielu, stosowali wewnętrzną cenzurę, lukrowali swój stosunek do niego, że odpowiadają na apel osoby, która po nich stała mu się najbliższym człowiekiem. Książka Rity Gombrowicz jest nie tylko prezentacją środowiska, które natychmiast – wyrzucony na obcy ląd, bez grosza przy duszy, nie znający języka – umiał sobie tam stworzyć. Jest to także książka o miłości tych ludzi do Gombrowicza i jego miłości do nich. Niespotykany dokument przyjaźni z obydwu stron. Wielka powieść o edukacji intelektualnej i uczuciowej.

Kawiarnia, nałóg z przedwojennej, warszawskiej młodości, stała się, poza pisaniem, tym elementem, który w Argentynie stworzył Gombrowiczowi egzystencję i nadał jej poczucie ciągłości. W Buenos Aires zamiast Ziemiańskiej – Rex i Fregata. W Tandil, miejscowości, do której często jeździli po porzuceniu pracy w Banco Polaco, inny Rex i kolejna grupa młodzieńców-uczniów-przyjaciół. Jedni ściągali drugich. W kawiarniach

stało się prawie wszystko, co przez 24 lata określiło jego życie na innym kontynencie. W kawiarni Gran Rex grupa wyrostków przetumaczyła *Ferdydurke* pod przewodnictwem słabo znającego hiszpański Gombrowicza. Tu poznał Alejandro Rúsovicha, młodzieńczego studenta, jedynego z którym – według relacji Rity i własnej Rúsovicha – Gombrowicz „dzielił” życie; udęczony samotnością zaproponował mu, aby wynajął pokój w tym samym pensjonacie.

Jakaż to niesamowita przygoda: owa przyjaźń z chłopcami dwukrotnie od niego młodszymi, o różnych zainteresowaniach i statusie społecznym, z miejsca nim oczarowanymi, chłonnymi na jego grę, wykazującymi niezwykłą inteligencję, wrażliwość i chęć zabawy... na jego zasadach. W dziwacznej i tragicznej sytuacji w jakiej znalazł się Gombrowicz, oni stali się dlań deską ratunku. Byli jego drugą młodością, pomagali mu, gdy chorował, robili szum wokół *Ferdydurke* – zresztą według jego własnych, drobniagowych instrukcji. Gombrowicz nie zdołał się w Argentynie przebić, choć tu napisał największe swoje dzieła. Nie przyjęły go literackie salony, nie zaprzyjaźnił się z Borgesem. Z drugiej strony, on, który bez żenady zachwalał swój geniusz, z rozmysłem psuł sobie wszystkie sytuacje w Argentynie, od których zależało tam jego literackie „być albo nie być”. Alicja Giangrande, jedna z jego polskich przyjaciółek, opisuje przyjęcia z wpływowymi ludźmi, którzy mogli Gombrowiczowi pomóc, a które zawsze kończyły się umiejętnie prowokowanym przez niego skandalem. „Trudno się dziwić – pisze – że większość tych ludzi nie lubiła Gombrowicza. Miał specjalny talent do robienia sobie wrogów w świecie”. I – dodajmy – przyjaciół. Wspomniany już Paolino Frydman pisze: „Nie wiem, do jakiego stopnia cierpiał nad swoją nędzą. W każdym razie nie skarżył się. Nie zależało mu na luksusie. Miał mądrość zadawalania się niewielkim. Lubił Buenos Aires: „Tutaj życie pełne jest małych przyjemności”, powiedział mi kiedyś. Lubił lud argentyński, nie burżuazję. Całkowicie podzielałem te upodobania”.

Wyrwanie z bytu, wrzucenie w inny byt. Nędzne pokoje w pensjonatach, ubrania ofiarowywane przez bogatego znajomego, pisanie podczas godzin pracy w Banco Polaco, choroby. Jeśli Gombrowicz pokochał Argentynę i pomimo biedy prowadził w niej wspaniałe życie, było to zasługą jego niezwykłej osobowości – w tym dyscypliny twórczej – ale także cudem i wspaniałym przypadkiem. „Niedojrzała”, „młodsza” Argentyna okazała się zdumiewająco dojrzała na przyjęcie czegoś, co w życiu osobistym bywa najtrudniejsze: gromu, który uderzył w tych chłopców i który ich poprzemieniał. Jakże wspaniałe okazali się przygotowani na jego genialność, pozy i maniactwa. A on, jakby w przeciwieństwie do Iwony, która biernością i milczeniem wydobywała z otoczenia najgorsze jego cechy, wydobywał z nich, swoją błazenadą i gadulstwem to, co było w nich najlepszego. Był przyjacielem szczodrym i niezwykle wymagającym. Uczył ich wolności; uciekinier z Polski pogrążonej w najokrutniejszym losie i sam w nim pogrążony.

Rita Gombrowicz wspomina we wprowadzeniu do książki, że w swoją pierwszą podróż do Argentyny (1973) udawała się z obawami: „Upływało dziesięć lat od chwili kiedy Gombrowicz ją opuścił. Cóż mogłam tam znaleźć z jego przeszłości?”

Od pierwszej chwili po przyjeździe zrozumiałem, że moje żale i obawy były nieuzasadnione. Wspomnienie po nim ani nie uległo rozkładowi, ani nie umarło; było jakby uśpione i pragnęło by je obudzono... Podczas całego mojego miesięcznego pobytu miałam wrażenie, że biorę udział w radosnym święcie, regulowanym ścisłymi wytycznymi samego Gombrowicza... Te dziesięć lat nieobecności, które objęły jego śmierć i europejską sławę, w niczym nie naruszyły obrazu człowieka, którego ongiś znali i kochali”.

Chłopcy, którym nadawał pieszczotliwo-złośliwe przezwiska... Jego umiejętność odrębnego sposobu przyjaźnienia się z każdym z nich; odcienie tych przyjaźni świadczące o niesamowitej wręcz intuicji i znajomości ludzi. Wbrew własnej teorii o nieuchronnej, wzajemnej deformacji w „międzyludzkiem kościele”, Gombrowicz ich tam w najlepszym sensie tego słowa formował, ulepiał, reformował. Otwierał przed nimi inny świat, uczył myśleć nowymi kategoriami. Jorge di Paola, jeden z młodych adeptów z Tandilu, wyraził to bardzo precyzyjnie: „Dwie książki wywarły na mnie wrażenie: pierwszą był elementarz, z którego dowiedziałem się, że mama gniecie ciasto, a drugą *Ferdydurke*, która mi dowiodła, że ciasto gniecie mamę”.

Między rokiem 1957 a 1960 Gombrowicz spędził jedenaście miesięcy w Tandilu, niewielkiej miejscowości znanej z dobrego klimatu. Jego grupa z tamtejszej kawiarni Rex: czterech chłopcy, wszyscy poniżej dwudziestki. Dwóch z nich przeczytało przed poznanie go *Ferdydurke*. Jednym z nich był Mariano Betelú, utalentowany rysownik, w owym czasie rekrut, jedyny z którym Gombrowicz korespondował regularnie aż do śmierci. Betelú poznał Gombrowicza z Deolindą R. de Mauro, żoną kupca, czarownicą i śmieszną kobieciną, która z miejsca zachwyciła się nim i wynajęła mu pokój. Najpierw nie wiedziała, a potem udawała, że nie wierzy, że jest pisarzem. Strofowała Gombrowicza, kiedy wyjadał jej z lodówki owoce, zbyt żarłocznie jadł przy stole, lub „dziobał naftaliną, nazywając go przy tym złodziejem i brudasem. Wspomina: „Uwielbiał, jak go tak rugałam. Umierał z ochoty do śmiechu, ale tylko się uśmiechał, bo miał manieri światowca. Nie mógł śmiać się otwarcie”. Pewnego dnia Gombrowicz zawiadomił ją, że jedna z jego książek zostanie wydana we Francji. Deolinda zamieniła mały stolik przykryty ceratą, który stał w jego pokoju na „piękny, okrągły stół”, zerwała w ogrodzie laurową gałąź i ukoronowała go nią w obecności Betelú. Pisze: „Stałam z jednej strony, Marianito z drugiej, a wtedy on w laurowej koronie na głowie napisał Francji swoje *tak*”.

W kupcowej z Tandilu, jednej z moich ulubionych w tej książce postaci, Gombrowicz odnalazł jakby subtelniejsze wcielenie Anieli „Ciemnej”, oddanej słudze i przyjaciółki młodości. Z nią także miał kod na przyjaźń, inny niż z pozostałymi. Ale to ona pierwsza nadała jej właściwą dla obojga tonację. Zaś on, który zawsze traktował drugiego jako potencjalnego przeciwnika (lub wielbiciela), docenił w niej natychmiast chęć zabawy, dobroć, brak przesądów i fałszu. Po dwudziestu latach odkąd widzieli się po raz ostatni, Deolinda tak go opisze: „Witoldo był hermetyczny i zamknięty. Ale powoli, poprzez drobiazgi, człowiek zaczynał go kochać... To nie był człowiek, co od razu się otwiera. Nie był spontaniczny. Ale jak się go poskrobało, to czuło się, że chce mieć przyjaciół. Nawet o ile nie było to łatwe. Nie jesteśmy jednakowo zrobieni. Witoldo pisał do nas listy. Były takie krótkie, ale piękne, wszystko w nich było. W jednym z ostatnich napisał: 'Ja pamiętam i nie chcę być zapomniany'”.

Gombrowicz przybył do Argentyny jak przybywa się na pustynię lub jak rozbitek wyrzucony na pusty, obcy brzeg. Przemienił ją w żywność dla siebie i żywność dla innych ogród. Można tylko zazdrościć tym chłopcom z Buenos Aires i z Tandilu – a także jego tamtejszym polskim przyjaciółom, równie jak oni wiernym i cierpliwym – że tam właśnie rzucił go los czy przypadek. Ale też trzeba im przyznać, że od razu stanęli na wysokości wszystkich zadań, jakie im postawił.

Gombrowicz wspomina, że na pokładzie statku, którym w kwietniu 1963 roku odpływał z Argentyny, czytał Heideggera, i że to przyniosło mu ulgę. Tak się złożyło, że filozofia Heideggera, szczególnie to co pisał o powołaniu poetów i filozofów, stoi w całkowitej sprzeczności z faktem, że zaakceptował hitleryzm. Trudno mieć pretensje do artystów, że ich dzieło urzeka, a ich życie mierzi. Ale też jest czymś w rodzaju święta spotkanie pisarza, którego życie spójne było z dziełem, a świadectwa innych o nim tak ściśle przylegające do tego, co sam o sobie pisał i mówił.

Książka Rity Gombrowicz ukazała się najpierw w Paryżu w Editions Denoël, a potem została przetłumaczona z francuskiego i hiszpańskiego na polski. Niedawno w tym samym francuskim wydawnictwie wyszła jej nowa książka: *Gombrowicz w Europie: świadectwa i dokumenty 1963-1969*. Ostatni rozdział Księgi o życiu i twórczości Witolda Gombrowicza, najwspanialszej i najdziwniejszej przygody literatury polskiej dwudziestego stulecia.

Joanna Siedlecka, *Jaśniepanicz*. Wydawnictwo Literackie. Kraków 1987; str. 347.

Rita Gombrowicz, *Gombrowicz w Argentynie: świadectwa i dokumenty 1939-1963*. Puls, Londyn 1987; str. 278.

Książki polskie

w dużym wyborze

Proza · Dramaturgia · Poezja · Wspomnienia
 Dzienniki · Biografie · Literaturoznawstwo
 Polityka · Historia · Filozofia · Religia
 Sztuka · Literatura dziecięca · Czasopisma
 Słowniki · Podręczniki do nauki języków obcych
 Slavica Antykwarjat



«Wawel» · Stephanstraße 11 · D-5000 Köln 1
 Tel. (0221)-24.61.60

Katalogi wysyłamy bezpłatnie na każde żądanie

DRUGI BRZEG

PAN ROWMUND Karol Grabowski

W Londynie, 5 grudnia 1988 roku, zmarł po długiej chorobie prezes Rady Naczelnej PRW NiD (czyli Polskiego Ruchu Wolnościowego „Niepodległość i Demokracja”) i redaktor «Trybuny», Rowmund Piłsudski, działacz polityczny, wybitny i niecodzienny. Jego osobowość, zdolności, orientacje i jego nazwisko – sprawiają, że ten przedostatni z Piłsudskich (w Warszawie żyje jeszcze jego brat, kawaler) stanowi w polskiej historii politycznej zjawisko niepowtarzalne.

Nie urodził się w rodzinnych Czabiskach na Litwie, ale w Warszawie (13.2.1903 – był bardzo długo „młody”). Pochodził z linii starszej od tej, której ostatnim potomkiem był Józef. socjalista, Komendant Legionów, Naczelnik Państwa, Marszałek...

Młodość Rowmunda: studia – szkoła Morska w Tczewie, studencka działalność „polityczna” przywódcy „mocarstwoców” – upłynęła w Polsce niepodległej. Jako młody specjalista od spraw morskich, zdążył jeszcze przed wojną wejść do ministerstwa przemysłu, handlu i żeglugi oraz wziąć udział w misji do Francji, której sukces okrasily: Krzyż Zasługi i Legia Honorowa.

W 1939 przedostał się do Francji – nie do biur, ale do Podchorążówki w Coëtquidan, którą skończył z I lokatą. W Anglii postarał się o przydział do Brygady Spadochronowej, skąd – wobec odkładania „powrotu najkrótszą drogą” – dał się przydzielić (w mundurze) do ministerstw „handlu i żeglugi” i „prac kongresowych” i do „Rady Morskiej”. Zajął się zaraz akcją międzynarodową (Instytut Badania Zagadnień Międzynarodowych) i oddziaływaniem na brytyjskich gospodarzy, bo – jak mawiał – „po to zostaliśmy za granicą” on i jego koledzy. Oto kilka przykładów: redaktor «Whitehall News» (1943), tygodnika poświęconego wschodniej Europie (pierwszy ogłosił tajne paragrafy porozumienia w Jalcie!); redaktor «Anglo-Polish Review»; współzałożyciel „Middle Zone Association” (Brytyjczycy i przedstawiciele emigracji ze wschodniej Europy, 1944) i „London International Group” (1945, przekształconej później na „European Atlantic Group” przez koleżankę-dziennikarkę, E. Dangerfield); współinicjator „British League for European Freedom” (1944; pod przewodnictwem księżnej Atholl, której zorganizował przemówienie do kobiet walczącej Warszawy w 1944); akcja przeciwko Jalcie (26 posłów i lordów w opozycji); współzałożyciel ZPF (Związek Polskich Federalistów; wchodzący do Unii Europejskich Federalistów); działacz Ruchu Europejskiego (od 1953); akcja na rzecz granicy na Odrze i Nysie; itd.

Do polityki polskiej wewnętrznej wrócił w 1942 (niejawnie, bo w mundurze z jedną gwiazdką). Dołączył do „Zespołu” w Londynie, gdzie ludzie z młodego i średniego

pokolenia, z różnych środowisk politycznych i niezależni, o tendencjach „postępowych” i rewizjonistycznych (wobec stosunków przedwojennych w Polsce) spotykali się dla studiów „od podszewki” sytuacji polskiej i międzynarodowej, a wkrótce dla pośredniego oddziaływania. Z tego grona – gdy zdrada w Teheranie i Jałcie oddała Europę wschodnią Sowiecom, narzucając Polakom za granicą odmowę powrotu – wyszła inicjatywa powołania ruchu politycznego.

PRW NiD, założony w tydzień po Jałcie (19.2.1945), to rozdział historii polskiej emigracji. Zgodnie z postawionym ruchowi zadaniem współorganizowania „Wolnej Społeczności Polskiej poza Krajem”, nie było odcinka akcji, w której – przynajmniej na początku – nie było członków ruchu: SPK; ZPWB; ZPUW; później organizacje polonijne w krajach „diaspory”; polityka polska – w rządzie krótko, długo w opozycji, ale czynnej wszechstronnie; prasa i wydawnictwa; dobieranie się do akcji międzynarodowej; towarzystwa przyjaźni; międzynarodowe organizacje pozarządowe: sekcje polskie zagranicznych radiostacji; itd.

Od objęcia prezesury CKW (Centralnego Komitetu Wykonawczego), 20.7.1945, do „Zjazdu 40-lecia” i do końca życia, działalność polityczna Rowmunda Piłsudskiego pozostawała pod znakiem niepodległości i demokracji... Trzeba wspomnieć niektóre choćby z koncepcji i akcji przedsięwziętych, gdzie czuć jego wkład osobisty wyraźniej niż gdziekolwiek w dorobku zbiorowym, którego z raczenie prezes stale podkreślał, ciesząc się opinią wzorowego demokracji i dobrego kolegi w stosunkach organizacyjnych (osobnej analizy wymagają liczne artykuły w «Trybunie»):

– „sprawa człowieka”: troska stała, która znalazła należyte miejsce w „Zasadach Programowych” (Cz. I: „Karta wolnego człowieka”. Cz. II: „Karta wolnego Polaka”, a jej poddziały: „Polska w świecie” (nie „na księżycu”) i „Człowiek (znowu) w Polsce”...

– organizacja „diaspory” (bo widział emigrację długą): nie polskie getto, ale zespół instytucji polskich i polonijnych (obywatele obcy pochodzenia polskiego), powiązanych przez „kongresy” krajowe i światowe, „kongres” jako „lobby”, służące Polsce, a wraz z „kongresami” współkolegów niedoli – „lobby” wschodnio-europejskie: szanując zasługi i symbole, przeciwstawiał się tezie bezkrytycznej ciągłości „państwowej” i politycznej w odniesieniu do r. 1939, monopolowi „historycznych” partii i przecenianiu „legalizmu”...

Charakterystyczne „Rowmundowe” ujęcia znajdujemy w broszurce pt. „Dwudziestopięćlecie 1945-70”. O zbieżności „katastrofy jałtańskiej” i powstania PRW NiD pisze: „...widzieliśmy nie tylko zdradę Polski przez jej sojuszników, ale również konieczność poddania gruntownej rewizji wielu założeń dotychczasowej polityki polskiej...”. To stwierdzenie pozostaje aktualne, gdy na emigracji i w Kraju zmęczony naród zwraca do przeszłości bez uwzględniania odmiennej rzeczywistości... „Działanie polityczne... w coraz większym stopniu polega na szukaniu praktycznych rozwiązań dla konkretnych problemów politycznych, społecznych, ekonomicznych czy wojskowych...” Doceniał rewolucyjny wpływ nie doktryn a postępu technicznego.

O demokracji pisał: „Walka o demokrację to nie tylko walka o demokratyczny ustrój państwowy, ale także o wychowanie obywatela, by umiał myśleć i postępować demokratycznie...” A w Polsce, narażonej przez swe położenie geo-polityczne bardziej niż inne narody, „jakość człowieka... stanowi zabezpieczenie trwałości bytu i osobowości narodu...” O dążeniu do wolności pisał, że „...nie może być ograniczone tylko do sprawy

niepodległości... Postulat niepodległości... oraz postulat demokracji są ze sobą nierozwalnie związane..." Stwierdzał zaraz "...ściłą współzależność pomiędzy wolnością polityczną i sprawiedliwością społeczną...", nazywając to „demokracją dwuwymiarową”, do której dochodził „trzeci wymiar” – międzynarodowy, bo „...trwałe zabezpieczenie wolności i rozwoju Polski” (i nowoczesnego ustroju demokratycznego) znajdujemy „...w rozwiązaniach federalnych... w skali regionalnej, europejskiej i światowej... Dopiero bowiem federacja europejska może stworzyć warunki dla trwałego usunięcia niebezpieczeństwa niemieckiego, a światowa organizacja federalna – niebezpieczeństwa rosyjskiego... (nie mieszał tu Sowietów i Rosji; chodziło mu, aby po obaleniu lub upadku imperium sowieckiego – ubezpieczyć Europę przed groźbą, a naród wielkorusyjski przed pokusami hegemonii). Objaśniał swą koncepcję „federalizmu wielostopniowego”, który chroniłby mniejsze państwa przed supremacją wielkich.

Kończył broszurę przytaczając program sformułowany w październiku 1945 w publikacji „Zadania emigracji”. Postulaty te, aktualne po 25 latach, niestety, pozostają nimi nadal. Ostatni punkt brzmiał: „Wrócić do Polski, kiedy układ sił politycznych w świecie stworzy warunki dla wznowienia tam skutecznej akcji wyzwoleniczej”. Wola powrotu przyświecała mu stale; uważał równocześnie, że działanie narodu w Kraju, czynnik najważniejszy, wymaga odpowiedniej koniunktury, która by chroniła Polskę czy inne narody dążące do wyzwolenia, od zewnętrznej interwencji. Ten punkt „powrotowy” stał się – z inicjatywy Rowmunda Piłsudskiego – tematem żywych rozważań w łonie ruchu w 1956, niestety bardzo krótko... Innym dowodem stałego „zwracania się ku Krajowi” był założony przez prezesa PRW NiD w 1969 „Klub Zbieżnych Drog”, gdzie spotykali się przedstawiciele starej i nowej emigracji. Prezes doczekał się dołączenia do ruchu najnowszych emigrantów z okresu „wojny jaruzelskiej”...

* * *

Rowmund Piłsudski cenil (dyskretnie) przeszłość swej rodziny i swych ojczyzn: Litwy i Polski. Dbał o portrety rodzinne, jak i o cenne zbiory książek, rycin, medali, map i o stare meble... Dbał o dom... Jego pierwsza żona, Francuzka, zginęła w katastrofie morskiej w 1942. Owdowił drugą, Szkotkę, Margaret Rose Brodie, wybitną działaczkę w dziedzinie współpracy polsko-brytyjskiej i pomocy uchodźcom. Dzieci nie miał.

* * *

Jeden z „prześladowców” Rowmunda Piłsudskiego (miał ich wielu, jak i PRW NiD), Cat-Mackiewicz, nazywał go zawsze „Pan Rowmund” (żeby nie – „Piłsudski”). Ta złośliwość była w istocie nieumyślnym komplementem, wartym utrwalenia. Rowmund Piłsudski – w postępowaniu uprzejmy, uśmiechnięty, skromny – był świadomy własnej oryginalności i wartości, niepokorny, wierny swej służbie i sobie.

O MARII KURECKIEJ

Ewa Czerwiakowska

Mam przed sobą antologię zachodniobrzezińskich pisarzy, wydaną w 1985 roku przez Akademię Sztuk, opatrzoną tytułem *Berlin als ein Ort zum Schreiben* (*Berlin – miejsce do pisania*). Znalazł się tutaj fragment prozy Witolda Wirpisy i jeden z jego wierszy, a tuż obok wiersz Marii Kureckiej. Ta para pisarzy i tłumaczy wrosła w berlińskie środowisko literackie niemal od początku swego pobytu, to znaczy od 1972 roku. Dla mieszkających tu Polaków obecność w Berlinie Marii Kureckiej i Witolda Wirpisy była szczególnym punktem odniesienia, pewną stałą wartością w życiu kulturalnym. Nawet jeśli ktoś ich nie znał osobiście, wiedział o ich istnieniu i aktywnościach daleko wykraczających poza hermetyzm środowisk poszukujących wyłącznie narodowej tożsamości. Byli oni oboje zaprzeczeniem postaw nacjonalistycznych i uosabiali wręcz możliwość egzystencji w obrębie dwóch kultur – polskiej i niemieckiej. Dzisiaj zabrakło już tego punktu odniesienia, tego wyznacznika atmosfery intelektualnej miasta. Witold Wirpsza zmarł przed ponad trzema laty, a Maria Kurecka osiągnęła „drugi brzeg” w styczniu tego roku. Zamknięty został pewien rozdział, pozostało puste miejsce.

Marię Kurecką dane mi było poznać krótko przed jej śmiercią; poznać – to znaczy rozmawiać z nią i przebywać. Był to człowiek o niezwykle osobowości, ogromnej pogodzie ducha, poczuciu humoru i frapującym dystansie wobec siebie, niekiedy nawet autoironii. „Wie pani – mówiła – to nieźmiernie interesujące obserwować na sobie, jak człowiek się starzeje”. O swojej bliskiej śmierci wyrażała się jak o nieodwołalnej podróży albo przeprowadzce. Notabene, dom, w którym mieszkała, ma zostać niebawem zburzony. Z Polski wyjechała wraz z mężem, Witoldem Wirpszą w 1970 roku, a więc już po marcu 68 i antysemickiej nagonce. Wielokrotnie podkreślała, iż ważnym, bodaj najważniejszym powodem wyjazdu były właśnie tamte wydarzenia. Oczywiście, nikt ich do opuszczenia kraju nie zmuszał, ale pomimo to, czy – właśnie dlatego – nie było już tam dla nich miejsca. Nigdy potem do Polski nie pojechali. Maria Kurecka krótko przed śmiercią powiedziała: „Mam w sobie obrazy tych miejsc, mam w sobie zasób przeżyć. To pojedynczemu człowiekowi, wydaje mi się, na życie powinno wystarczyć”.

Wiele zbiegów okoliczności sprawiło, że najważniejszą część jej dorobku twórczego stanowią przekłady. Dzieciństwo w międzywojennym Gdańsku, gdzie granice językowe przebiegały przez podwórka bynajmniej nie przeszkadzając w zabawach, a potem nauka w gimnazjum Niepokalanek pod Warszawą, z obowiązkową łaciną i francuskim – to zapewne dodatkowe okoliczności. Decydująca jednakże musiała być skłonność do obcowania ze słowem, do wsłuchiwania się w jego brzmienie i wreszcie – upodobanie do zastawiania słów z różnych języków, szukanie ich równoległości możliwie bliskiej. Dopiero później miał nadejść czas – jak mówiła – „walki ze słowem”, pokonywania stawianych przez nie oporów, by zbliżyć się do sedna, nie tylko w sensie semantycznym, również w warstwie brzmieniowej, rytmicznej, barwie i nastroju. Praca translatorska – by znów odwołać się do określenia Marii Kureckiej – to jakby dobijanie się do zaryglowanych drzwi. Jej pierwszy opublikowany przekład przypadł na lata międzywojenne, kiedy to jeszcze jako uczennica gimnazjum spolszczyła rymowanym trzynastożłoguskowcem

fragment *Eneidy* Wergilego. Po wojnie, na czyjąś prywatną prośbę, przełożyła z francuskiego kilka ustępów *Dżumy* Camusa, co okazało się początkiem zawodowego już tłumaczenia. Potem, na zamówienie i „dla chleba” przekładała z angielskiego – jak mówią – grube i nudne książczyska. Czas jej największej pasji translatorskiej, przekładów z języka niemieckiego przyszedł później. Tłumaczyła Tomasza Manna, Hessego, Brocha, Lessinga, Schweitzera, by wymienić tylko najbardziej znaczące nazwiska. Przekład *Doktora Faustusa*, nad którym Maria Kurecka i Witold Wirpsza pracowali trzy lata, a więc dokładnie tyle, ile Mann potrzebował na napisanie oryginału, dostarczył materiału do pasjonującej książki-eseju opowiadającej o przygodach i zmaganiach tłumacza. *Diabelne tarapaty* ukazały się w 1970 roku nakładem Wydawnictwa Poznańskiego. Wystarczy otworzyć *Doktora Fausta* i przeczytać kilka początkowych zdań, by mieć mgliste pojęcie o skali trudności piętrzących się przed tłumaczem, i wymiarze owych tarapatów. Maria Kurecka pisała:

„I oto już pierwsze, krótkie i zaraz po nim następujące drugie, rozpaczliwie długie zdanie, zawierające w oryginale około stu pięćdziesięciu słów. Z kwestiami ubocznymi, zdaniami wtrąconymi, przerywane w połowie odautorską (umownie tylko „kronikarską”!) prośbą o możliwość zaczerpnięcia oddechu: „...proszę pozwolić mi zacząć na nowo” – jakże typowo Mannowskie zdańsko, zdaniszcze, aż niezdarne, mimo całej, widocznej przecież pokrewieństwo z tradycjami najlepszej niemieckiej prozy. (...) Nie do zniesienia, nie do „przeniesienia” tym bardziej byłby ów styl, gdyby nie tworzył wspomnianej już przez Heinego „poszóstnej karocy”, w której zawsze ktoś moźny siedzi – a tu jest nim wyraźnie dostrzegalny, z nadmierną nawet niekiedy starannością i precyzją wyrażony zamysł autorski, gdyby wszystkie kunsztowne spiętrzenia słów, różnorakie odmiany ich i wariacje były formalną jedynie igraszką. Ale tak nie jest”.

A przecież trudności, o których mowa nie wyczerpywały zakresu translatorskich tarapatów; dodać tu trzeba terminologię z najrozmaitszych dziedzin, od muzykologii poprzez filozofię, medycynę po czarną magię, czy „praktykę muzyczną” przenoszoną do warstwy językowej. Nie może więc tu już być mowy wyłącznie o „walce ze słowem” czy konkretnym układem słów. Taki przekład stawia szczególnie wymagania; potrzeba tu niebywałej gorliwości, drobiazgowych studiów i szperaniny. Jednocześnie trzeba ogarnąć całość dzieła, tak by pozostało ono również konstrukcyjnie „równoległe”, z zachowaniem wewnętrznego porządku i rytmu. Przekład *Doktora Fausta* piętrzył takie trudności, ale przecież każde najmniejsze tłumaczenie domagało się analogicznej gorliwości, ot, choćby przy okazji niemieckiej dziecięcej piosenki, która pojawiła się w powieści Hedwig Rohde *Orestes i wieloryb*. Maria Kurecka opowiadała: „Jest to bardzo popularna dziecięca piosenka, którą sama dobrze pamiętam z moich wczesnych lat, o surzeczcu, który pędzi przez las i poluje. Gdybym nie znała tej melodii, może byłoby łatwiej. Pamiętam, siedziałam wtedy w Oborach i mordowałam się nad tym przeraźliwie. Szło to tak: *Ein Jäger aus Kurpfalz / der reitet durch den grünen Wald / und schießt das Wild daher / und schießt das Wild daher. Jäger* to jeszcze obleci, to jest strzelec. Ale *Pfalz* to Palatynat, inaczej tego geograficznie nie pojmiemy. Na dodatek *Kurpfalz*. Trzeba by jeszcze jakichś elektorów dołożyć. Są wprawdzie ludzie, którzy dzisiaj na Kurfürstendamm, tę wystawową ulicę Berlina, mówią „Elektoralna”, i też mają rację. Ale w piosenkę tego wsadzić się nie da. Chodziłam, chodziłam. Mruczałam, śpiewałam. Ludzie patrzyli jak na pomyloną, bo jak coś takiego się wzepi, to jak pchła w ucho, no, nie ma

sposobu. Weszła z tego taka klejonka, ale przynajmniej było wiadomo, o co chodzi: „Strzelec do boru wpał / i konno przez zielony las / pędził, polował rad, / pędził, polował rad”.

Takimi doświadczeniami ze swej praktyki translatorskiej dzieliła się Maria Kurecka chętnie i zawsze były to opowieści pasjonujące. Warto jednak wspomnieć o jeszcze jednym jej fenomenie – tłumaczyła ona bowiem „w obie strony” (podobnie zresztą jak Witold Wirpsza), co jest niesłychaną rzadkością. I tak przyswoiła czytelnikom niemieckim powieści Witolda Wirpszy, Stanisława Lema, a w wydanej w 1981 roku antologii najnowszej poezji polskiej znalazły się jej znakomite przekłady poetyckie z Barańczaka, Zagajewskiego, Szarugi, Lipskiej, Sadowskiej, Pawłaka i innych.

Gorliwość tłumacza pochłaniała więc większość czasu, ale przecież nie wypełniła bez reszty jej twórczości. Obok wspomnianych *Diabelnych tarapatów* Maria Kurecka wydała także dwie książki biograficzne – o życiu i twórczości Andersena oraz *Dzieje Jana Sebastiana Bacha*. Tej ostatniej nie lubiła, nazywała ją „dziełem poronionym”, tak bardzo zmienionym redakcyjnymi poprawkami lat pięćdziesiątych, że prawie nie do zaakceptowania jako własne. I wreszcie napisała też Maria Kurecka monografię Tomasa Manna, obszerną pracę, która nigdy nie ukazała się drukiem; autorka była bowiem przez czas długi *persona non grata* w PRL-owskim życiu literackim. Najmniej jednak czasu pozostawiało na poezję; można wręcz powiedzieć, że Maria Kurecka raczej bywała poetką niż nią była. Trzeba tu znów sięgnąć do odległej przeszłości. Jej debiut poetycki, równoległy zresztą w czasie z translatorskim, przypadł na dwudziestolecie międzywojenne. Po wojnie natomiast jej wiersze ukazywały się sporadycznie w prasie literackiej i to jedynie dzięki – jak mówiła – uporowi życzliwych jej ludzi, skłonnych użerać się z cenzurą. Po wyjeździe z kraju drukowała pojedyncze wiersze w prasie emigracyjnej. I wreszcie w 1987 roku niezależna Oficyna Literacka wydała tomik jej poezji *Tę, dzieści wierszy*. W tych powściągliwych, niekiedy nawet lapidarnych wierszach ujawnia się znowu szczególna wrażliwość na słowo, jego strukturę i kryjące się w nim wieloznaczności. Samo słowo i język stają się zresztą często tematem wierszy – słowo jako „proteza” umożliwiająca porozumienie, język jako narzędzie poznania, ale i element mącący obraz świata. Kiedy indziej słowo poddane zostaje lingwistycznej niemal obserwacji, a wiersz zamienia się w „temat z wariacjami”. Doskonałe wycucie rytmu, rozłożenie akcentów, sposób łamania frazy sprawiają, że poezja ta jest muzyczna, niekiedy urzekająco melodyjna, albo znów zamierzenie chropawa. Do jednego z wierszy Maria Kurecka skomponowała nawet muzykę i odśpiewywała chętnie te strofy o „jednoróżcu białym wśród dostojnych gobelinów Cluny”.

Gdzieś na pograniczach wspomnień, prozy poetyckiej i eseju trzeba umieścić niedokończony dzieło Marii Kureckiej, *Ufo albo mój jedyny garnek*, prywatną opowieść o przeszłości, obcowaniu z historią i własną, niesłychanie pojemną pamięcią. Przedwojenny Gdańsk jest niezmiernie ważnym elementem tej opowieści; miasto dzieciństwa, miasto-znak minionej bezpowrotnie przeszłości, pomieszania języków, obyczajów, ludzi. Pamięć żyje tu w szczegółach, przedmiotach, ułamkach chwil; daje poczucie ciągłości, trwania w czasie, przywraca to nieuchwytnie nadając mu kształty, barwy, zapachy.

„I wstaje miasto. Wolne miasto. W dostojności swej gotyckiej i renesansowo-barokowym przepychu, w dźwięku dzwonów niezliczonych swych kościołów, i niepowtarzalnych zapachach słonej wody, smołowanych, słońcem nagranych desek, świeżo parzonej

kawy, i kwaśno dymiących cygar, w różnorodności kamiennych przedproży, sławetnych *Beischlagów*, na które wspiąć się można po paru schodkach, zakończonych kamiennymi kulami albo łbem jakiegoś potwora, do którego otwartej paszczy trzeba koniecznie wsunąć trochę drżącą ze strachu rękę. W złocieniach patrycjuszowskich kamienic i krętych ciemnych zaułkach”.

Pamięć żyje w szczegółach. Dzięki niej trwają obok siebie równolegle – gdańska ulica, gdzie mała dziewczynka przygląda się sprzedawcy kartofli, i Alt Moabit, berlińska ulica, przy której stoi secesyjny, przeznaczony już na zburzenie dom, z pustym dzisiaj mieszkaniem. Dwa stare, masywne biurka, dwie maszyny do pisania, książki, obrazy, fotografie, rysunek Güntera Grassa z dedykacją, zdjęcie Witolda Wirpisy stojącego na konarze ogromnego dębu, wielki wazon z mnóstwem zasuszonych róż, słowa zapisane w grubych zeszytach wyraźnym prostym pismem. Te przedmioty żyją już własnym życiem w dziwnych regionach pamięci. Tak jak kółko i łyżka z wiersza Marii Kureckiej.

Domy w których dawniej mieszkałam
przestały istnieć
Spłonęły
zawaliły się
gruz po nich wywieziono

Domy – nie inne miejsca
w których przebywałam:
sublokatorski pokój
komórka pod schodami
wiązka słomy w stajni

Domy o solidnych fundamentach
dachem mocnym zwieńczone
przy ulicach rojnych
w ogrodach barwistych
nad szarą rzeką

Pozostało z tych czasów zamierzchłych
jedynie srebrne kółko od serwetki
połyskliwe z wygrawerowanym monogramem
ważnym dzisiaj zaledwie warunkowo
i równie srebrna pięknokształtna
łyżka stołowa

Leżą razem w innym kraju
w ciemnym zakamarku
gdzie już tylko myślą
sięgnąć potrafię
A gdy myślę o nich
powracają ku mnie słowa Psalmisty:

„Człowiek
jako trawa dni jego
jako kwiat polny tak okwitnie
albowiem powionie wiatr nań
i nie ostoi się
i więcej nie pozna miejsca swego”

Połocz kółko
srebrnym blaskiem po stole
Łyżkę zanurz
w pożywnym rosole

Smacznego
kolego
póki jeśszcze życia twego
– smacznego!

Jakaż nieoczekiwana wolta w zakończeniu tego wiersza, nagły zwrot, ironia i dystans. Przywodzi mi to na myśl zapadłą w pamięć przedostatnią bodaj rozmowę telefoniczną z Marią Kurecką. Śmiertelnie już chora, na moje pytanie „Jak się Pani czuje?”, odpowiedziała z właściwą sobie werwą: „Jak groch przy drodze...”

SOS

Fundusz SOS Pomoc Chorym w Polsce apeluje o pomoc dla 29-letniej Stanisławy S., której musi być niezwłocznie przeszczepiony szpik kostny, bo w przeciwnym razie, po kilku tygodniach, umrze. Operację, niemożliwą w Polsce gotów jest przeprowadzić francuski szpital (w Créteil). Zbieramy pieniądze na ten cel. Za wszelką cenę chcemy uratować życie Stanisławy!

Dziękujemy serdecznie!

SOS COORDINATION POLOGNE

we Francji:
18 rue Claude Lorrain,
75016 Paris
France

w Anglii:
c/o Balinska-Szczerba,
110a Furness Road,
London NW10 5UG, UK

ARCHIWUM EMIGRACYJNE

PRZEMÓWIENIE KAZIMIERZA PAPPÉ AMBASADORA R.P. PRZY STOLICY APOSTOLSKIEJ W DNIU ŚWIĘTA NIEPODLEGŁOŚCI 1.11.1957 ROKU

Zostaliśmy na emigracji – nie wróciliśmy do Polski, gdy po ustaniu działań wojennych nasi alianci doradzali nam powrót pod okupację sowiecką. Nie wróciliśmy – gdyż jasnym był dla nas wtedy obowiązek dalszego prowadzenia walki o niepodległość; a wiedzieliśmy, że tej walki w kraju pod władzą sowiecką prowadzić nie będziemy mogli. Wzięliśmy na siebie zadanie walki o niepodległość Polski poza jej granicami.

To prawda znana. A należy o niej przypomnieć dlatego, że są dziś głosy, które twierdzą, że nastąpiła zmiana zadań emigracji, że Polacy, pozostali w wolnym świecie po drugiej wojnie światowej, już nie uważają walki o niepodległość Polski za swoje zadanie.

Skąd te głosy pochodzą? Dość wziąć do rąk reżymowy «Świat», przeznaczony dla emigracji, by zobaczyć, że insynuacje o dokonanej zmianie stanowiska, o zgodzie emigracji na obecny stan rzeczy w Polsce, na rządy reżymowe oparte o zależność od Moskwy, są pragnieniem reżymu Gomułki; reżym najchętniej widziałby przemianę emigracji walczącej o niepodległość, to jest przeciwko reżymowi i jego moskiewskim mocodawcom, w masę, która by się walki o niepodległość wyrzekła; oni by chcieli, by szeregi emigracji roztopiły się w masie różnych „Polonii” lokalnych, mniej lub więcej związanych wspomnieniami i sentymentem ze „starym krajem”, ale nie poczuwających się do prawa ani do obowiązku walki o uwolnienie tego kraju od obcego jarzma.

Spróbujmy się przyjrzeć racjom, które by nas skłonić miały do takiej zmiany stanowiska.

1. Mówią nam: „Zaszły w Polsce po październiku 1956 zmiany – a więc emigracja może zaprzestać walki o niepodległość”. Jasną jest rzeczą, że zmiany dotyczą stanowiska obywateli wobec reżymu: pozwolono im na krytykę niektórych zarządzeń *jus mormurandi*, zelżał terror osobisty. Nie równa się to odzyskaniu niepodległości, o którą w Polsce nawet upominać się nie można. Żądanie niepodległości i walka o nią w Polsce nie istnieje; jedynie emigracja o niepodległość może się dopominać i walczyć; i dlatego jej obowiązek prowadzenia tej walki jest tym bardziej wyraźny.

2. Mówią nam ze strony reżymu: „Nie ma okupacji; Polska jest wolna”. Stwierdzamy

obecność dywizji sowieckich w Polsce ludowej, na ziemiach wcielonych do ZSRR i w krajach sąsiednich. Stwierdzamy presję Moskwy na sprawy polskie. Stwierdzamy, że reżym Gomułki opiera się, jak i poprzednie, o wolę Sowietów. Wobec tego wolność sprowadza się do pewnego, dość ciasnego – i kurczącego się niestety – zakresu swobód poszczególnych obywateli – naród wolności nie ma. Wolność, o której mowa jest wolnością fałszywą.

3. Mówią nam jeszcze, a raczej mówiono nam: “Wolność w Polsce, choć niekompletna, ma tendencje rozwojowe”. Ta nadzieja, choć od początku bardzo nikła, została pogrzebana przez samego Gomułkę. Jego oświadczenia i poczynania nie pozostawiają co do tego żadnych wątpliwości: wszelki “gradualizm” okazał się złudną nadzieją, której zresztą nie mógł dzielić nikt znający istotę komunizmu. Dla tej złudnej nadziei wyrzekać się walki o niepodległość byłoby narodowym samobójstwem.

4. Mówią nam: “Zmieniły się czasy. Weszliśmy w okres panowania wielkich mocarstw. Niepodległości prawdziwej już nie będzie, wszędzie panować będą wielkie mocarstwa; nie można walczyć o niepodległość, bo jest ona nieosiągalna”. – Odpowiadamy: Nie wchodząc w teoretyczny spór, chcemy dla Polski takiej niepodległości, jaką ma Belgia lub Szwecja; nie takiej, jaką dają Łotwie czy Gruzji Sowiety.

5. Mówią nam: “Rosja jest wszechpotężna i niezwyciężona. Walka o niepodległość jest zatem beznadziejna”. – Odpowiadamy: jest to iluzja w ocenie potęgi Rosji. Nie ma wiecznych mocarstw. Rosja stale przechodzi przez kryzysy, po samodzięrcy-Stalinie kryzys jej potęgi jest widoczny i pogłębia się: w ciągu niecałych 4 miesięcy przeżyliśmy znów dwie rewolucje pałacowe. Należy liczyć się z możliwością takiego okresu słabości Sowietów, w którym odrywanie się narodów ujarzmionych będzie możliwe i zależne od ich prężności.

6. Mówią nam: “Rosja pozostając wielką potęgą pozwoli na rozwój kulturalny narodu polskiego w obrębie własnej władzy; nie ma ona zamiaru sięgania za Bug”. – Odpowiadamy: Kto tak mówi wypowiada prorocstwo o zmianie zasadniczej linii politycznej Rosji, prorocstwo to nie jest oparte na żadnych argumentach, jest sprzeczne z doświadczeniem. Rosja nie wykazuje wcale zamiaru wyrzeczenia się polityki eksterminacyjnej w stosunku do kultury, do której naród polski należy, wyrzeczenie się walki o niepodległość, dla złudnej nadziei korzystania z łask zmienionej Rosji, mogłoby tylko wzmocnić program zniszczenia kultury zachodniej, który Rosja wykonuje konsekwentnie. (Kijów i Smoleńsk; Mińsk i Kamieniec; Lwów i Wilno).

7. Mówią nam: “Rosja nas broni od Niemców, więc nie powinniśmy dążyć do niepodległości”. “Sojusz polsko-sowiecki” – nie mówiąc o tym, że jest on właściwie stosunkiem zależności Polski od Sowietów – może jednak łatwo okazać się w zmienionych warunkach mniej wartościowym dla Sowietów i mogą one wrócić do sojuszu sowiecko-niemieckiego, skierowanego przeciw nam. Ten nietrwały i w praktyce równy okupacji fałszywy “sojusz” z Sowietami nie może nam zastąpić niepodległości.

8. Mówią nam: “Nie mamy sojuszników w walce o niepodległość; ‘Zachód’ zdradzi, jak zdradzał; wojny przeciwko Moskwie nie poprowadzi. Żądanie niepodległości dla Polski jest nierealne”. Brak sojuszników jest zjawiskiem chwilowym, zadaniem emigracji jest starać się o to, by w walce o niepodległość nie być izolowanymi, lecz iść razem z innymi ujarzmionymi narodami. Rachunek sił w momencie walki jest jeszcze

niemożliwy do przewidzenia i zależy od momentu, w którym ta walka wybuchnie. Brak zrozumienia dla dążeń niepodległościowych u tak zwanych narodów wolnych nic jest powodem do poniesienia dążenia do niepodległości; ten brak zrozumienia nie jest powszechny i nie musi być trwały. Zadaniem emigracji jest wytłumaczenie potrzeby niepodległości narodów. Nie jest rzeczą konieczną, by walka z Sowietami o niepodległość przybrała formę walki zbrojnej; przywrócenie niepodległości ujarzmionym narodom może nastąpić także w drodze ustępstw czy przewrotów pokojowych. Wyrzeczenie się ządania niepodległości przed emigracją, zgoda na zależność od Moskwy, byłoby tylko potwierdzeniem fałszywego programu politycznego niektórych narodów zachodnich; odsunęłoby ono w dalszą przyszłość jedyne słuszne rozwiązanie polityczne w skali światowej, jakim jest zjednoczenie niepodległych narodów.

9. Mówią nam: "Polacy w kraju zgodzili się ze stanem zależności wobec Sowietów, niepodległości nie chcą". Nieprawda. Drobna garstka komunistów i pozabwionej koscia inteligencji nie jest narodem. Za wyjątkiem tej drobnej grupy, wszyscy Polacy niepodległości pragną; pragnienie uwolnienia się od Rosji Sowieckiej jest tak silne, że grozi nieprzemyślanymi odruchowymi wybuchami, które czynniki odpowiedzialne muszą hamować.

10. Mówią nam w końcu: "Emigracja jest rozbita, wskutek tego bezsilna; niech się nie porwya na zadania, które ją przerastają – a takim jest zadanie walki o niepodległość". – Odpowiadamy: Tylko od samej emigracji zależy usunięcie rozbitcia i stworzenie siły, która by mogła znacznie powiększyć, pogłębić i wzmocnić drogi i dostępy, które emigracja posiada. Woła walki o niepodległość sama umożliwiłaby zebranie sił do tej walki w rozmiarach, które by dla wyniku walki nie były obojętne.

Wydźmy jednak poza krąg rozważania poszczególnych argumentów: wiemy, że żaden z nich nie wystarczy, by nas skłonić do poniesienia walki o niepodległość środkami, jakie nam są dostępne. Rzućmy okiem na całość zagadnienia. Pomyślmy, co by się stało, gdyby Polacy, poza granicami kraju uznali reżym Gomułki za legalną władzę, poniechali walki z okupantem i ograniczyli swój stosunek do Polski do samej pomocy materialnej dla Polaków w kraju. Byłby to triumf dla tego reżymu i jego mocodawców, t.j. dla Moskwy. Byłoby to równoznaczne z uznaniem praw Moskwy do Polski. Dla reszty świata byłoby to naszą zgodą na wcielenie Polski do Bloku Sowieckiego. Moskwa mogłaby z coraz większą siłą prowadzić politykę "jednolitości" wewnątrz bloku. Każdemu, kto by śmiał się sprzeciwić bolszewizacji Polski mogłaby odpowiedzieć, że chodzi o sprawy wewnętrzne. Miliony Polaków w Polsce, zmuszone siłą do milczenia, straciłyby jedyną możliwość wypowiedzenia swego protestu przeciwko panowaniu Moskwy w Polsce, gdyż tą możliwością jest dla nich – nasz głos, głos ludzi wygnanych przez przemoc, ale ludzi wolnych. Gdybyśmy zamilkli, nasze milczenie byłoby wyrazem zgody na panowanie Moskwy, wyrazem danym nie tylko w naszym imieniu, ale i w imieniu Polaków ujarzmionych, którzy nas za swoich wysłańców i przedstawicieli uważają, których my przedstawicielami, siłą faktu, jesteśmy. I dlatego nie wolno nam ani na chwilę zniżyć głosu, ani na chwilę nie mamy prawa wycofać naszego "Nie"! Ani na chwilę nie wolno nam zaniedbać niczego, co by mogło przyspieszyć uwolnienie kraju od okupacji i presji moskiewskiej.

Do walki o niepodległość – która równa się w praktyce walce o uwolnienie z zakłętego kręgu antycywilizacji sowieckiej – musi nas skłaniać fakt, że walka ta nie jest dla nas

dobrowolnie wybranym programem. Nie dość zdajemy sobie sprawę z naszej przynależności do pewnego kręgu cywilizacyjnego. Ta przynależność nie od nas zależy: jest ona wynikiem naprawdę nieodwracalnego, bo minionego procesu dziejowego, dzięki któremu wyznajemy religię objawioną, myślimy według zasad filozofii odwiecznej, żyjemy w ramach pojęć rzymskiej słuszności i sprawiedliwości, gospodarujemy na zasadach ekonomii własnościowej. Słowem, chcemy czy nie chcemy, należymy do zespołu narodów cywilizacji zachodniej, chrześcijańskiej, europejskiej, atlantyckiej, powołał przesktałającej się w cywilizację powszechną; i nie mamy wyboru pomiędzy tą a jakąś inną cywilizacją. Nie można też stworzyć żadnej nowej syntezy z naszej cywilizacji i z tego, co jest tylko i jedynie jej zaprzeczeniem, z antycywilizacji sowieckiej. Można tę antycywilizację odrzucić – albo zatopić się w niej. Słowem, możemy albo obronić się przed rozkładem cywilizacyjnym – albo, nawet może zachowując zepsuty, zbarbaryzowany język polski – “w inny naród, który nas nienawidzi się obrócić, jako się innym przydało (Skarżga, Kaz. Sejm.).

I nie tudźmy się, by naród, który by odrzucił całą cywilizację chrześcijańską, mógł zachować nietkniętym to, co jest tej cywilizacji podstawą i źrenicą, tj. wiarę Chrystusową. Mogłoby się to stać chyba cudem, a na cuda liczyć nie wolno.

Nie chce wyrzec się polskości – która jest jedną z form cywilizacji atlantyckiej – ani lud w Polsce, ani emigracja a jedynym wnioskiem z tej niechęci jest walka o niepodległość; walki tej kraj prowadzić nie może – więc musi ją prowadzić emigracja.

Zmęczenie, zniechęcenie, skłócenie, słabość, interesy prywatne obciążają nas w tej walce; i, jak w każdej walce, trzeba przetrzymać kryzys.

Tekst z Archiwum Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego (Londyn)

NOWOŚĆ

Jan Nowak
(Zdzisław Jeziorański)

POLSKA Z ODDALI
Wojna w eterze – Wspomnienia
Tom II: 1956-1976

Autor, były dyrektor Rozgłosm Polskiej Rady Wolna Europa, opisuje w tej pasjonującej książce zarówno wydarzenia polityczne w kraju i w świecie, jak i codzienną pracę rozgłosm, walkę o polskie cele, a również problemy i konflikty wynikające z kierowania dużym zespołem pracowników. Ten barwny, niezwykle ciekawy pamiętnik, ilustrowany licznymi fotografiami, ukazuje się nakładem londyńskiego wydawnictwa Odnova.

Str 404

Cena £ 12.00

Polecamy również wydany poprzednio tom I wspomnień:

WOJNA W ETERZE 1948-1956

cena £10 50

oraz trzecie wydanie książki tegoż autora

KURIER Z WARSZAWY

cena £12 00

Księgarnia przyjmuje czeki (oprócz kanadyjskich), book tokens, karty kredytowe Visa, Access, America Express, Eurocard, Mastercard Konto Giro nr 577 1455

ORBIS BOOKS (LONDON) LTD

Księgarnia Polska, 65 Kenway Road, London SW5 0RD ☎ 01-370 7210



muzeum ruchu
rewolucyjnego

„DU BIST KOMMUNIST?”

We wspomnieniu pośmiertnym o Janie Himilbachu, „zawodowym amatorze” literatury i filmu polskiego, (*Himilbach ante portas*, «Tygodnik Kulturalny» z 4 grudnia 1988 roku), Krzysztof Mętrak zauważa, że z lat stalinowskich pozostał po Himilbachu „najdłuższy tytuł wiersza w literaturze polskiej – cytuję z pamięci – NA PRZYJAZD ALI-BAM-SULEJMANA, DELEGATA ARABS-

KIEGO ZWIĄZKU MŁODZIEŻY DEMOKRATYCZNEJ, KTÓRY PRZYBYŁ NA FESTIWAL MŁODZIEŻY DO WARSZAWY 15 LIPCA 1955 ROKU DWORZEC GŁÓWNY, PERON SZÓSTY, TOR DRUGI. Sam wiersz, ma się rozumieć, składał się z kilku linijek”.

Pamięć Krzysztofa Mętraka okazuje się zawodna. Właściwy tytuł wiersza, o którym mowa, brzmi: DO PRZYJACIELA, AHMEDA SULEJMANA, DELEGATA MŁODZIEŻY SUDANU NA III ŚWIATOWY ZŁOT W BERLINIE, KTÓRY W DRODZE POWROTNEJ DO KRAJU ZWIEDZIŁ POLSKĘ, a sam wiersz nie składa się bynajmniej z kilku, ale z kilkudziesięciu linijek. Oto jego fragment:

Noc była późna, mżył drobny deszcz,
Ulicami jeszcze się błąkał złotowy śpiew,
W notesie pisałem adres – napiszę do Ciebie list...
Już z samochodu spytałeś: „Du bist Kommunist?”
Odparłem: tak, choć daleko mi jeszcze...
Twoje usta poczułem na czole i szept:

– „Towarzysz...”

Łzy z oczu płynęły i na ziemię spłynęły z deszczem,
Nie wstydzilem się linii błyszczących na twarzy.

Wiersz – jak cała poezja stalinowska – wydaje się dzisiaj nieprawdopodobny, wręcz – surrealistyczny, dopuszczamy wszakże odmienną zgoła, najdosłowniej realistyczną jego interpretację. Pamiętając o alkoholizmie autora i o jego zdolnościach do wciągania w alkoholizm innych, niepodobna wykluczyć, że po krótkiej, prowadzonej w języku niemieckim, rozmowie na temat komunizmu, zapłakanego Himilbacha Ahmed Sulejman, delegat młodzieży Sudanu na III Światowy Złot w Berlinie rzeczywiście pocałował w czoło.



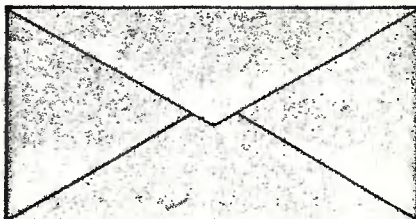
OJCZYŻNA – POLSZCZYŻNA

(II Kongres Kultury Języka Polskiego rozpoczął obrady)

WOJCIECH JARUZELSKI: Z głębokim szacunkiem witam obecnego na sali pana profesora Romana Kadzińskiego, który przed półwieczem uczył mnie w gimnazjum „ojczyźny-polszczyzny”. Pragnę w pańskiej osobie uczcić liczne pokolenia polonistów, nauczycieli literatury, strażników ojczystej mowy.

ROMAN KADZIŃSKI: Przed II wojną światową byłem nauczycielem w Kolegium Księży Marianów na warszawskich Bielanach. Uczył się tam, uzyskując w 1939 r. małą maturę Wojciech Jaruzelski. Byłem wymagającym pedagogiem. W klasie, w której był Wojciech liczącej ponad 40 uczniów nie postawiłem żadnej piątki, a jedynie trzy czwórki. Otrzymali je m.in. właśnie Wojciech Jaruzelski i poeta Tadeusz Gajcy. Jaruzelski – jak później się dowiedziałem od jego kolegów – przygotowywał im wypracowania i ściągawki. To był dobry i solidny uczeń, swobodnie i poprawnie posługujący się mową ojczystą.

POLSKA AGENCJA PRASOWA: Język wymaga od każdego świadomego wysiłku nad doбором słów i układem zdania – umiejętność ta jest w dużej mierze zasługą nauczycieli.



Szanowni Panowie!

W 39 numerze „Pulsu” (jesień 1988) Robert Zuzowski w ciekawym i cennym artykule „Metoda”, rozważa krytycznie dwie moje wypowiedzi, dotyczące tego samego ogólnie tematu: jakie są właściwe formy wyrażania niezgody, polemizowania, różnicy poglądów między ludźmi, którzy zajmują podobne stanowiska polityczne?

Odnoszę wrażenie, że Autor mylnie obie cytowane wypowiedzi rozumiał, w czym jest zapewne częścią mojej własnej winy. Jednakże niezależnie od nieporozumień – temat wydaje mi się dostatecznie ważny, by do niego wrócić (dziękując Robertowi Zuzowskiemu za bodziec).

Autor „Metody” przytacza moje zdanie z listu do redakcji „Kultury”, ogłoszonego w numerze majowym r. 1984: „Uważam za szkodliwe publiczne podawanie do wiadomości krytyki sojusznicznych oddziałów: to sieje zamęt i ułatwia walkę wrogowi. Takie sprawy omawiać się

powinno na konferencjach sztabowych." Pisałem to w stanie depresji. Teraz wiem, że należało albo milczeć, albo – nie dbając o zwięzłość – tak myśł rozwinąć, by stała się całkiem jasna. Istotne dla mojego stanowiska, które NIE jest potępieniem publicznej krytyki w ogóle, są poprzednie dwa zdania: „Jest wojna. Pan i ja dowodzimy różnymi odcinkami frontu, walcząc ze wspólnym wrogiem, nie przebierającym w środkach.” I sens jest taki: sytuacja „wojenna” narzuca nam, sprzymierzeńcom, obowiązek zastanowienia się, w jakiej formie będziemy wyrażać różniące się poglądy – tak, aby nie zaszkodzić naszej wspólnej sprawie. Bo przecież naszym celem nie jest (czy: nie powinno być) samo ujawnienie niezgody, ale zwiększenie skuteczności działań we WSPÓLNEJ sprawie. Nie chodzi więc o zamazywanie różnic czy rezygnowanie z polemik, ale o wybór odpowiedniej formy. Przykład militarny: kiedy pod koniec II wojny światowej dwaj wybitni dowódcy, Montgomery i Patton, mieli zupełnie odmiennie koncepcje taktyczne – nie krytykowali się wzajem w prasie, ale dowodzili swoich racji właśnie na konferencjach sztabowych. Przykład gospodarczy: jeżeli dyrektor A, kierujący zakładami produkcji silników koncernu X, dochodzi do wniosku, że dostarczone mu przez kooperanta B elementy obniżają jakość wytworu – nie ogłasza tego faktu w wywiadzie telewizyjnym, bo pierwszym skutkiem byłaby nie poprawa jakości motorów, ale spadek akcji koncernu; przedstawia swój pogląd na najbliższym zebraniu dyrektorów koncernu*.

Sprawa druga. Robert Zuzowski przypomina końcowe zdanie mojego

szkicu „Ile jest dróg?”, ogłoszonego w 1978 roku również w «Kulturze» i potem przedrukowanego jako tytułowy w wydanej cztery lata później książce: „abyśmy sobie w dążeniu do niej [„Polski niepodległej i demokratycznej”] różnymi drogami nie przeszkadzali”. Zuzowski kwestionuje słuszność takiego postulatu i pisze: „Z tokiem rozumowania Najdera nie zgodził się Jacek Kuroń, który twierdził, że nie można z góry założyć, że w każdej konkretnej sytuacji istnieje wiele sposobów naorealizowanie celu. Hipotezę tę należy uprzednio udowodnić, czego Zdzisław Najder nie uczynił”.

Nie wiem, gdzie Kuroń polemizował z mną na ten temat (Zuzowski nie podaje źródła), ale nie miałby racji. Nie tylko dlatego, że mój postulat opierał się na zupełnie innej hipotezie, mianowicie na takiej, że nie można było w roku 1978 przewidzieć, jaka będzie najskuteczniejsza droga do osiągnięcia stawianego celu. A że miałem słuszność, dość przypomnieć na przykład, że jeszcze w sierpniu 1980 roku Jacek Kuroń (wg. relacji Adama Michnika) nie wierzył w możliwość uzyskania od władzy zgody na powstanie niezależnego związku zawodowego. On, tak zasłużony dla rozbudzania aktywności społeczno-politycznej Polaków! A przecież powstanie „S” zmieniło gruntownie nasz polityczny krajobraz – i szlaki przyszłych dróg...

Ale Kuroń, gdyby istotnie tak polemizował, myliłby się z innego jeszcze powodu. Trudność przewidzenia przyszłości nie jest trudnością praktyczną, którą można by przezwyćć ćwicząc nasze umiejętności. (Chociaż: czy ktokolwiek przewidywał, jeszcze 5 lat temu, Gorbaczowa i

pierestrojkę?) Trudność ta jest w istocie NIEMOŻLIWOŚCIĄ, ponieważ nasze i innych dzisiejsze działania wpływają na przyszłość, którą sami kształtujemy. Tak np. gdyby ktoś już w lipcu 1976 przewidział utworzenie KOR-u, i nawet reakcję władz – nie mógłby przewidzieć tego, jak zaczną się zachowywać w Polsce ludzie, stykający się ze zjawiskiem społecznym, którego zaistnienie przedtem nie przychodziło im nawet do głowy.

Zuzowski przypisuje mi (w imieniu Kuronia) pogląd, że WSZYSTKIE drogi są równouprawnione. Wcale tak nie uważam. Twierdziłem i twierdzę, że nie wolno zakładać, że jest tylko JEDNA droga. Pluralizm to nie to samo co relatywizm, ani indyferentyzm. Pluralizm to tolerancja. Po doświadczeniach z totalizmem „jedynie słusznej” doktryny – powinniśmy zachować ostrożność w bezwzględnym potępieniu i odrzucaniu.

zupełnie już bezpodstawnie przypisuje mi Zuzowski uznanie za „błędną” metody Kuronia, polegającej na publicznej krytyce, na łamach niezależnej prasy, poglądów i metod działania polskich opozycjonistów. Przecież cytowane przez Zuzowskiego zdanie pochodzi z artykułu, polemizującego z Kuroniem i z Moczulskim, a sąsiadującego z polemikami z Wasiutyńskim i Michnikiem! A samo hasło „wielu dróg” jest podsumowaniem polemiki nie z Kuroniem, lecz z Janem Drownowskim. Nie przeciwstawiłem się dyskusjom, ale, po pierwsze, teorii „jednej drogi”, a po drugie – niepotrzebnej napastliwości i podejrzliwości, której wówczas tak dużo było w powietrzu (przypominam częste oskarżanie Moczulskiego o agenturalność a Kuronia o kryptokomunizm). I jeżeli teraz słyszę, że Kuroń i Moczulski zasiadają za jednym stołem i widzę ich podpisy pod wspólnymi oświadczeniami – to, chociaż nadal często z nimi

oboma się nie zgadzam, cieszę się z ogromnego postępu naszej kultury politycznej.

Pisał Norwid: „Umiemy się tylko klócić albo kochać, ale nie umiemy się różnić pięknie i mocno”. Co się kryje za tym poetyckim zarzutem? Otóż w krajach ugruntowanej demokracji parlamentarnej polemiki i walki polityczne toczą się w ramach systemów prawnych, które wyznaczają reguły gry. Jeżeli je któraś strona łamie, można się odwołać do praw; arbitrami rzetelności są też wyborcy. My Polacy od dwustu prawie lat z dwudziestoletnią przerwą (bezcenną) spieramy się, nie zgadzamy, polemizujemy, konkurujemy i walczymy o władzę BEZ takich ram prawnych i bez wyborczego sprawdzania. I sami musimy sobie stale wytwarzać reguły tego, co dopuszczalne, co sensowne, co godne, co pożyteczne dla polskich celów. To jest zadanie ogromnie trudne, nigdy się nie kończące (bo zmieniają się warunki w których działamy), stale do podejmowania, stale do rozważania. Uporczywe apele, byśmy każdy spór zaczynali od pytania: co nas łączy? i dopiero po odpowiedzi na nie przystępowali do wyrażania niezgody – miały w moim zamierzeniu stanowić przyczynek do wytwarzania zasad przyzwoitego polskiego życia politycznego.

Zdzisław Najder

* Przy okazji wyjaśnienie: Robert Zuzowski krytykuje też Jerzego Milewskiego, kierownika Biura Koordynacyjnego „Solidarności” za Granicą ponieważ na publicznym spotkaniu w Melbourne w marcu 1988 odmówił dyskusji na temat „krytycznej oceny” krajowego kierownictwa „S”. Otóż Biuro jest przedstawicielstwem, „ambasadą” krajowego kierownictwa NSZZ, a żadna ambasada nie ma prawa publicznie krytykować rządu, który reprezentuje – niezależnie od prywatnych poglądów ambasadora. Takie są przyjęte reguły w całym uporządkowanym świecie i musimy się ich trzymać, jeżeli chcemy, by nas brano na serio.

WPLATY NA FUNDUSZ WYDAWNICZY «PULS»

Jadwiga K. (RFN)	DM 50.00
Robert P. (Francja)	FF 150.00
M.G. (Wlk. Brytania)	£ 1000.00
Miróslaw Zubrzycki (Wlk. Brytania)	£ 10.00
Ludwik Lewin (Wlk. Brytania)	£ 5.00
Ewa T. (Wlk. Brytania)	£ 2.50
Beziemiennie (Austria)	Au.Sch. 500

DO NABYCIA

Marian BRANDYS

Moje przygody z historią. (II wyd., £3.75)

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Podróż do Burmy

Maciej POLESKI

Mąty jawniak

Janusz ANDERMAN

Brak tchu

Ewa BIEŃKOWSKA

Dane odebrane

Jerzy PILCH

Wyznania twórcy pokątnej
literatury erotycznej

Olgierd WOŁYŃSKI

Głos z Gułagu

Władysław BARTOSZEWSKI

Los Żydów Warszawy
1939-943

Bronisław MAJ

Zagłada Świętego Miasta

Jan POLKOWSKI

Wiersze (1977-1984)

Kraj lat dzieciennych

Zbiór wspomnień

O «Kulturze»

Wspomnienia i opinie

Milan KUNDERA

Życie jest gdzie indziej

E. RACZYŃSKI, T. ŻENCZYKOWSKI

Od Genewy do Jałty

MATERIAŁY NIE ZAKWALIFI- KOWANE DO DRUKU

A.K. – *Tolek* (opowiadania);

L.E. – *Spojrzenie wstecz* (poemat);

Z.M. – *Miłosierny pan Alfred*
(opowiadanie)

G.N. – *Zawodowy nonkonformista*;

W.K. – *Wiersze*;

J.M. – *Wiersze*;

K.Z. – *Wiersze*.

Przypominamy, że materiałów nie zamó-
wionych redakcja nie zwraca. Nie
jesteśmy w stanie udzielać Autorom
odpowiedzi listownych. Przepraszamy.

WARUNKI PRENUMERATY / SUB- SCRIPTION RATES

Prenumerata roczna (4 nry) / *Annual sub-
scription (4 issues)*:

pocztą zwykłą / *surface mail* £15.00

pocztą lotniczą / *air mail* £20.00

Prenumerata dla bibliotek, instytucji i or-
ganizacji jest wyższa o 50% / *There is a
50% surcharge for libraries and other
official bodies.*

Exemplarze pojedyncze / *Single copies*:

pocztą zwykłą / *surface mail* £4.10

pocztą lotniczą / *air mail* £5.20

Należność za prenumeratę oraz wpłaty
na fundusz wydawniczy prosimy przesy-
łać w formie czeku/PO/IMO wystawione-
go na / *Payments and donations should
be sent as a cheque/PO/IMO made out to
Puls Publications i przesłanego na adres
/ and sent to BCM Box 697, GB-London
WC1N 3XX, Great Britain*

NOWOŚĆ

1 tom serii „Sąsiedzi”



cena £7.00 plus przesyłka

**Puls Publications
BCM Box 697, London WC1N 3XX
United Kingdom**

nieregularny

PULS

kwartalnik literacki

PULS 35

Adam Ciółkosz Jej spuszczona • Leszek Kołakowski Faust • Aleksander Wat Omarchadzew • Z przekładów poetyckich Janusza Szpotkańskiego • Marek Nowakowski Różowe wielbłądy • Ewa Lipska Wiersze • Kazimierz Orłos Wszystkiego najlepszego • Marek Zieliński Zbuntowane medium • Pojedynki Leszek Szaruga: Co nam mówi Andrzej Szczypiorski? Sandauer kontra tłumacze • Przegląd kulturalny i niekulturalny Krzysztof Penderecki doctorem h.c. Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu • Tomasz Burek Stalinizm jest wciąż fotogeniczny Jan Zieliński: Jerofiejew o Rozanowie • Deklaracja polityczna Polskiej Partii Socjalistycznej • Recenzje Janina Katz-Hewetson: Miesiące – lata (o *Miesiącach* Kazimierza Brandysa) • Piotr Wandycz: Nie bójmy się prawdy (o *Rozważaniach o losach polskich* Tadeusza Łepkowskiego) • Kwartał • Archiwum emigracyjne Recenzje Jerzego Stempowskiego • Muzeum ruchu rewolucyjnego • Sow show • Poczta

PULS 36

Michał Heller Glasnost • Wiktor Woroszyński Brodski 1988 • Życ w historii (fragment rozmowy z Josifem Brodskim) • Aleksander Wat Coś o potędze poezji • Zbigniew Machej Wiersze • Literatura bez granic. Międzynarodowe spotkanie intelektualistów w Paryżu Władimir Maksimow: Przed otwarciem obrad • Jean-François Revel: Intelektualiści wobec władzy • Alain Besançon: Odpowiedzialność inteligencji sowieckiej dzisiaj • Tomas Venclova: Kraje bałtyckie w godzinie próby • Wiktor Woroszyński: Paradoxy wolności • Wywiad «Pulsu» Milovan Đilas • Jerzy Malewski „Prawda historyczna, której zmienić się nie da” • Pojedynki Ewa Turkuć: Leopolda, czyli ręce za lud walczące... • Polski kształt neurozy (listy do „Solidarnosci”) •

W OSTATNICH NUMERACH

Przegląd kulturalny i niekulturalny Wiktor Woroszyński: Być umiarkowanym – dziś w Polsce ○ Kazimierz Orłowski: „Różne barwy Niki” czyli „popipsiało się aż do rozbolenia” ○ Jan Zieliński: Biali, cisi i ciemni ○ Nowy katalog Nowej • Kwartał • Recenzje Andrzej Werner: Portret komunisty z lat młodości (o *Zostało z uczyt bogów* Igora Newerlego) ○ Janina Katz-Hewetson: Był sobie raz... (o *Szeptnych czterdziestoletnich* Agnieszki Osieckiej) • Archiwum emigracyjne Aleksander Bregman: Flagi • Muzeum ruchu rewolucyjnego • Sow show • Poczta

PULS 37

Zbigniew Brzezinski Pęknięcia w bloku • Sowiecki komunizm – aby odszedł w spokoju... (Rozmowa George'a Urbana z Władimirem Bukowskim) • Marek Ciesielczyk KGB – struktura i organizacja • Kazimierz Zamorski Kolega • Janusz Szpotański Wykłady uczonych radzieckich na Uniwersytecie Warszawskim • Leopold Łabędź Adam Schaff – dumny recydywista • Ernest Bryll Wiersze • Marek Nowakowski Niezłomny z „Bristolu” • Kornel Filipowicz Wiersze • Fotografia „Witryny” Krzysztofa J. Baranowskiego • Jerzy R. Krzyżanowski Dekady • Aleksander Jurewicz Wiersze • Pojedynki Leszek Szaruga: Paraliteratura ○ Ryszard Czarnecki: Wokół *Rozważań o losach polskich* • Puls roku 1987 Pomarańczowa Alternatywa • Przegląd kulturalny i niekulturalny Kazimierz Orłowski: Po co wycięto krzewy? ○ Jacek Grynycz: Trefna biesiada w Jerozolimie ○ Krzysztof Rutkowski: Towarzystwo Iksów i Urząd Bezpieczeństwa ○ Anna Husarska: Sandinowscy prenumeratorki ○ Klamry (V) ○ Nagroda «Wiadomości» • Kwartał • Recenzje Jerzy Malewski: Przeszłość jako żywa rana (o twórczości Włodzimierza Odojewskiego) ○ Janina Katz-Hewetson: Modlitwa za zmarłych (o *Kadiszu* Henryka Grynberga) •

Drugi brzeg Rafael F. Scharf: O Michał Borwicz • Archiwum emigracyjne Stanisław Thugutt: Nowy człowiek • Muzeum ruchu rewolucyjnego • Sow show • Poczta

PULS 38

Jan Kucharzewski Należało zdać sobie sprawę... • Rozmowa Andrzeja Mietkowskiego z Wiktorem Suworowem • Jan Gerhard Miara nieskończoności • Zbigniew Mentzel Gdy osuwa nam się kopiec... • Jerzy Pilch Hierarchia banknotów • Pojedynki Leszek Szaruga: Realista • Kazimierz Zamorski Ekipa • Feliks Topolski Portrety polskie • Stanisław Barańczak Koszmary i piosenki • Przegląd kulturalny i niekulturalny Andrzej Werner: Białe plamy a zdrowie kultury ○ Stefan Kisielewski: Menażeria bez słonia ○ On nie wróci? • Kwartał • Recenzje Krzysztof Powoński: Cień Iwana Groźnego (o *Jak współżyć z sécrealizmem* Zdzisława Łapińskiego) ○ Ewa Czerwiakowska: *Weiser Dawidek* – pamięć obudzona (o powieści Pawła Huelle) • Drugi brzeg Ryszard Czarnecki: O Józefie Rybickim • Archiwum emigracyjne Michał Sztejn: Odezwa do Emigracji Polskiej • Muzeum ruchu rewolucyjnego • Sow show • Poczta

PULS

przeczytaj
i zabierz
do
Polski

ODWRÓT

Wszystko ma swoją cenę, również bratnia pomoc. Wycofanie sowieckiego „ograniczonego kontyngentu” z Afganistanu to znak, że w oczach Moskwy cena staje się zbyt wygórowana. Przystąpił kres najbardziej krwawej wojny kolonialnej w XX stuleciu.

Wbrew rozpowszechnionym opiniom to nie był „sowiecki Wietnam”. Stany Zjednoczone zdecydowały się na interwencję, gdy komunistyczny Wietnam Północny pogwałcił układy indochińskie z 1954 roku i dążąc do destabilizacji Południa prowokował kolejne incydenty graniczne. Moskwa dokonała inwazji Afganistanu kierując się wyłącznie chęcią poszerzenia własnej sfery wpływów. Jej granice wyznacza dziś 30 milionów min pozostawionych przez „ograniczony kontyngent”.

Po raz pierwszy od 1954 roku armia sowiecka została pokonana – pokonana przez afgańskich *Mudżahedinów*, amerykańskie Stingery i światową opinię publiczną. Po raz pierwszy od 1917 roku system komunistyczny został zmuszony do opuszczenia terytorium zajętego i uznanego za sferę własnych interesów – pomijając casus Grenady. Fakt bez precedensu, tym bardziej zaskakujący, że idzie o ekspedycję supermocarstwa do słabo rozwiniętego kraju ościennego.

Tak więc cena okazała się zbyt wysoka. To nie dobre serce *genszeka* sprawiło, że Borys Gromc'w, ostatni żołnierz wycofującego się korpusu ekspedycyjnego przekroczył Most Pokoju i Pojednania na Amu-darii. Pod rządami Gorbaczowa sowieckie lotnictwo również prowadziło zmasowane bombardowania partyzanckich pozycji, bezskutecznie starając się złamać ich opór. Po prostu Moskwa nie mogła dłużej ponosić kosztów absurdu, skazującego na paraliż jej dyplomację w okresie skądinąd znakomitej koniunktury. Rozsupłując kolejne węzły gordyjskie – Angola, Kambodża, Afganistan – sowieckie kierownictwo dowodzi, że potrafi podporządkować dogmat praktyce. Od niedawna.

Bez wątplenia świadczy na ich korzyść – i w pierwszym rzędzie na korzyść samego Gorbaczowa – fakt, że klęskę militarną umieli przekształcić w symbol nowego kremłowskiego kursu, w kamień węgielny nowych stosunków Wschód–Zachód. Nikt jednak nie potrafi przewidzieć reperkusji owej porażki w samym Związku Sowieckim, tego, czy zwycięstwo islamu nad niewiernymi nie stanie się na przykład sygnałem dla muzułmanów w ZSRR, którzy – jeśli wierzyć prognozom – pod koniec stulecia będą stanowić blisko jedną trzecią ludności. Nie wiadomo, jakie wnioski wyciągną „bratnie” stolice w trzecim świecie: los porzuconego po 10 latach „internacjonalistycznej pomocy” kabulskiego reżimu może stać się odąd przestrogą.

Przyśpieszona ewakuacja sowieckiego korpusu ekspedycyjnego przybliżyła niespodziewanie szybko groźbę ery długich noży. Piętnaście partii stanowiących afgański ruch oporu łączy tylko jedno: antykomunizm. Po rozprawieniu się z promoskiewskimi *popuuczycami* może przyjść kolej na porachunki wewnętrzne.

Nie wiadomo, co przyniesie Afgańczykom dzień jutrzejszy. Wiadomo, że zbrodnia było wkraczać tam wczoraj. Przed dziesięć laty Związek Sowiecki najechał ten kraj wypowiadając wojnę jego ludności. Cokolwiek teraz uczyni – wycofa się czy pozostanie – nie zmienia faktu, że ponosi całkowitą odpowiedzialność za wszystko, co tam nastąpi.

am

BURZENIE BASTYLII

Jeden z przyjaciół zwrócił mi kiedyś uwagę na mało znaną książkę pt. *Livre de raison du patriote Palloy, presente par Romi* (Ed. de Paris, 1956) opisującą zapomniany fakt z historii tegorocznej jubilatki, Rewolucji Francuskiej. Rzecz miała się tak: bogaty paryski przedsiębiorca budowlany nazwiskiem Pierre Francois Palloy od dawna zabiegał u króla o kontrakt na rozbiórkę przestarzałej twierdzy–więzienia *Bastille*, którą władze

NOWOŚĆ

4 tom serii „Świadectwa”



Od Genewy do Jałty

Rozmowy radiowe

**EDWARD RACZYŃSKI
TADEUSZ ŻENCZYKOWSKI**

cena £6.50 plus przesyłka

**Puls Publications
BCM Box 697, London WC1N 3XX
United Kingdom**

władze postanowiły zlikwidować. Bezład administracyjny powodował, że świetny interes (duże zamówienie, masa budulca do odzyskania w centrum Paryża) wciąż się odwlekał. Wreszcie pewnego letniego dnia 1789 roku kolega Palloy z tej samej łoży masonskiej, La Fayette, poufnie uprzedził go, że na 14 lipca szykują się w pobliżu Bastylli jakieś demonstracje, a zatem dobrze byłoby skorzystać z zamieszania, zacząć roboty i postawić administrację wobec faktu dokonanego. Rzutka firma rozmieściła czterystu robotników ze stosownymi narzędziami na tyłach tłumy i kiedy bałagan się trochę przewalił przystąpiono do roboty. Resztę znamy, choć w upiększonej wersji. Wersja ta nie wspomina m. in. dziejów rachunku, jaki Palloy wielokrotnie przedstawiał: wpierek Ludwikowi XVI-emu, a później kiedy król nie miał już głowy (dosłownie) do tej sprawy, kolejnym władcom aż po Dyrektoriat, Cesarstwo i restaurowanych Burbonów. Jedną z pozycji rachunku był kapelus, który w nocy z 14-go na 15-go lipca 1789 roku strącono przedsiębiorcy z głowy i który uległ stratowaniu. Nikt nigdy nie zapłacił ani kapelusza, ani kosztów zburzenia Bastylli.

Ta autentyczna historia zawiera kilka morałów, z których naczelnym jest właśnie to, że za burzenie Bastylli nikt nigdy nie płaci. Panuje jednak przekonanie, iż całość się opłaca w szerszym, społecznym wymiarze. Ostatnimi czasy przekonanie to zostało nadwyższone lepszą znajomością (zawsze grubo *post factum*) okoliczności i skutków rewolucji bolszewickiej, chińskiej, kambodżańskiej i paru tuzinów innych, ale respekt z jakim nadal wspomina jest Rewolucja Francuska świadczy, że nie wygasło ono całkowicie. Tegoroczne obrzędy 200-ej rocznicy przydadzą zapewne tlenu nadwiedmemu płomykowi, a kompromitujący symbolikę wydarzenia *casus* Palloy, eksterminacja ludności Wandei oraz fakt, że wszystko skończyło się Napoleonem i wyniszczającymi wojnami po to, by wrócić do monarchii, zostaną dyskretnie przemilczane. Można śmiało liczyć nie tylko na francuski talent do autoreklamy, ale i na odwieczne, ponadnarodowe marzenie o drodze na skróty.

Doświadczenie poucza, że drogi na skróty prowadzą zazwyczaj w maliny lub gorzej, ale właściwością umysłu dziecięcego jest ignorowanie doświadczenia innych, a tak jakoś bywa, że „przebudową ludzkości” lubią zajmować się osoby o umysłowości niedojrzalej (*Stalin – to wielkie dziecko...* nie jest tylko dowcipem, ale i diagnozą). Jedną z form infantylizmu wydaje się też nadmierna wiara w argumentację natury moralnej, stanowiącą wyposażenie *de rigueur* wszelkich poczynań rewolucyjnych (*przed* – mobilizuje, *po* – usprawiedliwia). Już to powinno nastrajać wobec retoryki etycznej nieufnie. Często bywa ona podświadomą parafrazą słów „konieczność posłuszeństwa” stosowaną przez tych, co wiedzą jak trzeba... Nawet w wydaniu szlachetnym, bezinteresownym, idealistycznym („teologia wyzwolenia”, pacyfizm, bezkompromisowa ekologia) zapomina się przeważnie o tym, że ogólnik „moralność” jest nader niejasny i prowadzi do paradoksów, jak np. problemu czy moralne społeczeństwo, które nie potrafi się obronić lub/i wyżyć jest moralne czy nie?

Reasumując: „rewolucja”, „moralność” i inne hipostazy wzniosłych ale nie do końca przemyślanych odruchów emocjonalnych winny być z raguly traktowane ostrożnie. Uczuciowo życzę systemowi komunistycznemu żeby go jak najprędzej szlag trafił, ale rozważając na zimno co ma (lub może) być potem, życzę Związkowi Sowieckiemu nie rewolucji, a ewolucji, trudno... A bardziej *pro domo sua*: czy nia byłoby lepiej, gdyby polskie publikacje (*vef*: organizacje) podziemiś więcej uwagi poświęciły opracowaniom / podręcznikom / kursom uczącym techniki funkcjonowania demokracji (bankowość, zrzeszenia, administracja komunalna, etc.), a mniej rozważaniom historyczno-patriotyczno-moralizatorskim? Odrodzoną Polskę po I wojnie budowała nie tylko patriotyczna młodzież, ale i kadry dobrze wytrenowanych (przez zaborców, ale bądź co bądź), kompetentnych administratorów, bankowców, urzędników skarbowych. A dziś?...

Reasumując po raz drugi: Wierzę, że płomienna słowo *ethos* (Robespierre wołał łaciną i mówił o *virtus*), na dłuższą metę mniej znaczy niż przyziemny termin *know how*. ws

1989